

SERGE
JACQUEMARD

MAFIA

W

**PA
RY
ZU**

**HARRY
SHULZ
SERIES**



Tytuł oryginału:

LA MAFFIA A PARIS © 1974

For Polish translation © by Marek Nowak

Edited by ESKEL

ROZDZIAŁ I

Ruch na West Side Parkway był jak zwykle bardzo duży. Na odcinku od 86 Ulicy Wschodniej, przy której mieszkał, aż do Hudsonu Harry Shulz musiał jechać wolno z powodu licznych korków ulicznych, które były chlebem powszednim nowojorskich kierowców. Miasto stawało się nieznośne. Należałoby chyba przeprowadzić się gdzie indziej. Na przykład do jednej z tych małych, spokojnych miasteczek, w których nic się nigdy nie dzieje, skąd policja wypędza hippisów, włóczęgów, narkomanów, żebraków, gdzie nie dokonuje się włamań, napadów z bronią w rękę, gwałtów czy zabójstw.

Niestety, Harry Shulz kochał Nowy Jork i nigdzie indziej nie mógłby żyć. Ale tego ranka był wyrozumiały. Fantastyczna noc spędzona z Olivią podniosła go bardzo na duchu. Jeszcze jedna nagroda honorowa, którą należało przyznać Klarze Brodsky, królowej stręczycielek w New York City. Absolutnie nie żałował 250 dolarów, które kosztowała go ta przyjemność.

Gdy dojechał do Yonkers, ruch stał się bardziej płynny. Prędkość swojego samochodu dostosował do jazdy furgonu IBM, który w pewnym momencie skręcił w kierunku Poughkeepsie. Harry Shulz odprężył się. Dobra chwila dzieliła go od tego spotkania. Jeszcze raz zastanowił się, czego mógł chcieć od niego Nick de Luca. Bardzo dziwne było to wezwanie. Harry był poważnie zaniepokojony. Nie miał ze sobą broni. Nie warto było jej brać. Posiadłość jest pewnie naszpikowana uzbrojonymi strażnikami i będzie prawdopodobnie drobiazgowo przeszukany przy wejściu. Jeśli miałby broń, zostałaby ona skonfiskowana.

Wjeżdżając do Garrison, dostrzegł natychmiast drogę, która skręcała w prawo. Była wąska, asfaltowana, biegła między długimi rzędami drzew ku szczytowi jakiegoś wzgórza. Minął oberżę zwaną The Bird and Bottle. Na parkingu stało pięć lub sześć samochodów. Klientów prawdopodobnie też było tylu. Trochę później dotarł do posiadłości De Luki. Olbrzymi portal bramy z kutego żelaza otaczał wjazd, wydłużony przez wysokie białe mury, które znikwały za zakrętem drogi. Nacisnął klakson. Pojawiło się trzech facetów. Jeden

pozostał jak skamieniały za bramą, dwaj pozostali wyszli przez niskie drzwi i pospieszyli na jego spotkanie.

Wszyscy trzej byli ubrani w szare mundury, a na głowach mieli czapki z daszkiem w tym samym kolorze. Pendent, pas i kabura z rewolwerem, która zwisała wzdłuż uda, dopełniały wyposażenia. Ponadto ten, który stał za bramą, uzbrojony był w karabin typu winchester.

Sądzi pewnie że jest w Fort Knox, pomyślał Shulz rozbawiony.

Jeden ze strażników zastukał w szybę. Shulz opuścił ją.

—Pan sobie życzy? — spytał strażnik pogardliwym tonem.

—Zostałem zaproszony przez pana De Lukę.

—Pańskie nazwisko!

—Harry Shulz.

—Panie Shulz, zechce pan wysiąść z wozu.

Wykonał posłusznie polecenie. Zaledwie wysiadł z chryslera, kiedy strażnik przycisnął go silnie do drzwi, a potem obmacał szybko i dokładnie, jak tylko zawodowiec mógłby to zrobić.

Drugi strażnik wsiadł do samochodu i przeszukał go. Następnie wyjął kluczyki ze stacyjki i poszedł sprawdzić zawartość bagażnika.

Po chwili wrócił, trzymając niedbale kluczyki na końcu palca.

—W porządku? — zapytał kumpla.

Tamten potwierdził. Kluczyki wręczono z powrotem Shulzowi.

—W porządku, panie Shulz. Proszę jechać cementową aleją aż do domu. Niech pan nie przekracza 20 mil na godzinę.

Trzeci strażnik już otwierał bramę. Shulz wrócił do chryslera i wypełnił co do joty instrukcje, które otrzymał.

Kto wie, czy oni nie mają także strzelców postawionych na czatach na drzewach, pomyślał. Wkrótce wyrósł przed nim olbrzymi dom w stylu angielskiego dworu, z fasadą pokrytą mchem i pnącym się bluszczem. Wokoło były starannie utrzymane trawniki.

Wyłączył silnik i jakby ta prosta czynność uruchomiła niewidzialny sygnał, w drzwiach domu ukazał się jakiś typ. Karykatura brytyjskiego majordomusa, bardziej prawdziwa niż w rzeczywistości. Obrzydliwy był ten akcent z Brooklynu, zauważalny w jego słowach, niczym Statua Wolności w zatoce.

Wprawnie otworzył Shulzowi drzwi i poprosił, by szedł za nim. Hall był ozdobiony z przepychem przedmiotami, które nie zeszpeciłyby muzeum. Po chwili znaleźli się przed dwuskrzydłowymi drzwiami z dębowego drewna.

Majordomus lekko zastukał. Odpowiedziano mu, by wszedł. Otworzył jedno skrzydło drzwi i wprowadził Shulza do pokoju o ścianach całkowicie pokrytych palisandrem z Rio. Angielskie meble harmonizowały z wystrojem ścian. Przestronny salon tchnął luksusem i komfortem. Za przeszkloną ścianą zieleniła się trawa. Podłogę pokrywała śnieżno-biała, przyjemna w dotyku wykładzina dywanowa. Środek salonu zajmował długi stół w stylu „konferencji na szczycie”. W głębi, tuż przy szklanej ścianie, w klubowych fotelach siedzieli jacyś ludzie. Jeden z nich wstał, kiedy Shulz wszedł do środka i zbliżył się do niego.

Był tusty i niski, miał ogorzałą twarz, rzadkie włosy i usta o mięsistej dolnej wardze. Jego oczy były małe jak guziki. Wyglądał na amatora kubańskich cygar. Nieco przekwitła pięćdziesiątka. Shulz rozpoznał go natychmiast. Nick de Luca. Zestarzał się od czasu, kiedy

jako „gwiazdor” przesłuchań komisji śledczej Senatu ukazywał się codziennie na ekranach telewizorów, ale rysy miał tak charakterystyczne, że nie można było zapomnieć jego twarzy.

—Miło mi pana poznać, Shulz — zgiął się w ukłonie, podając wilgotną od potu dłoń. — Gratulacje. Jest pan na czas. Proszę tędy.

Wziął Shulza pod rękę, tak jakby odnalazł starego przyjaciela i podprowadził go do obserwujących ich mężczyzn.

—Panowie — powiedział puszczając Shulza przodem — przedstawiam wam pana Harry'ego Shulza, o którym właśnie rozmawialiśmy.

Następnie wyjaśnił Shulzowi:

—Oto kilku przyjaciół, których zebrałem z okazji party. — Ale nie zadał sobie trudu, by ich przedstawić. — Niech pan siada, Shulz.

Shulz dostrzegł wolny fotel i zagłębił się w nim.

—Mięso piecze się i w odpowiednim momencie będziemy mogli się nim obżerać — kontynuował radośnie De Luca. — Życzy pan sobie szkocką czy burbona, Shulz?

—Burbona z lodem.

Angielski majordomus ruszył za De Luką i Shulzem. Zebrał puste szklanki i po chwili wrócił z tacą pełną szklanek, którą postawił na niskim stoliku pomiędzy fotelami. Shulz wziął jedną ze szklanek i popijając małymi łykami burbona przebiegł obecnym wzrokiem.

Wrócili do swoich rozmów. Dyskutowali ściszymi głosami. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie przedstawiono mu gości, ale Shulz drwił sobie z tego.

W jego profesji należało zawsze wiedzieć, gdzie stapać i do kogo się zwracać, zwłaszcza gdy chodziło o szefów Mafii. Nie mógł zaatakować tych ludzi tutaj. Shulz zawsze starał się dowiedzieć się czegoś o tego typu osobach na miejscu, chociaż nigdy nie ocierał się o Organizację, ani nawet nie próbował nawiązać z nią kontaktu.

A ludzie, którzy siedzieli w fotelach wokół niego, reprezentowali najlepszy Syndykat na Wschodnim Wybrzeżu.

Oprócz Shulza, w salonie było pięciu gości De Luki. Wyteżając mocno pamięć Shulz przypomniał sobie ich nazwiska. Jego pamięć była jak komputer i odtwarzała szczegóły, które były w niej głęboko ukryte.

Ci starsi byli młodymi wilkami czasów prohibicji, lecz obecnie wyglądali na nieco zdekatyzowanych. Przeżyli liczne wojny gangów i egzekucje dokonywane ciemną nocą. Uniknęli grobu z cementu i zostali wyniesieni ku szczytom Organizacji likwidując wrogów.

Każdemu wedle jego zasług...

Wysoki typ o odstających uszach, łysej czaszce, o białych oczach, który dyskutował z ożywieniem z Nickiem de Luką, to Abe Zweig. Ocalał jako jedyny z szefów żydowskich gangów z Nowego Jorku, wykończonych przez Sycylińczyków. Wcześniej gangi żydowskie wyeliminowały gangi irlandzkie ulokowane w tym wielkim mieście. Jako współwłaściciel wszystkich kasyn gry na Kubie w czasie dyktatury Batisty, stracił wiele wraz z nadejściem Fidela Castro. Obecnie władał na Florydzie.

Mały i szczupły facet, siedzący naprzeciwko Shulza, o śnieżnobiałych włosach, klasycznym profilem, o bystrej wychudłej twarzy, to Vince La Marca.

Jego ciało, jak mówiono, było pokryte bliznami od kul i ciosów noża, które otrzymał podczas swego długiego, gangsterskiego życia. Wielokrotnie uniknął śmierci. Długa, różowa szrama biegła po jego szyi za lewym uchem i zniknęła pod kołnierzykiem koszuli. Jako jeden z

tajnych bossów Mafii cieszył się wielkim szacunkiem, a jego rady i wskazówki wysoko ceniono. Potrafił łagodzić konflikty w łonie Syndykatu, co było rzadką umiejętnością. Był szefem Organizacji w Bostonie.

Tym, który pił wodę mineralną, ponieważ cierpiał na marskość wątroby, był Charles „Frenchie” Terret. Wysoki, smukły, o wyglądzie pięknego i bez zarzutu ubranego starca. Miał postawę europejskiego arystokraty. Jego słaby punkt: kobiety. Dwukrotnie skazany za obrazę moralności, uwodziciel gwiazdek filmowych z Hollywood w czasach, gdy był zastępcą Mickey'a Cattolico w Kalifornii.

W piękne dni prohibicji zrobił wielką fortunę na sprzedawaniu francuskiego koniaku w granicach amerykańskich wód terytorialnych. Kiedy prohibicja została zniesiona, zdecydował się skorzystać z przyjaźni, które zawiązał z gangami, aby osiąść w USA i swoją fortunę ulokowaną w różnych bankach wykorzystać do prowadzenia nielegalnych transakcji. Był ostrożny, nie popełnił nigdy błędów na terytorium amerykańskim. Powiodło mu się. Jego królestwo obejmowało Georgię, obie Karoliny: Północną i Południową oraz Wirginię.

Po senatorach kolej na generację pnącą się ku górze.. Johnny Settimano. Jego cesarstwo obejmowało stany Nowy Jork, New Jersey, Connecticut i Massachusetts. Z wyjątkiem miast: Nowy Jork i Boston. Był wysoki i chudy. Miał oczy jak rozżarzone węgle. Zaledwie przekroczył czterdziestkę. Mówiono, że otaczał się dyplomami z Yale i Harvardu, aby ułatwić sobie kierowanie tym imperium. Zwolennik metod nowoczesnego kierowania. Jego małżonka wywodziła się z bardzo starej polskiej rodziny szlacheckiej, dwie córki kształciły się w renomowanym college'u w Szwajcarii. Był praktykującym katolikiem, czcigodnym obywatelem, świadomy swych powinności społecznych wobec miasta, w którym rezydował.

Był najmłodszy z obecnych. Szulz usiadł po jego stronie.

Tym, który rozmawiał szeptem z Johnnym Settimano, był Stan Kovacs. Wysoki, gruby, masywny i barczysty bokser wagi ciężkiej. Miał włosy blond, bardzo krótko przycięte. Twarz brutalna, oczy niebieskie o przykrym błysku. Marynarka przyciągająca wzrok. Brakowało mu połowy prawego ucha. Była to pamiątka po serii strzałów z pistoletu maszynowego, która drasnęła go w Kansas City piętnaście lat temu. W porównaniu do innych był królem małego państewka, które obejmowało małe stany: Delaware, Maryland i dystrykt federalny Kolumbii ze stolicą — Waszyngtonem.

Ponadto był głównym katem Syndykatu. Była to funkcja, którą przed nim pełnił Albert Anastasia, zamordowany w 1957 roku w salonie fryzjerskim w Park Sheraton Hotel w Nowym Jorku. Podlegali mu zabójcy we wszystkich stanach, którzy wykonywali wyroki śmierci wydane przez Radę Najwyższą Syndykatu. Przybywali drogą lotniczą rano, wskazywano im cel, wykonywali zadanie i wracali z powrotem wieczornym samolotem. Z powodu swej funkcji w Syndykacie Stan Kovacs budził lęk i nienawiść.

Pozostał jeszcze gospodarz domu, Nick de Luca. Capo di tutti capi w New York City. Rabuś magazynów portowych Manhattanu i Brooklynu. Rackets każdego rodzaju, gry, prostytutka, narkotyki. Okazały gmach, ale miał kilka pęknięć w konstrukcji. Przed falą czarnej i portorykańskiej zbrodniczości biali uciekali z miasta do spokojniejszych zakątków, a pieniądze znikwały razem z nimi, trafiając do kas Johnny'ego Settimano. Wielkość i dekadencja. Ale koniec imperium był zbyt daleki, by mógł zostać dostrzeżony, chociaż był moment, gdy czarni kwestionowali już autorytet Syndykatu. Nick de Luca zareagował energicznie i oddziały Stana Kovacsza puściły Harlem naprawdę w niepamięć. Na czele zostali

postawieni nowi ludzie. Pewnego dnia i oni zbuntowali się, ale teraz Nick de Luca znowu był capo di tutti capi.

Przeгляд obecnych został zakończony.

Pozornie wszyscy ci ludzie zebrali się tutaj z jego powodu, myślał Harry Shulz. Był to wielki honor dla niego. Ale, na Boga, naprawdę z jakiego powodu tu przybyli?!

Angielski majordomus, mówiący z akcentem z Brooklynu ukazał się znowu. Szepnął coś do ucha Nickowi de Luca. Ten potrzęsął głową i odwrócił się do swoich gości i podniósł w górę obie dłonie, prosząc o ciszę.

—Panowie, powiedziano mi, że podano doskonałą wołowinę. Myślę, że należy sprawdzić, czy to prawda. Jeśli zechcielibyście pójść za mną...

Wszyscy wstali i Shulz ruszył za nimi. Wyprzedził natychmiast Vince'a La Marcę i wszedł do długiej sali, która była ładną podobną do sali biesiadnej średniowiecznego zamku.

Jej środek zajmował olbrzymi stół, który mógłby pomieścić dwudziestu biesiadników. W głębi, na ruszcie kominka, który miał dobre cztery metry szerokości, kończył się piec młody byczek, a wokół unosił się wspaniały zapach pieczonego mięsa.

Kucharz w białej czapce i z twarzą wilgotną od potu, obracał wolno rożno, a płomienie lizały złociste i spékane mięso. Pomocnik kucharza zbierał tłuszcz ściekający do wielkiej rynienki i polewał nim skwierczącą pieczeń.

Wspaniale! — pomyślał Shulz zachwycony.

Szef kuchni rozluźnił uchwyt rożna, a jego pomocnicy, uzbrojeni w długie i szerokie ostre noże, zaczęli odkrawać ćwiartki soczystego mięsa.

Nick de Luca posadził dostojnych gości wzdłuż stołu. Shulz usiadł po prawej stronie gospodarza. Uczyniono mu wielki zaszczyt.

Brytyjski majordomus celebrował przyjęcie. Scotch obowiązkowo dla wszystkich, z wyjątkiem Charlesa „Frenchie” Terreta, który trwał przy swojej wodzie mineralnej.

Talerz, który postawiono przed Shulzem, zawierał stek ważący przynajmniej funt. Nick de Luca pochylał się w jego stronę i mrugnął porozumiewawczo.

—Proszę skosztować tego. To najlepsze mięso w Stanach Zjednoczonych. Pochodzi z Michigan. Mam tam specjalną hodowlę. To naprawdę jedyne mięso, które znoszę.

Rozmowy dotyczyły różnych, nie zobowiązujących spraw. Shulz był jedyną osobą, która nie brała w nich udziału. Nikt nie przemówił do niego ani słowem, poza tym, że od czasu do czasu Nick de Luca wtrącił jakieś zdanie.

Na zakończenie obiadu podano lody. Potem Nick de Luca rozdzielił kubańskie cygara i zaprosił swoich gości do salonu, gdzie siedzieli poprzednio.

Tym razem wszyscy zajęli miejsca wokół dużego stołu, Shulz przy jednym jego końcu, De Luca — przy drugim.

Nadeszła chwila, aby wyłożyli swoje karty, pomyślał Shulz lekko zaniepokojony.

Majordomus napełnił szklanki i zniknął. Zapanowała cisza. Oczy wszystkich były zwrócone na Nicka de Lukę. Nick zaciągnął się kilka razy cygarem i spojrzał na obecnych.

—No cóż, panowie — powiedział niewyraźnie — po tych wspaniałych stekach pora przejść do rzeczy poważnych! Pan Shulz uczynił nam zaszczyt, że przyjął nasze zaproszenie i na pewno umiera z ciekawości, żeby dowiedzieć się, dlaczego jest tutaj. Powiemy mu to...

ROZDZIAŁ II

Spojrzenia wszystkich spoczęły na Harrym Shulzu.

—Shulz — kontynuował de Luca ze wzrokiem wlepionym w Harry'ego — wszyscy słyszeliśmy o pańskich wielkich umiejętnościach. Przez przypadek zresztą. Ale w niektórych środowiskach cieszy się pan świetną reputacją. Zdaje się, że nie jest to opinia przesadzona... My dowiedzieliśmy się o panu niedawno. Minęły zaledwie dwa lata, odkąd zaczęto się zastanawiać nad tym, co zdarzyło się w Newark... Przypomina pan sobie, Shulz?

Shulz przypominał sobie bardzo dobrze. Wówczas czuł się bardzo silny, ponieważ stała za nim organizacja polityczna i na zlecenie z Europy porwał się na Johnny'ego Settimano. Anonimowy telefon do władz federalnych. Mała paczuszka z narkotykami skonfiskowana na norweskim statku handlowym. Rezultat: Johnny Settimano stracił kilkaset tysięcy dolarów. Było to ostrzeżenie... Nigdy jednak nie przypuszczał, że mogą dotrzeć aż do niego. Po plecach przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz. Czyżby de Luca chodziło o tę starą historię? Niezbyt prawdopodobne. Kara w podobnych przypadkach ma postać dwóch morderców, którzy zadzwonią kiedyś do waszych drzwi i gdy wpuscicie ich do środka, po kilku „sztychach” ulokują wam kulę kaliber 0,38 w samym środku czoła.

Istniał na pewno inny powód, a słowa de Luki stanowiły jedynie wstęp do czegoś bardziej poważnego. Ojciec chrzestny z New York City kontynuował, nie czekając na odpowiedź Shulza:

—Sprawa z Newark była dla pana bagatelką. Ma pan na koncie wiele sztuczek innego rodzaju. Takich, które nas naprawdę interesują. A więc mówiono tu i ówdzie, jakoby miał pan dług wynoszący około... około ile, Johnny?

—Trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów — sprecyzował sucho Johnny Settimano.

—Trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów — podjął de Luca — to duża suma. Nikt nie lubi tracić takiej sumy. Zwłaszcza Johny...

Settimano pozostał niewzruszony, ale jego czarne oczy ciągle utkwione były w twarzy Shulza, który poczuł się dziwnie.

—Mógłby nam pan wyświadczyć przysługę — kontynuował de Luca — a w zamian można by rozważyć ponownie pański dług... Mówię — podkreślił — ponownie rozważyć, nie — zapomnieć...

—Powiedziałem już, że nie zgodziłem się z takim rozwiązaniem, Nick — wtrącił Johnny Settimano.

Na twarzy De Luki ukazał się grymas znużenia.

—Johny — odparł uspokajającym tonem — dyskutowaliśmy już o tym. Wszyscy...

—Wiem — przerwał oschle Settimano — ale pragnę powiedzieć, że się nie zgadzam i nie będę solidaryzował się z wami.

—Wszyscy jesteśmy solidarni w decyzjach, jakie podjęliśmy tutaj, Johnny — głos Vince'a La Marca brzmiał łagodnie.

—W moich czasach — dorzucił z pogardą Abe Zweig — było się „ugotowanym”, jeśli traciło się trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Johnny Settimano zbladł pod swoją opalenizną. Pozostawiwszy go, de Luca rzucił Shulzowi życzliwy uśmiech.

—Mała sprzeczka rodzinna, bez znaczenia, Shulz. Kontynuujmy. Można by więc ponownie rozpatrzyć pański dług...

Shulz przerwał mu nieco zachrypniętym głosem:

—Jestem zrozpaczony, ale nie sądzę, abym mógł wam wyświadczyć przysługę, która jest warta trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów...

Milcząco przyznał się do zorganizowania akcji w Newark. Był tego w pełni świadomy, ale zdecydował, że nie będzie „kręcił” z bossami Syndykatu. Było to zbyt niebezpieczne.

—Są przysługi, które łatwo zaszyfrować, Shulz. Ta, którą chcemy, żeby pan nam ją wyświadczył, jest tylko jedna. W normalnych czasach warta byłaby nie więcej niż dziesięć tysięcy dolarów. Ale wydaje się, że czasy są niezwykle i nie mamy nikogo innego pod ręką, a poza tym bardzo nam się spieszy...

Tym razem interweniował Stan Kovacs. Jego twarz była czerwona z gniewu.

—Okay! Wiem, że decyzje zostały podjęte większością głosów. A więc pozostaje mi tylko stulić gębę. Jednakże chciałbym powiedzieć, że ten facet nie wzbudza we mnie zaufania... — Wskazał palcem na Shulza. — A poza tym, nie wiemy o nim zbyt wiele, podczas gdy moi ludzie... — Stół zawibrował pod wpływem uderzeniem Stana Kovacsa.

Niski i mocny głos „Frenchie” Terreta, lekko zabarwiony akcentem francuskim, nagle powstrzymał go: — Stan, nie masz tutaj czego szukać z twoimi zbirami. Więc uspokój się...

Stan Kovacs zawahał się, tłumiąc w sobie wybuch. Po chwili zdecydował, że lepiej posłużyć się dyplomacją.

—W porządku, Charlie... Ale posłuchajcie wszyscy, w Harlemie wykonaliśmy dobrą robotę, nie? I wtedy się nie sprzeciwiałeś, Nick. — Odwrócił się do De Luki, szukając oparcia.

—Harlem to Harlem — interweniował Vince La Marca.

—Banda brudnych czarnuchów do niczego niezdatnych — zgodził się Abe Zweig. — W moich czasach nie mieliby nawet prawa głosu.

—Spokojnie, zaczekajcie, oni są cholernie dobrze zorganizowani, lepiej niż myślicie — zareplikował Stan Kovacs.

—Niepotrzebnie się upierasz, Stan — odpowiedział mu Vince La Marca — Przez te klótnie tracimy czas. Jeszcze raz chciałbym wszystkim przypomnieć, że decyzje zostały podjęte większością głosów i tu nie miejsce na to, by się z tym zgadzać czy nie zgadzać. A co do ciebie, Stan, chciałbym przypomnieć, że to ja pierwszy zaproponowałem posłużenie się Shulzem. Sądzisz, być może, że nie byłem poinformowany? Że zaproponowałem faceta, którego nie zna ani Ewa, ani Adam? Powiedz mi, Stan, czy ty może bierzesz mnie za starca, który powinien ustąpić miejsca młodemu?

Z czerwonej twarzy Stana Kovacsa stała się trupioblada.

—Ależ Vince! — zaprotestował. — Mylisz się. Mówię dla dobra wszystkich. Nie można spartolić tej roboty.

Vince La Marca wruszył ramionami.

—W porządku, Stan! Skończmy na tym. Mów dalej, Nick.

Shulz obserwował tę scenę z zainteresowaniem i zastanawiał się, czego oni wszyscy chcą. De Luca zachował swój uśmiech. Rzucił Shulzowi:

—Tutaj jest jak w Senacie. Są republikanie i demokraci, jedni nigdy nie zgadzają się z drugimi. Ale kiedy zabiera się głos, liczy się większość. Wracając do kwestii tego długu, Shulz, powinien się pan zastanowić jak załatwić sprawę z wierzycielem?

Shulz zadowolił się skinieniem głową na znak zgody. Czekał na ciąg dalszy.

—Dobrze. Mamy robótkę do wykonania, która leży w pańskich kompetencjach. Ale nie w Stanach Zjednoczonych. We Francji. Wybraliśmy pana, ponieważ pracuje pan na arenie międzynarodowej i mówi pan kilkoma obcymi językami, w tym oczywiście po francusku. A także dlatego, że ma pan doświadczenie w masowych egzekucjach. Co pan o tym myśli?

Shulz poczuł dreszcz na plecach na wzmiankę o masowych egzekucjach. Oczywiście, w przeszłości aktywnie uczestniczył w operacjach tego rodzaju, czasem nawet nimi kierował, ale kontrakt tego rodzaju zawsze był niebezpieczny. Jednak, jeśli chciał ratować swoją skórę, nie należało w żadnym wypadku pokazywać, że nie zgadza się na tę misję.

Jego twarz pozostała niewzruszona i odpowiedział spokojnie kontrolując ton głosu:

—Powiedział pan wcześniej, że nie miałem wyboru.

—Łagodny jak baranek — zaśmiał się szydlerzo Stan Kovacs, biorąc obecnych na świadków.

Abe Zweig wzruszył ramionami i De Luca zlekceważył to, że mu przerwano.

—Nie mówię o tym — zareplikował nieco oschle. — Oczywiście, że nie ma pan wyboru. Mówię o tym z punktu widzenia techniki. Dla pana jest to łatwe do wykonania? Czyż nie?

—Potrzebuję trochę więcej szczegółów...

De Luca zawahał się krótką chwilę.

—Jakie szczegóły chce pan znać?

—O kogo chodzi?

—O osoby dość dobrze sytuowane i wysoko postawione we Francji.

—Znani ludzie?

—Jako tako.

—Ilu ich jest?

—Sześciu.

—Mężczyźni, kobiety?

—Pięciu mężczyzn, jedna kobieta.

Shulz odetchnął. To nie była, dokładnie mówiąc, egzekucja masowa.

—Jak pan chce, żebym tego dokonał? Upozorowany wypadek, samobójstwo?

De Luca żuł przez chwilę cygaro, zanim odpowiedział:

—Widzi pan, Shulz, tak się złożyło, że nam się spieszy, bardzo nam się spieszy... Nie ma czasu na staranne wykończenie zadania. To, czego chcemy, to jest coś szybkiego, brutalnego, a nade wszystko — synchronicznego.

—Co takiego?!

Shulz wydał okrzyk zdziwienia.

—Dobrze mnie pan zrozumiał. Syn-chro-nicz-nego — sprecyzował De Luca, dzieląc sylaby.

—Chce pan powiedzieć, że cała szóstka w tym samym czasie?...

—Dokładnie to. W tej samej sekundzie, jeśli byłoby to możliwe.

—Był pan już kiedyś we Francji, Shulz — rzucił Vince La Marca.

—Tak...

—Zna pan bardzo dobrze kraj, miał pan tam nawet kontrakty. To nie powinno nastęrczyć panu zbyt wielu trudności.

—Potrzebny mi zespół ludzi...

—A co, nie mówiłem wam? — triumfował Stan Kovacs — Nie ma na świecie tak samodzielnego człowieka, który może wykonać taką robotę. Posłuchajcie mnie: proponuję, żeby Ricky Valenti i jego ludzie...

—Dość, Stan — nakazał Abe Zweig. — Pozwól mu najpierw skończyć.

—Personel, oczywiście, mogę znaleźć, panie La Marca — ciągnął Shulz. — Personel równie doświadczony jak ten od pana Kovacsa...

Umyślnie wymienił dwa nazwiska, aby zaznaczyć, że ich rozpoznał, chociaż Nick de Luca nie przedstawił mu nikogo z obecnych. Stan Kovacs przyglądał mu się bacznie krótką chwilę. Vince La Marca zaciągnął się cygarem.

—Mówiono, że jest pan dobrze zorientowany — wtrącił z uśmiechem „Frenchie” Terret.

—Wie pan także, kim są pozostali, Shulz? — zapytał Abe Zweig z zainteresowaniem.

Aby pokazać, że nie blefował, Shulz uczynił niezwykle wyniosły grymas:

—Oczywiście. W moim zawodzie, wie pan, trzeba wiedzieć, gdzie się stąpa i nie atakować wielkich, tylko ich poznać...

—Szkoda, że nie zastosował pan tej pięknej teorii w Newark — zareplikował oschle Johnny Settimano.

Shulz przygryzł wargę. Settimano nie strawił jeszcze tej starej sprawy.

—Powiedział pan, że mógłby znaleźć personel... — podjął De Luca.

—Mogę znaleźć... ale jeśli się śpieszycie...

—Stan mógłby, być może, zaproponować mu ludzi — wtrącił kwaśno Johnny Settimano.

Stan Kovacs uśmiechnął się szeroko.

—W końcu przekonają się, że...

—Chodzi mi o ludzi, którzy mówią po francusku i którzy będą bezwzględnie posłuszni — rzucił Shulz tonem nie znoszącym sprzeciwu.

—A więc, Stan? — zapytał Vince La Marca.

—Mogą być bezwzględnie posłuszni, zgoda, nie ma problemu — odparł Kovacs lekko zakłopotany — ale co do znajomości francuskiego... Moi ludzie nie kończyli Harvardu, a w Bronxie, Brooklinie czy na Lover East Side nie uczą francuskiego. Ale czy to naprawdę niezbędne, Shulz?

—To jest niezbędne — odparł ostro Shulz.

Należało dodać, że on sam urodził się w Lover East Side, co nie przeszkodziło mu nauczyć się francuskiego.

—Jego decyzja — zakonkludował Abe Zweig.

—Sądzę, że ma rację — dorzucił „Frenchie” Terret ze znajomością rzeczy.

—Ile czasu zajmie panu znalezienie ludzi? — spytał De Luca.

Shulz wzruszył ramionami.

—Trudno powiedzieć. Trzeba złapać kontakt z nimi. I być może nie są oni w tej chwili wolni. Należałoby wówczas znaleźć innych... — Zastanowił się krótką chwilę. — Być może potrwa tydzień, dwa tygodnie.

—Okay, Shulz — uciął De Luca donośnym głosem. — Tydzień na znalezienie personelu. Drugi tydzień — na wykonanie kontraktu. To wszystko na co mogę się zgodzić.

—Dlaczego wam się tak spieszy?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie.

—Posłuchajcie — podjął Shulz obserwując ich przez chwilę. — Ja nie pracuję tak jak ludzie pana Kovacsa. Im nie daje się wskazówek. Wysyła się ich do Detroit. Tutaj „kontakt” wskazuje im „cel”. Wysyłają „cel” do nieba i wsiadają do wieczornego samolotu do Nowego Jorku. Ale ja tak nie pracuję. Kiedy ignoruje się motywy „posłania do nieba”, ignoruje się motywację „celu”, a jeśli zdarzy się komplikacja, wszystko się wali. A kiedy się ma wykonać sześć „kontraktów” synchronicznie, ryzyko, że to nie wypali, jest pomnożone przez sześć. Na dodatek nie mogę zrobić tej roboty zupełnie sam, powiedziałbym nawet, że stopień ryzyka trzeba by było pomnożyć przez trzydzieści.

Wszyscy słuchali go z zainteresowaniem. Kiedy skończył, Nick de Luca potrząsnął głową.

—Żałuję, Shulz, ale nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie.

Shulz zacisnął usta na znak niezadowolenia.

—Jak pan chce. To pana sprawa. Oczywiście nie ma wymówek po wszystkim, jeśli coś się nie uda. Ma pan listę tych ludzi? Chciałbym sprawdzić, czy wszyscy mieszkają w tym samym mieście.

—Wszyscy mieszkają w Paryżu — odparł Nick de Luca.

—To ułatwi pracę — skomentował Shulz.

Swoim szorstkim głosem wtrącił się Abe Zweig:

—Vince, czy to ty mi mówiłeś, że możemy zaufać Shulzowi?

Johnny Settmano zaryzykował podjęcia się roli pośrednika między nimi:

—Panowie, posuwacie się za daleko...

Vince La Marca odwrócił się do Abe Zweiga:

—Tak. Masz rację, Abe. — Potem dodał, przenosząc spojrzenie na innych: — Posłuchajcie mnie wszyscy. Wiem z pewnego źródła, że Shulz wykonywał ogromnie ważne kontrakty, ważniejsze niż ten, który chcemy mu powierzyć. Nie mogę podać szczegółów, ale sądzę, że moje słowo wystarczy. A Shulz będzie trzymał język za zębami. Choćby dlatego, że ma dług trzystu sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów wobec ciebie, Johnny...

Shulz spojrział na obecnych. Wszyscy mieli zdumione miny. Ogłupieli. Z wyjątkiem Abe Zweiga.

—A więc — kontynuował La Marca — można mu zaufać. Jesteśmy wszyscy zgodni co do tego, że w tej sprawie nie może mieć miejsca porażka. A więc dlaczego raz nie zaryzykować, skoro Shulz umie trzymać język za zębami?

—Pewnie.

—Należy tę sprawę zakończyć jak najszybciej — gładko rzucił swym ochryłym głosem „Frenchie” Terret. — Zgadzam się na to, by wtajemniczyć Shulza.

Spojrzał na pozostałych, rzucając im wyzwanie.

—Niech będzie tak jak chce Vince... — zdeklarował się Abe Zweig.

—Jesteście w większości — ironicznie zauważył Nick de Luca. — Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przyłączyć się do was.

Johnny Settmano zadowolili się skinieniem głowy na znak aprobaty.

—A jeżeli będzie gadał?

Był to znowu Kovacs, który prowadził walkę podjazdową.

—Sądzę, że ta ewentualność nie będzie brana pod uwagę — roześmiał się drwiąco Abe Zweig. — Czyż nie tak, Shulz?

Shulz skamieniał. Ostatnie zdanie Abe Zweiga wypowiedziane tym chrapliwym głosem, równie miłym dla ucha niczym hałas elektrycznego noża chirurgicznego podczas piłowania kości udowej, zmroziło mu krew.

—Jak powiedział wcześniej pan La Marca, moja przeszłość jest gwarantem mojej dyskrecji — odparł sucho.

Stan Kovacs, z obleśnym uśmiechem na twarzy, chwycił szklanę, która stała przed nim, i opróżnił ją dużymi łykami.

—Dobra, Shulz. Sprawa jest jasna. Damy panu szkic topograficzny.

Vince La Marca przejął rolę prowadzącego.

—Jak każdy dobry Amerykanin, powinien pan oglądać telewizję każdego wieczoru.

—Nie każdego wieczoru, ale często — tak.

—Dobrze. Powinien pan zauważyć, że w tych dniach pojawia się na ekranie jeden facet, który ten ekran rozsadza. Gwiazda wszystkich kanałów telewizji: Oliver Sheffield z Baltimore. Nie może on już siusiać z radości, ponieważ schwytał pewnego Francuza z sześćdziesięcioma kilogramami heroiny i kiedy klient zaczął gadać, szala drgnęła. Opowiadał, że to francuskie służby specjalne dostarczyły mu kokainę. Francuskie służby specjalne, coś jak tutejsze CIA. I podał nazwisko swego szefa! Wybuchł międzynarodowy skandal i akcje Olivera Sheffielda skoczyły do góry. Widzi już siebie w fotelu Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych lub w ostateczności — gubernatora stanu Maryland. Drogą dyplomatyczną poprosił o śledztwo we Francji. Tutejsza opinia publiczna poparła go w tej sprawie. Francuskie restauracje u nas tracą klientów. Naiwniacy boją się, iż podadzą im *coq au vin* z morfiną. We Francji panuje wielki burdel. Mamy tutaj ustalić, jaki cios zadamy.

—O ile dobrze zrozumiałem, facet wyłożył się nieco za szybko — skomentował Shulz z uśmiechem.

—Dokładnie, Shulz — zgodził się Vince La Marca — Facet wyłożył się nieco za szybko. A sześćdziesiąt kilogramów heroiny odkryte ot tak sobie, na nosa, to zasługa zwykłego celnika... Trzeba mieć mózg wybielony detergentem, aby uwierzyć w podobną historię. Został więc zadany cios. Przez kogo, przeciw komu, dlaczego?. Nic na ten temat nie wiadomo i nie ma czasu, by się dowiadywać. Jedynie prześwieczne mózgi z Departamentu Stanu w Waszyngtonie zaczęły, jak twierdzą, analizować sytuację. Tłoczono nam do naszych małych głów, że Francuzi zostali zobligowani do wykazania dobrej woli. A dobra wola w tym wypadku, polega na czym, Shulz?

—Wpakować odpowiedzialnych za to do mamra.

—Dokładnie tak. A tych odpowiedzialnych Francuzi znają, ponieważ Biuro do Spraw Narkotyków przesłało im listę wszystkich „głów”. I co teraz robią Francuzi? Nic. Zwlekają. Dlaczego? Ponieważ nie podoba im się to, że Amerykanie chcą robić porządek w ich domu. Oni także wiedzą, że to był dobrze zadany cios. Po pierwsze, francuskie służby specjalne nigdy nie były tak manipulowane. To jest, być może, pułapka Rosjan lub Chińczyków — wystawić do wiatru francuskie tajne służby.

O tym nic nie wiadomo. Zresztą, drwią sobie z nich. To nas nie dotyczy. Jedyne, co nas dotyczy, to to, co się stanie później. Pewnego dnia Francuzi zostaną zobowiązani do wpakowania do mamra typów, którzy figurują na liście Biura do Spraw Narkotyków. Ci

ludzie są odpowiedzialni za naszą siatkę we Francji, panie Shulz. To nie jest małe piwo. Oni mają stosunki, przyjaźnie polityczne. Kiedy znajdą się w pace, co się stanie? Agenci od narkotyków polecą do Paryża pierwszym „747” i dobiją targu. Niech pan zbilansuje i utrzyma pańskie kontakty w USA, dostarczy wskazówek, przekonujących dowodów, żeby można było „wyłożyć” Syndykat na stół, i w zamian spada na pana ekstradycja. A czy myśli pan, że ci faceci nie pójną na to?

Shulz odetchnął głęboko, tak jakby zbyt długo powstrzymywał oddech.

—Okay! Panie La Marca, zrozumiałem. Chce pan użyć ścierki do podłogi, zanim gliny położą na tym łapę.

—Dokładnie tak. Zdarza się, że...

Wybuchnął na krótko śmiechem.

—„Narkotyki” nie weryfikują ilości kopii swoich listów... W koszu na papier przyjaciółka odnalazła jedną z takich kopii... z nazwiskami. Trzeba przyznać że oni są dobrze poinformowani. Ani jednej pomyłki... Oczywiście są też gryzipiórki... Ale tamci boją się. Nie istnieje niebezpieczeństwo, że zasiądą do stołu. Zresztą nie byłiby groźni, ponieważ nie mieliby zbyt wiele do powiedzenia. Co do chemików, dla nich zawsze będzie jakieś zajęcie... Nick, masz listę?

De Luca rozłożył ręce i otworzył podkładkę, na której spoczywały jego łokcie. Wyjął stamtąd kartkę. Podał ją Vince’owi La Marce, który następnie pchnął ją do Shulza.

Harry studiował ją uważnie. Lista zawierała sześć nazwisk, sześć adresów, sześć numerów telefonów. Z tych sześciu nazwisk znał jedno...

Uniósł wzrok znad listy i jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Johnny’ego Settimano.

—To coś panu przypomina, nieprawdaż, Jackson?

Zrobił aluzję do pseudonimu, którym Shulz posłużył się, aby spotkać się z Massicaud-Vellardem dwa lata wcześniej, na umówionym spotkaniu, które było początkiem afery z Newark, tkwiącej jak zadra w sercu Johnny’ego Settimano.

Massicaud-Vellard figurował na liście. Jego nazwisko było nawet pierwsze, u samej góry kartki.

Shulz wzruszył ramionami, nic nie mówiąc.

—I jeszcze jedno, Shulz — mówił De Luca. — Teraz, kiedy zna pan szczegóły, rozumie pan, dlaczego operacja musi być synchroniczna. W przeciwnym wypadku istnieje ryzyko, że inni zrozumieją, iż ich kupie wpadli i coś takiego zrobią? Pośpieszą do glin...

—Rozumiem — zapewnił Shulz. — Jednak dziwi mnie, że nie ma u was blokady w takich wypadkach?

—Nie na tym szczeblu.

—Inne pytanie. Jeśli zostaną zatrzymani, dlaczego mają mówić? Powinni domyślić się, że czeka ich zemsta.

—Niech pan nie zapomina, że ci ludzie nie są sutenerami. Oni zajmują wysokie pozycje społeczne. Mają stosunki, dobrze usytuowanych przyjaciół, ludzi na stanowiskach. Liczą na nich. Poza tym, oni nie myślą tak jak my. Zemsta to coś odległego w czasie. Dla nich liczy się teraźniejszość, to jest ważne. Zresztą, dla nich zemsta pachnie literaturą kryminalną. Wyobrażają sobie, że nie istnieje w rzeczywistości.

—Zgoda — powiedział Shulz. — A teraz kwestia kosztów... Taka operacja będzie kosztować bardzo dużo...

—Pomyśleliśmy o tym.

—Do mnie należy finansowy aspekt operacji, Shulz — odezwał się „Frenchie” Terret — Będzie pan załatwiał to ze mną. Niech pan sporządzi kosztorysy, a dam panu fundusze. Zresztą, zamieszkam w Paryżu aż do chwili, gdy będzie po wszystkim.

—Poza pokryciem kosztów przewidzieliśmy dla pana nagrodę, 10.000 dolarów, Shulz — dorzucił De Luca. — Kontrakt wart jest więcej, ale jest jeszcze ta stara historia z Newark...

Shulz przystał na to skinieniem głowy, bez jednego słowa. Nie miał możliwości, by się wycofać po tym, co mu ujawniono, czekałaby go bowiem likwidacja. Stan Kovacs nie posiadałby się z radości...

—Dobrze. Przypuszczam, że powinienem niezwłocznie rozpocząć przygotowania?

—Natychmiast.

—To będzie kosztowało...

—To zostało przewidziane — powiedział „Frenchie” Terret. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął grubą kopertę. — Oto dziesięć tysięcy dolarów zaliczki. Niech pan skontaktuje się ze mną w Continentalu w Paryżu, pokój 403. Będę tam w piątek. Mimo wszystko, pan nie może się włóczyć po USA. Nie teraz, kiedy tyle się dzieje...

—Ostatnie pytanie. Co się stanie później.

—To znaczy kiedy? — spytał Vince La Marca.

—Kiedy wykonam kontrakt. Przypuszczam, że będę facetem, który wie zbyt wiele...

—Wiemy, że pan umie trzymać język za zębami Schulz... A poza tym facet taki jak pan zawsze znajdzie sobie robotę. Wie pan, co chcę przez to powiedzieć?

Okropnie się wplątałem, pomyślał Shulz z niepokojem. Uchwycił jednocześnie wstrętne spojrzenie, które rzucił mu Stan Kovacs.

—Co do historii z Newark, zapomnimy o niej, prawda, Johnny?

Settimano milczał. Shulz powiedział sobie, że musi się wystrzegać tych dwóch facetów, Johnny'ego Settimano i Stana Kovacs.

—No cóż. Sądzę, że powinniśmy zostawić Shulza, by zajął się tym, co do niego należy — stwierdził Nick de Luca — Jeśli nie ma pan już innych pytań...

Shulz zaprzeczył ruchem głowy, zabierając listę nazwisk. Ale zanim opuścił salon, odwrócił się jeszcze do Vince'a La Marki.

—Żadnych gwarancji, oczywiście?

—Gwarancji na co, Shulz?

—Na amnestię dla mnie po wykonaniu kontraktu.

Vince La Marca uśmiechnął się lekko.

—Jest pan zbyt inteligentny, Shulz, i nie tak łatwowierny, by uwierzyć w gwarancje słowne. Nie możemy powiedzieć panu nic innego... Więc? Niech pan wykona robotę. Zobaczymy później. To jest ryzyko, trzeba się spieszyć. Ale pan mi uwierzy, ma pan dużą szansę, aby z tego wyjść...

Shulz spuścił wzrok i wyszedł z salonu nie mówiąc już ani słowa.

Majordomus, ciągle napuszony, odprowadził go aż do samochodu. Bez wątpienia chciał się upewnić, że Shulz nie rozplynie się gdzieś po drodze. Shulz powrócił do chryslera i szybko ruszył długą cementową aleją. Strażnicy otworzyli bramę. Zaledwie ją przekroczył, starał się przyspieszyć. Odczuwał nagłą potrzebę oddalenia się jak najszybciej od tej posiadłości. Spojrzał w lusterko, aby sprawdzić, czy go ktoś nie śledzi. Prawdopodobnie, nie.

Kiedy zobaczył znowu wśród topoli oberżę The Bird and Bottle, zdecydował się tam zatrzymać. Wypił dużo u Nicka de Luki, ale mimo wszystko odczuwał nieodpartą potrzebę wzmocnienia sił czymś mocniejszym.

Wnętrze oberży było w stylu „Early American”. Bar był przytulny. Usiadł wygodnie przy oknie, skąd mógł obserwować drogę i zamówił wytrawnego burbona.

Przez następne pół godziny nie zauważył żadnego samochodu na tej wiejskiej drodze. Sytuacja była niepokojąca. Czuł się zniewolony, a jego wyobraźnia, choć bogata, nie podsuwała mu żadnego pomysłu. Jeśli usiłowałby uciec gdzieś daleko i zrezygnować z wykonania zlecenia, to prędzej czy później zbiry Stana Kovacsa schwytają go i będzie musiał drogo zapłacić za wszystko.

Jedynie wyjście, które dawało jeden procent szansy przeżycia, polegało po prostu na wykonaniu kontraktu, który dał mu Nick de Luca i pozostali.

Rozważywszy wszystko dokładnie Harry Shulz stwierdził, że nie był on niewykonalny. Czuł w sobie chęć parcia do przodu. Wykonanie takiego kontraktu było czymś rutynowym, a poza tym musiał wykorzystać doświadczenia ze wszystkich dziedzin.

Nieco uspokojony opróżnił pierwszą szklanekę burbona, zamówił drugą, którą wypił szybko, i opuścił oberżę.

W drodze powrotnej uporządkował myśli i rozpoczął układanie planu działania. Mimo wszystko z przyjemnością powrócił do apartamentu na rogu Park Avenue i 86 Ulicy Wschodniej, który był jego spokojną przystanią. Miał dziwne wrażenie, że był otwarty na wszystkie wiejące wiatry.

ROZDZIAŁ III

Dziewczyna opuściła apartament i powietrze wypełniło się znowu zapachem jej tanich perfum. Pochodziła z Trynidadu i jak wszystkie Metyski cierpiała na udar nerwów krzyża, który w efekcie doprowadzał bardzo szybko do finalnego kurczu. Miała na imię Janet i już po raz siódmy spędziła z nim noc. Pięćdziesiąt dolarów za każdym razem to bez wątpienia nieco za drogo, ale niezaprzeczalnie należały się jej.

W rzeczywistości była to dobra dziewczyna. Nie chodzi tutaj o historię jej nieszczęścia ani o to, w jaki sposób nieco za sprytny facet pozbawił ją dziewictwa i „obdarował” bękartem, ani też w jaki sposób znalazła się później wśród prostytutek, by móc utrzymać wspomnianego bękartą. Nie. Janet była po prostu specjalistką od wszystkiego. Jeśli robiła użytek ze swoich ust, to nie po to, by nudzić klienta opowieścią o nieszczęśliwym dzieciństwie spędzonym w dzielnicy nędzy w Port-au-Spain. W końcu Dan O'Malley przyjemnie spędził czas i obiecał sobie, że ją jeszcze odwiedzi.

Była jedenasta przed południem. Na zewnątrz panowała już piekielna gorączka. Przedpotopowy klimatyzator w niewielkim stopniu odświeżał powietrze w pokoju. Duża szklanka burbona z dużą ilością lodu i sody byłaby mile widziana.

Dan O'Malley położył na ziemi tacę ze śniadaniem, które dziewczyna przyniosła mu do łóżka i rozsunął zasłony. Stojąc naprzeciw szafy z lustrem starannie oglądał paskudną czerwoną bliznę, która ciągnęła się na ukos na boku torsu.

Te łajdaki, Haitańczycy! Gdyby nie uskokzył w tył... Nie ma mowy, aby obnosić się na plaży z tym nieestetycznym tatuażem. Już raczej wolałby paść oddając się rozpuście... À tej nie brakowało w tym sezonie w Acapulco.

Znudzenie, oto co ogarniało go, gdy myślał o tych bliznach na udach, o prywatnych plażach z wielkimi hotelami, w których dostrzec można było jedynie umięśnionych facetów z bliznami czy wykidajłów o fantastycznej muskulaturze, wałęsających się w okolicy po to, aby im zabronić wstępu na plażę...

Westchnął i poszedł nalać sobie szklaneczkę burbona. Po przełknięciu jej zawartości schronił się pod prysznicem i pozwolił, by zimna woda długo chłodziła jego ciało.

Jego perspektywy na przyszłość były raczej nieciekawe. Zakaz pobytu w USA i Kanadzie. Poszukiwany przez Tontons Macoutes na Haiti. Dwa tysiące dolarów w kieszeni. Apartament, który kosztował go cztery setki miesięcznie. I żadnej szansy, by spróbować czegokolwiek w Acapulco. Tak, ale jaki inny zakątek mógł wybrać? Ostatecznie jego problem polegał na tym, że zbyt długo został na Haiti. Stracono go z oczu i zapomniano o nim. Ach! Gdyby Papa Doc Duvalier jeszcze żył!

I ten cholerny Joe, który obijał się w Filadelfii! Dwa tygodnie wcześniej, kiedy nawiązał z nim kontakt przez telefon, Joe przyrzekł mu, że wytrzyma coś dla niego. Nieważne co, miał to w nosie, ale coś, co przyniesie mu forszę bardzo szybko. Właśnie rozmyślał sobie o Joe, kiedy usłyszał, że dzwoni telefon. Owinięty w szlafrok kąpielowy wypadł z łazienki. Chwytał słuchawkę i przyłożył do ucha. Trzask, głos telefonistki, która bełkotała fatalną angielszczyzną, potem głos mężczyzny.

—Halo! — wykrzyknął.

—Dan?

Dobry Boże, znajomy głos! Któż to mógł być?

—Ten sam, we własnej osobie — odpowiedział przezornie.

—Harry Shulz. Przypominasz sobie? Pewien piątek...

Dan O'Malley zrozumiał natychmiast. Prawie bełkocząc odpowiedział:

—Harry? Dobry Boże, a to niespodzianka... Jak się dowiedziałeś?

—Od Joe'go z Filadelfii.

To chyba telepatia, pomyślał nagle.

—Ach! Okay. Jak leci, Harry?

—W porządku, Dan. Masz coś teraz? Joe mówił mi, że jesteś wolny...

To jest naprawdę szczęście, pomyślał Dan z radością.

—Tak — szybko odpowiedział.

—Paryż we Francji, jak ci się to podoba?

—Mów. Uwielbiam Europę!

—Okay! Tylko że to pilne. Kiedy możesz wyjechać?

—Natychmiast, jeśli chcesz.

—Doskonale.

—Ile za to płacą, Harry?

—Pięć dużych formatów.

—W porządku. A gdzie cię odnajdę w Paryżu?

—Hotel Brasilia, rue de l'Arcade. Przeliteruję ci.

Dan O'Malley błyskawicznie sięgnął po kartkę papieru i zanotował starannie adres.

—Dan?

—Tak?

—Jak zwykle podróżujesz pod lipnym nazwiskiem?

—Pewnie.

Miał pełny asortyment fałszywych paszportów różnych państw.

—Jakie nazwisko?

Zastanowił się chwilę. Zobaczmy, jakie nazwisko figurowało w paszporcie nowozelandzkim?

—Clarke — odpowiedział w końcu.

—Dobra, zanotowałem. Czekaj na mnie w hotelu. Nie denerwuj się. Zapytam o pana Clarke'a.

—Nie denerwuję się, Harry. Wiesz, że zawsze daję sobie radę...

—Wiem. Jeszcze jedno. Masz pieniądze na bilet?

—Tak. Wystarczy.

—Dobrze, Dan. Pamiętaj, żeby wyjechać jak najszybciej.

—Możesz na mnie liczyć, Harry.

—Do zobaczenia wkrótce, Dan.

Odłożyli słuchawkę jednocześnie.

Posiadłość w Saint-Cloud wyglądała na zasobną, podobnie jak inne w tej dzielnicy rezydencji. Solidne mury, stawiane przed wielu laty. Wiekowe drzewa, niegdyś świadkowie rewolucyjnych epok. Szerokie portale, które widziały defilujące karoce, powozy, eleganckich jeźdźców i wyniosłe, dumne amazonki. A poza tym, wielkie fortuny o podejrzanym niekiedy źródle pochodzenia.

Kiedy Harry Shulz zadzwonił, wielki facet o atletycznej budowie, zimnym i badawczym spojrzeniu zjawił się, by otworzyć mu furtkę i poprowadził go w aleję ozdobioną topolami, których długie gałęzie tworzyły coś w rodzaju honorowego szpaleru nad ich głowami. Okrążyli zewnętrzne schody ze zniszczonymi stopniami i weszli do hallu przenikniętego duszną wonią, do którego prowadziły liczne drzwi. W głębi rozpościerały się szerokie, marmurowe schody prowadzące na piętra.

Emile Mascot ukazał się w jednych z tych drzwi i skinął na Shulza, by szedł za nim. Zamknął za sobą drzwi i ręką wskazał mu fotel.

—Usiądź, Harry.

Sam usadowił swoje olbrzymie cielsko na wspaniałej kanapie obitej skórą. Salon wypełniała atmosfera luksusu i komfortu. Stare, bardzo drogie meble, ciężkie tkaniny obiciowe z brokatu i gruby perski dywan nadawały mu przytulny wygląd. W tym, co

dotyczyło dekoracji, jedność stylu nie była respektowana, co świadczyło, że gospodarz był w pewnym sensie profanem, który nagromadził, bez rozeznania, kosztowne przedmioty. Okiennica była otwarta na oścież i nozdrza Shulza pieścił wietrzyk niosący zapach kwiatów i świeżej ziemi.

Karykatura sługi z okresu Belle Epoque, w kamizelce w żółte i czarne paski, z łysą czaszką i grubymi, siwiejącymi bokobrodami wtoczyła wózek załadowany szklankami, butelkami i ogromnym wiaderkiem z kostkami lodu.

—Obsłuż się, Harry. Wybierz, co chcesz.

Harry Shulz nalał sobie wspaniałą dawkę Wiliama Lawsona i dorzucił do niej dwie kostki lodu, podczas gdy Emile Mascot obsłużył się Armagnakiem.

Kiedy służący zniknął, Mascot popatrzył na Shulza.

—Jakież dobre wiatry sprowadzają cię do mnie, Harry? Jeżeli mnie pamięć nie myli, to nie widziałem cię już cztery lata... — Zachichotał. — Mała uwaga: nie widywałem cię znowu zbyt często, ale kiedy gdzieś przyjeżdżałeś, to coś zaczynało się dziać. Jak wiesz, ustabilizowałem się. Awantury i przygody zostawiłem na boku...

—Wiem o tym — uciął Shulz z dobrodusznym uśmiechem — ale to, co mam ci do zaproponowania, nie jest męczące, nie jest niebezpieczne i przyniesie ci kilka tysięcy dolarów.

Wiedział, że stary złodziej nie oprze się urokowi pieniędzy.

—Zależy, co to jest... — odpowiedział ostrożnie Emile Mascot — Wiesz, że nie mogę się kompromitować. Dopiero co się urządziłem, a więc musiałbym być stuknięty, żeby ryzykować, nie? Dobrze się czuję w tej budzie... — Jego ramię zatoczyło krąg. — Od czasu do czasu wychodzę, aby dojść do murów obronnych między bastionami lub bić kilka razy bank w grze, w tajemnicy przed innymi... Są tu dwie, trzy babki, które przychodzą zabawić mnie w tygodniu. Poza tym polowanie, wędkowanie, cudowne życie, cóż... Powinieneś o tym pomyśleć, Harry, jeśli masz już dość „lewej” forsy...

Stary spryciarz próbuje mnie oszukać, pomyślał Shulz. Od dobrych piętnastu lat specjalnością Emile’a Mascota były banki. Wypłacał pieniądze i dawał broń ekipie, która przygotowała skok. Finansował i pozwalał innym wykonać robotę. A w przypadku nieudanego skoku brał nogi za pas.

Oczywiście, zanim dostanie swoją wielką forszę, należało go wtajemniczyć w skok i dopilnować, by faceci byli poważni i dowiedli, co potrafili w przeszłości. To nie był pierwszy lepszy chuligan, który wyszedł z rynsztoka i Harry wiedział to, zanim zastukał do drzwi Emile’a Mascota.

Harry Shulz potrząsnął głową z ubolewaniem.

—Jestem zbyt młody na odwrót, Emilu, i jak powiedziałeś, nie mam dosyć „lewej” forsy. — Westchnął. — Niedobrze. Jeśli ustabilizowałeś się...

—Oczywiście, że jestem statecznym człowiekiem, ale jeśli twoja robota jest zbyt delikatna, znam dwóch lub trzech poważnych chłopaków, którzy mogą się tym zająć. Jednak najpierw należałoby zobaczyć, co to takiego.

—Otóż to, Emilu. Potrzebuję informacji o sześciu osobach. Ich przyzwyczajeniach, miejscach gdzie bywają, mężczyznach i kobietach, z którymi się spotykają, godzinach, o których wstają i idą spać, a także ich zdjęć we wszystkich możliwych ujęciach, ale wykonanych dyskretnie, oczywiście... To wszystko.

—Rzeczywiście — mruknął Emile — to nie jest straszne. Przerzuciłeś się teraz na rozwody? Dołujesz, Harry...

Ton jego głosu zaprzeczał słowom. Chciał wiedzieć coś więcej, ocenił Shulz. Ale zρέcznie ominął pytanie.

—Nie mam wiele czasu, Emilu, najwyżej kilka dni. Powiedzmy, że robota musi być wykonana pięciokrotnie w ciągu 24 godzin. I upieram się przy tym, co powiedziałem wcześniej — potrzebuję poważnych facetów. Nikogo w rodzaju tych, którzy mogą spaskudzić robotę.

—Gdzie to się ma zdarzyć? W Paryżu?

—Tak.

—I ilu jest dokładnie tych typów?

—Sześcioro.

—To znaczy, że potrzebujesz dwunastu facetów, którzy będą ciężko harować po dwanaście godzin na dobę. — Zastanowił się chwilę. — A ile płacisz za tę robotę?

—Dla twoich chłopców po tysiąc dolarów, dla ciebie pięć tysięcy.

—Pięćset Hamiltonów! — wykrzyknął Emile Mascot. — Powiedz mi Harry, kiedy będziesz miał bliższe wskazówki?

—Właśnie. Niezbędne jest, by twoi ludzie byli dobrze zorientowani, by nie dali się złapać, żeby byli dyskretni, nawet jeśli w dziennikach pojawią się sensacyjne nagłówki. Wiesz, co chcę powiedzieć?

—Wiem. Powiedzmy — wielki wstrząs, Harry...

Shulz nie odpowiedział.

—Mówiłeś wcześniej, że ci się spieszy. Najwyżej pięć dni na robotę. Mam już kilka nazwisk w głowie, ale muszę znaleźć pozostałych.

—Skorzystaj z telefonu.

Emile Mascot wzruszył ramionami.

—Tych facetów nie zawsze można zastać pod telefonem. A poza tym potrzebujemy ludzi pewnych. Muszę myśleć o tym, co się stanie, jeżeli jeden lub dwaj wpadną i jeżeli będą trzymać mnie w niepewności...

—To twoja partia, Emilu — zareplikował Shulz obojętnym głosem.

—Zauważ, że ty masz swoje tajemnice. W tej chwili sprawy stoją źle, nie ma za dużo zleceń, ale znam kilku dobrych facetów, którzy mogliby się tym zająć...

Shulz wyjął z kieszeni złożoną we czworo kartkę papieru i wręczył ją Mascotowi.

—Oto lista. Przydziel dwóch ludzi na każde nazwisko, ale oddzielnie. Nie ma potrzeby, żeby jedni wiedzieli, co robią inni.

Zaskoczony, Emile Mascot zaprotestował:

—Harry, za kogo ty mnie masz?!

Shulz nie uczynił żadnego ruchu, żeby wstać.

—Kiedy robota będzie skończona, spal listę. Jeżeli chodzi o mnie — spojrział na zegarek — przyjdę znowu zobaczyć się z tobą we wtorek rano, okay?

—Okay — mruknął pod nosem Mascot. — To będzie, być może, trochę za wcześnie, Harry.

Ale Shulz zignorował tę uwagę i wstał z fotela.

—Aha! Sądę, że o czymś zapomniałeś, Harry.

—Tak? Co takiego?

—Forsa.

—Zrozum, Emile — odparł spokojnie Shulz, kierując się ku drzwiom. — Wiesz dobrze, że płacę zawsze po wykonaniu zlecenia. A tak między nami, musimy mieć zaufanie do siebie, no nie?

—Chcę tylko powiedzieć, że muszę dostać zaliczkę na opłacenie chłopców...

—To twoja specjalność, Emile — zachichotał Shulz, — I jakkolwiek dolar byłby zdewaluowany, zawsze będzie pewną walutą, uwierz mi. Siedemnaście tysięcy dolarów, dobrze ukryte, które któregoś dnia zostaną zdewaluowane, to nie jest brudny interes. Będiesz je miał. Do zobaczenia, Emilu.

Otworzył drzwi.

Louis Suttot podniósł pięćdziesięciofrankowy banknot, który ktoś wsunął mu pod dno szklanki i odwrócił się do kasy. Otworzył szufladę i położył drobne do spodeczka zamykającego szufladę. Kiedy podniósł głowę, jego spojrzenie napotkało dwoje zimnych oczu, które go obserwowały. Nic nie mówiąc poszedł postawić spodeczek przed klientami, a potem wezwał swoją małżonkę, Mariette.

Zaledwie pojawiła się w drzwiach, dał jej znak, aby zastąpiła go za ladą i nie oglądając się za siebie skierował się ku tylnej części sali. Pchnął drzwi i szybko ruszył ku schodom, które prowadziły na pierwsze piętro. Kiedy znalazł się na podeście, odwrócił się. Jakiś człowiek wdrapywał się po schodach, nie spiesząc się. Stopnie straszliwie skrzypiały. Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Lotusa Suttot.

—To przyjemność móc znowu pana widzieć, panie Shulz — powiedział, kiedy ten drugi dołączył do niego.

Harry Shulz podał mu dłoń. — Mnie także, Louis.

Louis Suttot poprowadził go w głąb korytarza i otworzył drzwi. Cofnął się i pozwolił mu wejść do małej sali jadalnej z rokokowymi meblami, styl roku 1930. Wskazał krzesło.

—Niech pan siada. Wypijemy szklaneczkę. Sądzę, że nawet gdzieś mam whisky. Stary rocznik. Nigdy tego nie piję. To nie w moim guście. W dzielnicy takiej jak ta, klienci w ogóle nie piją czegoś takiego. Uważają, że to cuchnie jak rozdeptana pluskwa.

Z głębi kredensu wyciągnął butelkę P.M., autentycznego calvados i dwie szklanki. Postawił wszystko na stole. Harry Shulz skrzywił się i palcem wskazał na butelkę whisky.

—Skąd ty to wytrzasnąłeś, Louis?

—No cóż, prawdę mówiąc nie przypominam sobie. Dlaczego pytasz?

—Ze wszystkich gatunków whisky, które istnieją na świecie, ta jest najbardziej obrzydliwa. W USA mówią, że dwie litery które widzisz na etykiecie: P.M. to może znaczyć Post Mortem.

—Post Mortem?

—Seksja Zwłok, jeśli wolisz. Widzisz związek?

Louis Suttot wybuchnął śmiechem.

—Tutaj nazywają to siwucha.

—Jeżeli ci to nie sprawi różnicy, skosztuję calvadosa. A kiedy znajdziesz chwilę, wylej tę butelkę z kwasem siarkowym do umywalki.

Louis Suttot zaśmiał się znowu. Nalał dwie wspaniałe porcje calvadosa i usiadł naprzeciwko Shulza. Harry obejrzał pokój. *»

—Przyznaj, Louis, że masz tu dobry interes. Kiedy wszedłem, pełno było tu pijaków. Byłem już od dziesięciu minut, a ty nawet mnie nie widziałeś.

—Tak. To godzina szczytu.

—Duży przynosi zysk?

Louis Suttot wydał wargi. — Jako taki.

—Od wielu lat nie byłem we Francji. Jak tu teraz jest?

—Spokój, przede wszystkim.

—A dla ciebie?

—No cóż, jak widzisz, dla mnie też jest to spokój. Nikt nie pamięta już o Wielkim Louisie...

Harry Shulz uśmiechnął się. — Ja pamiętałem, jak widzisz.

Louis Suttot uniósł głowę. — Tak?

Jednocześnie powiedział do siebie: Uważaj, Wielki Louisie, nie kompromituj się, zanim nie dowiesz się, o co chodzi. Ten Amerykanin jest correct, dobrze płaci i na ogół w porządku, ale jego manewry są cholernie podstępne. Przypominasz sobie faceta, którego napadłeś ostatnim razem? To było dobre pięć lat temu, ale jaki to był zamęt!!

—Jeśli przez przypadek chcesz przypomnieć sobie stare czasy — rzucił Shulz jakby zgadując jego myśli — mam robotę dla ciebie, jeżeli się zgodzisz.

—Zawsze potrzebuję trunku i żywej gotówki. Na czym polega ta robota?

Jakby słowo trunek przypomniało mu o calvadosie, Harry Shulz podniósł swoją szklankę i przełknął jej zawartość kilkoma dużymi haustami.

—Doskonały ten calvados. Gratulacje... Odpowiadając na twoje pytanie, jak zwykle „wysłanie do nieba”...

—Tu, w Paryżu?

—Tak.

—Jakiego rodzaju?

—Wielki trick... Sześciu facetów do zgładzenia w tym samym czasie.

—Nieźle! Ilu będzie ludzi do wykonania roboty?

—Sześciu.

—Ludzie stąd?

—W większości „importowani”.

—Wolę to. Ryzyko jest minimalne. Jeszcze trochę calvadosu?

Nie czekając na odpowiedź, napełnił szklanki po brzegi.

—A te typki do zgładzenia — podjął Louis Suttot — to kto?

—Grube ryby.

—Należy się spodziewać, że zrobi się gorąco, więc...

—Oczywiście. Ale cios będzie dobrze „zmontowany”. Moim zdaniem, ryzyko niewielkie. Rodzaj commando. Uderza i znika.

—Ile za to płacą?

—Piec tysięcy dolarów.

Wciąż obracając złocisty płyn w swojej szklance, Louis Suttot myślał intensywnie. Suma była pociągająca, ale plan Amerykanina był bardzo ryzykowny.

—A kiedy to musi się stać? — zapytał, by zyskać na czasie.

—Najpóźniej za dwanaście dni...

—A co ja będę robił do tego czasu?

—Zostaniesz tutaj. Nie ruszaj się. Rób to, co zwykle. Kiedy będę cię potrzebował, odezwę się.

Byłoby dobrze zarobić pięć tysięcy, dolarów. To pozwoliłoby mu przyspieszyć o rok staranie o zakup tego prowincjonalnego interesu, a poza tym robota nie wyglądała na zbyt męczącą. Z tego, co się orientował, oczywiście. Ale należało mimo wszystko przyznać Amerykańcowi, że miał talent do dobrego organizowania swoich operacji. Louis Suttot nie wahał się długo.

—No dobra. Idę — zgodził się.

Harry Shulz przyjął to do wiadomości skinieniem głowy. Podniósł szklankę i pochylając się nad stołem wypił małymi łykami resztę alkoholu. Mlasnął językiem i zwrócił się do Louisa Suttot:

—Jeśli miałbyś „siostrzaną” butelkę, aby zrobić mi prezent...

Tamten wzruszył ramionami, otworzył ponownie kredens, wyjął nie naruszoną butelkę calvadosu i postawił przed Shulzem, zapakowawszy ją w stary numer „France Soir”.

—Dzięki, Louis. Daj mi na wszelki wypadek twój numer telefonu. Nie znalazłem go w spisie.

Kiedy Suttot nagryzmolił go na kawałku papieru, Shulz złożył kartkę bardzo delikatnie, włożył do wewnętrznej kieszeni, wstał i z butelką calvadosu pod pachą pozwolił Louisowi Suttot iść przodem ku kawiarni.

Na schodach pożegnali się uściskiem ręki i Harry Shulz utorował sobie drogę między grupami kłębiącymi się przed kontuarem, gdzie nikt nie zwrócił na niego uwagi.

—Ach! Jesteś wreszcie, Wielki Lousie — usłyszał za sobą. — Podaj nam cztery Martini. Twoja żona nie chce tu podejść...

ROZDZIAŁ IV

Harry Shulz prowadził działalność zawodowego mordercy na całym świecie od lat. Narodziny nowych, niepodległych państw w Azji i Afryce, i towarzyszące temu eksplozja ambicji polityków w młodych republikach, współzawodnictwo, zemsty plemienne aż do pełnego ich zaspokojenia, niesnaski polityków na wygnaniu, interesy finansowe wielkich amerykańskich lub europejskich spółek wywołały pilną potrzebę powołania specjalistycznego zespołu zdolnego wyeliminować szybko wszystkich natrętów.

Z Europy, z Ameryki zjawili się nagle ochotnicy. Brutalna selekcja została przeprowadzona szybko. Amatorzy, zwykli awanturnicy, żołnierze-straceńcy, poszukiwacze silnych wrażeń doznali dotkliwych porażek i zostali wyeliminowani już podczas swych debiutów. W końcu wyklarowała się ekipa trzydziestu prawdziwych fachowców, podzielonych na dwie kategorie. Piechota i organizatorzy. Wykonawcy i mózgi zwane KiB.

Tych ostatnich było jedynie pół tuzina. Jeśliby ustawić hierarchię Harry Shulz, nawet zdaniem „klienteli”, był uważany za drugiego najlepszego specjalistę. Numerem jeden był pewien Szwed, organizator rewolucji i wielu puczów, które wyniosły do władzy wielu szefów państw afrykańskich.

Pięć lat wcześniej Szwed zaproponował Shulzowi spółkę, ale Shulz wolał zachować niezależność.

Poszczególni wykonawcy byli wspaniałymi technikami zbrodni, każdy z pewnością miał swoją ulubioną metodę, ale byli gotowi mimo wszystko do zabijania według otrzymanych dyrektyw.

Byli to ludzie, którzy wynurzali się z cienia, uderzali i rozplywali się w ciemnościach, pozostając niewykryci. Nie wywoływali międzynarodowych skandali. Ludzie ci nie figurowali w rejestrach przestępców ani w kartotekach Interpolu, nie mieli stałego miejsca zamieszkania ani adresu, lecz bez trudu kontaktowali się za pośrednictwem skomplikowanej sieci przekazników dostępnych jedynie wtajemniczonym. Kod dla kontraktów naturalnie istniał. Był nim dzień tygodnia ostatniego roku bisekstylnego, na który wypadał kolejny dzień miesiąca, w którym kontrakt został podjęty. Była to reguła ważna dla wszystkich, ponieważ wszyscy albo prawie wszyscy tworzyli konsorcjum na szczeblu światowym, rodzaj Syndykatu Zbrodni.

Harty Shulz stosował więc zwyczajną hierarchię, ale jego poszukiwania nie były zbyt owocne. Najlepsi byli zajęci lub nie chcieli podporządkować się warunkom kontraktu. Międzynarodowy rynek zleceń wydawał się rozkwitać.

Chciał zaangażować Koopje, pochodzącego z RPA, ale podróżował po wybrzeżu Chile.

A co się działo w Ugandzie?

Według informacji, które posiadał, Belg Govaerts, Włosi Nannini i Carrano, znaleźli się tam z Hiszpanem Delgado. Prawdziwa Legia Cudzoziemska... Co do Horvatha — Węgra, twórcy i zarazem wynalazcy wielu gadżetów do zabijania, genialnego majsterkowicza, to sam rozerwał sobie twarz, próbując nowej sztuczki... Niech spoczywa w pokoju, w raju morderców...

Ale Harry Shulz nie dokończył przeglądu wszystkich swoich możliwości. W wielu krajach istniało także coś, co w ich tajemnym języku nazywano Kots, to znaczy zabójcy lokalni (miejscowi), będący w opozycji do Trak - „wędrowców”.

Louis Suttot był jednym z nich.

Oczywiście, trzeba było mieć znakomitą reputację, i wysokie kwalifikacje zawodowe, aby zostać jednym z Kots. Przeważnie zastrzeżenia do Kots dotyczyły ich niewielkiej ruchliwości w przypadku nagłego zagrożenia i zbyt silnych więzi narodowych. Jednak w niektórych kontraktach, gdzie wymagana była wielka finezja, ich znajomości przyzwyczajęń i lokalnych obyczajów okazywała się bardzo przydatna. Ale-z wyjątkiem Louisa Suttota, którego znał od dawna, Harry Shulz nie miał innych kontaktów we Francji wśród Kots i dlatego zdecydował, mimo pierwszych bezowocnych prób, kontynuować poszukiwania wśród Traks.

Tak jak każdego wieczora, Helmut Dorff podszedł, by wyciągnąć z komody swoją starą lornetkę z Wehrmachtu, i stanął przy oknie. Odsunął zasłony i przystawił lornetkę do oczu. Nie potrzebował jej regulować. Była jedyna w swoim rodzaju.

Jego broda uniosła się lekko, a głowa przesunęła o jeden - dwa centymetry w lewo. Tutaj. Lornetka była dobrze ustawiona na stary szyld kabaretu o pretensjonalnej nazwie i nędznym striptizem.

Pariser Follies... Popatrzmy no, drugie L z Follies pozostawało w ciemności... To mogło więc znaczyć...

Helmut Dorff odłożył lornetkę na jej zwykłe miejsce i podniósł słuchawkę telefonu. Nerwowo wykręcił numer i kiedy na drugim końcu drutu usłyszał głos, który mu odpowiedział, odezwał się niedbale:

—Hans, Follies składa się z dwóch L, jak voll z gegriisset seist, du Maria, volle der Gnade...

Jakiś nosowy głos zareplikował:

—Wiem... Rzeczywiście, jest przyjaciel z San Domingo, który przebywa w Paizu pod numerem 999-25- 13.

Helmut Dorff gorączkowo nagryzmolił cyfry na okładce najnowszego numeru „Sterna”. Jego rozmówca odłożył szybko słuchawkę. Jutro wyśle pięćset marek Hansowi, którego zresztą nigdy nie spotkał i który ignorował zupełnie cel tych wszystkich środków ostrożności, a poza tym kpił sobie ze wszystkiego. Przekazano mu informację przez telefon, przeciął obwód na drugim L w Follies, nieco później ktoś zatelefonował z informacją w zakodowanym zdaniu, przekazał wiadomość i nazajutrz otrzymał pięćset marek pocztą. Helmut Dorff zastanawiał się intensywnie, a jego szyja naprężyła się z wysiłku koncentracji.

San Domingo — powiedział Hans. Zobaczmy więc, kto był z nim, kiedy limuzyna z Trujillo „usnęła” na ulicy, podziurawiona kulami z thompsona? Wettergren? Nie, O'Brien? Chyba nie. On nie był jeszcze w „zawodzie”... A więc? Young? Niemożliwe... ponieważ wtedy był na Kubie w celi śmierci, oczekując na salwę plutonu egzekucyjnego. Niespodziewanie, jakby chcąc ukarać siebie za osłabienie pamięci, uderzył się w czoło otwartą dłonią.

Harry Shulz, Amerykanin! Oczywiście, to on właśnie był tym, który wypuścił pierwszą serię strzałów i rzucił ostatni granat. A trzecim był Dan O'Malley, który pozostał w Tontons Macoutes po tym, jak przekroczyli granicę dzielącą Haiti od Republiki Dominikany. Fajna, szykowna lista, którą tu znalazł... Członkowie Straży Przybocznej Papy Doc Duvalier a... Helmut Dorff westchnął. Ileż wody upłynęło od czasu uderzenia na San Domingo!

W książce telefonicznej odczytał uważnie dyrektywy, jak przywołać Paryż przez automatyczną centralę, składając zwyczajowy ukłon postępowi technicznemu, który pozwalał mu otrzymać połączenie z Paryżem w kilka sekund.

Wybrał numer tylko raz, przysiadł na oparciu fotela i cierpliwie oczekiwał, aż ktoś zechce podnieść słuchawkę. A kiedy to uczyniono, już po chwili rozpoznał głos Shulza i kiedy był pewien, że Shulz rozpoznał jego głos, powiedział:

—Tylko jedna informacja, proszę cię — zaczął łagodnym głosem i z szerokim uśmiechem na ustach. — Dziś naprawdę jest poniedziałek?

—Jeśli odpoczywa się nazajutrz po dniach odpoczynku, nigdy nie odczujemy zmęczenia — odparł sarkastycznie Shulz.

—Jak leci, Harry?

—Doskonale. Mam dla ciebie zaproszenie, Helmut. Moja żona i ja chcielibyśmy prosić cię o towarzystwo w Paryżu na tydzień, jeśli jesteś w tych dniach wolny.

—Jestem wolny, Harry, tylko... nie jestem zupełnie sam. Tworzę zespół z przyjacielem od kilku lat...

—Poważnie? Nic w rodzaju: tłuczenia naczyń i zarzycanie łazienek?

—Widzisz, Harry — wyrzucił mu nagle Helmut Dorff — nie stworzę zespołu z ludźmi bez wykształcenia.

—Ręczysz za niego, Helmut?

—Nie ma się czego obawiać, Harry.

—A więc zaproszenie jest ważne także i dla niego. Moja żona będzie zachwycona. Poza tym, jesteśmy szaleńcami...

—Mówiono mi, że odziedziczyłeś coś, Harry?

—To prawda. Ale to nic wielkiego. Po pięć tysięcy dolarów dla każdego z nas dwojga, dla mojej żony i dla mnie.

—W rzeczy samej nieźle, Harry. Jak znajdziemy cię w Paryżu?

Na okładce pisma zanotował adres.

—A to zaproszenie, od kiedy jest ważne?

—Od zaraz. Zabierz też ze sobą kilka letnich ubrań, nic więcej. Co do reszty, mamy co trzeba w domu.

—Dobrze, zrozumiałem. A więc do zobaczenia wkrótce, Harry.

I odłożył słuchawkę. Rozdarł okładkę magazynu, złożył ją na czworo i wsunął do kieszeni, potem poszedł otworzyć drzwi od sypialni. Kurt Hopken odrzucił prześcieradło i narzuty, i spał zupełnie nagi, wyciągnięty na plecach. Postacie z kreskówek Walta Disneya, wytatuowane wokół pępka, stroiły miny, wykręcały się i deformowały w rytm oddychania. Myszka Miki na przemian stroiła miny, marszczyła brwi w kierunku Kaczora Donalda, potem uśmiechała się do niego, a Minnife, mała myszka, robiła obchód wokół nogi przed Królową Śnieżką otoczoną siedmioma krasnoludkami, na przemian srogimi i rozbawionymi. Ale ten cudowny obraz zacierał się szybko, kiedy spojrzenie wędrowało ku górze, na wysokość klatki piersiowej pokrytej bliznami, aż do brutalnej twarzy, której ostrego wyrazu nie złagodził nawet sen. Wielkie dłonie o dużych palcach, pokryte bujnymi włosami, spoczywały na podbrzuszu jakby chcąc chronić w ten sposób czułe miejsca. Helmut Dorff zbliżył się do łóżka i energicznie potrząsnął śpiącym.

—Wstawaj, Kurt — nakazał, kiedy tamten otworzył oczy — Wstawaj, mamy kontrakt.

Kurt Hopken obudził się błyskawicznie. Jednym skokiem był już na nogach i chwiejnym krokiem skierował się do łazienki.

Helmut Dorff usiadł na brzegu łóżka podziwiając w zamyśleniu atletyczne cielsko, które poruszało się przed nim.

Kiedy Kurt Hopken ukazał się znowu i zaczął się ubierać, upomniał go niecierpliwym tonem:

—Przyszło nam wykonać kontrakt dla wymagającego faceta, Kurt. A więc wznies się na wyżyny. Poręczyłem za ciebie.

Hopken przestał wciągać koszulę i przez dłuższą chwilę bladymi oczami przypatrywał się uważnie Dorffowi.

—Nie kpij ze mnie, Helmut. Stać mnie na wiele. Czyż nie zrobiliśmy razem wielu „robót”? Więc dlaczego tak mówisz? Jeszcze mnie nie znasz. Ale wierz mi, w Algierze, w komandach Deltę to właśnie mnie powierzano najtrudniejsze misje...

Umilkł i nie przestawał się ubierać, nie spuszczał oczu z Helmuta Dorffa. Ten rzucił mu ostatnie spojrzenie, po czym opuścił pokój pozostawiając otwarte drzwi. Kurt Hopken słyszał jak dzwoni do towarzystwa lotniczego.

Tak jak każdego ranka, Michel Corvet biegał po plaży. Długimi krokami przebiegał z łatwością z jednego końca plaży na drugi. Zmuszał się do stawiania najpierw czubków palców, potem pięt, co znakomicie pozwalało zgodnie pracować mięśniom stawów skokowych. Dość prosty tors, wklęsły brzuch, wciągnięte ramiona, głowa uniesiona wysoko i długie, prawie białe blond włosy, powiewające na karku z wiatrem. Wiedział, że jego atletyczny wygląd stanowił sensację dla kobiecego gatunku, który zmonopolizował plażę.

Czarterowymi lotami przybyły z chłódów Skandynawii, szkockich mgieł czy bawarskich śniegów, aby opalać się na złocisty kolor w słońcu Wysp Kanaryjskich i wydawały się nie tracić ani jednego słonecznego promienia, spragnione ujrzeć swą skórę adaptującą tę wspaniałą barwę mahoni, którą tak zachwycały się u tubylców. Niestety! Zanim osiągały to stadium, przychodziło im zazwyczaj przeżywać nieprzyjemny i bolesny udar słoneczny. Skóra wówczas łuszczy się, występują migreny i straszliwe odbarwienia o niezbyt estetycznej barwie dojrzałego pomidora.

Skóra Michela Corveta była złocista na życzenie, jak zboża w lipcu. Nic z koloru piernika jak u tubylców, ale wystarczająco opalona, aby pomarzyć o wypolerowaniu tego ciała jakąś Monachijką.

Jakkolwiek ze strony mieszkańców wysp istniała poważna konkurencja, Michel Corvet nie odczuwał raczej żadnej trudności, by zmieniać partnerkę w łóżku każdego dnia. Bieg po plaży przysporzył mu specyficznej popularności. Największa przewaga, jaką posiadał nad swymi hiszpańskimi konkurentami, istniała w środkach finansowych, którymi dysponował. Przynajmniej od przybycia do Las Palmas.

Dotarł do niebezpiecznej przepaści i nic konkretnego nie pokazało się na horyzoncie. Zapewne sporo było starych bab o pomarszczonej skórze, obwisłych piersiach i zaokrąglonym brzuchu, które gotowe byłyby utrzymywać go podczas swych wakacji. Czuł jednak obrzydzenie do zawodu żigolaka.

Jeżeli jakaś arcybogata stara szmata proponowałaby mu małżeństwo, aby z nim spać w jego łóżku śniąc o testamencie, mógł zawsze wykonać kontrakt przez Sebastianiego lub Delgado, aby w końcu wyeliminować starą i skorzystać z jej „lewej” forsy. Oczywiście brał pod uwagę wszystkie środki ostrożności, aby nie budzić podejrzeń. Jakim byłby radosnym wdowcem!

Ale taka perspektywa była wielce nieprawdopodobna. To, co mu za-oferowano, sprowadziło się do kilku tysięcy peset tygodniowo... Napiwek... W każdym razie nie należało się łudzić, to nie na plaży w Las Palmas napotkałby żyłą złota... Tutaj zwierzyna łowna wywodziła się z klas średnich. Miliarderki brały kąpiele w Sardaigne, u Agi Khana.

Dotarł do końca plaży. Zatrzymał się, by złapać oddech, pozbyć się niewielkiej muszelki, która przyłgnęła pomiędzy dwoma palcami u nogi i znacznie wolniej ruszył w drogę powrotną. Idąc dostrzegł śliczną blondynkę, wyciągniętą pod parasolką. Obawiała się słońca i nie wydawała się spragniona tego, by robić to, co wszyscy. Niezwykle, ale jej skóra była całkiem biała. Bez wątpienia, nowicjuszka. ^

Zawrócił, podszedł do parasola i wyciągnął się w jego cieniu, tuż obok niej.

—Pani pozwoli — powiedział po angielsku. — Ta przechadzka po plaży złała mnie potem i chciałbym chwilę odpocząć w cieniu...

Odpowiedziała po hiszpańsku, którym władała biegle.

—Nie zapraszałam pana.

—Zwykle zapraszam się sam.

—Zauważyłam to. Proszę się wynosić.

—Jest pani Hiszpanką? To podniecające. Od trzech miesięcy, odkąd tu jestem, jest pani pierwszą Hiszpanką, którą spotykam, z wyjątkiem posługaczek w hotelu.

—Dziękuję za porównanie. Ale pan mnie nie usłyszał: prosiłam pana, żeby pan się wynosił.

—Wiem, ale myślałem sobie właśnie, że byłoby wspaniale kochać się z Hiszpanką... Nuda to jest coś, czego one nie przeżywają nigdy. Wydają się opuszczać plażę dla turystów. Teraz, kiedy panią spotkałem, już pani nie opuszcza.

—Proszę spróbować z posługaczkami, ale na mnie proszę nie liczyć.

—Z panią to byłoby jeszcze bardziej interesujące!

—Ze mną! Nie ma mowy. Ale jeśli „to” podchodzi panu do gardła, jestem pewna, że po wspaniałym pokazie mięśni, który pan robił przez godzinę, znajdzie pan kogoś dosyć szybko.

—Zauważyła pani?

Potrząsnęła swoją długą blond czupryną, wskazując palcem powieść położoną na leżaku plażowym.

—Czytałam tę straszliwie nudną książkę, kiedy pana zobaczyłam. To mnie szalenie rozbawiło. Wyglądało to tak, jakby pan był na manezu. Czy umie pan rzeć?

Ogarnęła go wściekłość. Jego prawa ręka mignęła niczym błyskawica i uderzył ją w twarz koło ust. Potem skoczył na jej nogi. Wokół nich unosiły się głowy innych ludzi. Spoglądali na nich z zainteresowaniem lub dezaprobatą. Pobiegł w kierunku morza.

Ciepła woda dobrze mu zrobiła. Rozluźnił napięte mięśnie. Przez dobrą godzinę pływał, jeździł na nartach wodnych, grał w piłkę z dziećmi, śledził jakąś młodą Dunkę, która spotkała się wkrótce ze swoim mężem, i w końcu zdecydował się na opuszczenie hotelu. Wyszedł z wody i położył się na płonącym piasku pozwalając falom, by pieściły jego pięty.

Zaledwie wysechł, wstał i energicznie otrzepał się z piasku. Słońce było w zenicie i mocno grzało. Szybkimi krokami skierował się do wyjścia.

W chwili, kiedy tam dotarł, spostrzegł Hiszpankę, która stała tuż przy okienku. Wyglądała żałośnie, miała nabrzmiałe usta. U jej stóp leżała plażowa torba. Nie mógł dojrzeć jej oczu ukrytych za czarnymi okularami.

Zawahał się i oddalił z wdziękiem. Kiedy zobaczył, że zbliża się do niego, stanął w miejscu i czekał.

Staneła tuż przy nim i swymi piersiami dotknęła jego piersi.

—Sądzę, że zasłużyłam na ten policzek...

Jego mięśnie rozluźniły się. Uśmiechnął się do niej.

—Nie mówmy o tym więcej. Ja także przepraszam... Byłem nieco brutalny.

—Pomyślałam sobie o tym, co pan wcześniej powiedział. Byłoby niewybaczalne, gdyby został pan wtajemniczony w miłość po hiszpańsku przez posługaczkę. Tak, doprawdy niewybaczalne...

Spoglądał na nią zdumiony. Zdjęła przeciwsłoneczne okulary i wbiła wzrok w jego postać.

Na swojej piersi poczuł, że sutki jej piersi zaostrzyły się. Przyłgął do niej cały i bardzo delikatnie jego brzuch otarł się o jej brzuch. Odsunął się w tył. Nie mógł mimo wszystko okazać swojej męskości przy całej plaży.

Wydawała się zdziwiona.

—Zmienił pan zdanie?

Potrząsnął głową.

—Pani jest szalona. Nie można jednak zacząć się kochać na oczach tych wszystkich ludzi.

—Nie tutaj, oczywiście. W pańskim hotelu?

Przypatrywał się jej uważnie. Jej usta drżały, ale oczy patrzyły śmiało. Zdawała się długo korzystać ze słońca, ponieważ jej skóra była cała różowa — niezaprzeczalna oznaka uderu słonecznego. Była straszliwie pociągająca, szczupła, lecz o pełnych kształtach. Jej piersi tuż przy jego piersi — to go podnieciło. Już się nie wahał.

—Chodź — powiedział po prostu.

Podniosła swoją plażową torbę i poszła za nim.

Hotel wznosił się o jakieś sto metrów od plaży. Dotarli do niego w pośpiechu, nie zamieniając ze sobą ani słowa.

Zanim weszli do środka, Michel Corvet odebrał torbę od portiera, włożył szorty i sweter, potem założył na nogi stare espadryle.

—Powinnas zrobić to samo — powiedział do dziewczyny. — Tu w środku jest zimno... lodowato... Klimatyzacja funkcjonuje na pełnych obrotach, bez wątplenia po to, by przypomnieć Skandynawom klimat ich kraju.

Roześmiała się i przystała na to. Patrzył na nią, kiedy wkładała pulower w kolorze nieskazitelnej bieli i żółto-kanarkowe spodnie, które uwydatniały jeszcze bardziej jej kształty, podnosząc jej wartość. Potem wprowadził ją do recepcyjnego hallu

Urzędnik wręczył mu klucz i przesunął jednocześnie na kontuarze kartkę papieru z nazwą hotelu:

—Wiadomość dla pana.

Podziękował i przeczytał to, co było napisane.

—Inna wielbicielka? — zażartowała za jego plecami.

Odwrócił się do niej i wskazał rząd foteli, które w większości były już zajęte przez turystów oczekujących na obiad i hałaśliwie rozmawiających. Rozkazał jej sucho: — Idź, zaczekaj tam na mnie.

I więcej się nią nie zajmując zabrał swoją torbę i zamknął się w kabinie telefonicznej.

Wyszedł z niej dopiero pół godziny później. Całe pożądanie wyparowało z niego. Uśmiechnięta maska, którą zwykle zakładał, aby uwodzić dziewczęta, ustąpiła miejsca kamiennej twarzy, o rzucających się w oczy rysach i zaciśniętej szczęce. W jego oczach błyszczały niespokojne ogniki.

Wielkimi krokami podszedł do dziewczyny, która już wstawała z fotela.

—Nie licz dzisiaj na mnie i parę twoich nóg wzniesionych ku górze — powiedział brutalnie. — Muszę wykonać robotę.

Usiłowała protestować, ale szybko odwrócił się i poszedł w kierunku wind, z torbą kołyszącą się na skraju ramienia.

ROZDZIAŁ V

Fotografia wisiała w lewym rogu witryny. Przedstawiała rodzinę z początku wieku. Ojciec, matka, dwie córki i syn. Ubiory podkreślały najczystszy styl wiktoriański. Włosy upięte w kok i długa suknia kobiety, kołnierz i wielkie wąsy majora Armii Indyjskiej u mężczyzny, krótkie spodnie, pończochy i marynarski kołnierz u chłopca, białe ozdobne kołnierzyki na surowych, skapo zdobionych sukniach i grube, czarne pończochy u dziewcząt. I wszyscy wyglądali zupełnie idiotycznie.

Wanda Krazyk rzuciła jedynie okiem na fotografię, wcale nie zwalniając kroku. Znała wszystkie te szczegóły na pamięć. Sklepik fotografa był lichy. Farba od frontu sklepu zeszała całkowicie, a witryna była niechlujna, usiana kałem much. Ten fragment East Endu był zresztą w ogóle brudny i niechlujny. Dzieciaki w łachmanach grały w piłkę nożną w obrzydliwych uliczkach. Pojemniki na śmieci wydawały się być nigdy nie opróżniane. Mieszkali tutaj głównie imigranci z Jamajki, ale także przybysze z Indii i Pakistanu oraz obywatele brytyjscy wygnani z Kenii i Ugandy. Nocą dzielnica stawała się królestwem młodocianych gangów i nie było wskazane zadzierać z nimi. Cios brzytwy był najmniejszym ryzykiem z jakim należało się liczyć.

Wanda Krazyk nie zatrzymywała się dłużej w tym zaułku. Wróciła szybko do swego samochodu, szczęśliwa, gdy stwierdziła, że nie wybito w nim szyb, nie przebito opon, ani nie ukradziono felg lub wycieraczek.

Włączyła silnik, odjechała od krawężnika i ruszyła pędem w kierunku Chelsea.

Pozostawiła samochód na Cheyne Walk i wdrapała się, przeskakując po dwa stopnie, na schody prowadzące do apartamentu, który od dawna wynajmowała.

Wybrała na tarczy telefonu numer fotografa i kiedy usłyszała w słuchawce drżący głos, zarejestrowała dokładnie w pamięci wiadomość, którą jej przeczytano.

Stary poczciwiec w szarej, poplamionej tłuszczem bluzie, który do końca swoich dni będzie oczekiwał Jamajczyków, aby zrobić im portrety, nigdy jej nie spotkał. Ona widziała go przelotnie w pośpym półmroku jego brudnego, niechlujnego sklepiku. Ile czasu pozwalało mu przeżyć dziesięć liwrow, które przysyłała mu pocztą? I ile razy w przeszłości prosty gest — przeniesiona z prawej na lewą stronę witryny fotografia rodzinna z epoki wiktoriańskiej, by dać znać Wandzie Krazyk, że czeka na nią wiadomość — pozwalał smutnemu staruszkowi przetrwać kolejny tydzień lub dwa, w oczekiwaniu na lepsze czasy?

Kiedy na drugim końcu drutu drżący głos zamilkł, powoli odłożyła słuchawkę. Przez chwilę stała zamyślona. Potem wzięła się w garść. To nie jest odpowiedni moment, by się wzruszać — pomyślała. Automatycznie wykreśliła numer paryskiego telefonu.

Australijski dyplomata pozostawił przestronną willę w nieskazitelnym stanie, zabierając swą liczną rodzinę, aby spędziła dwa miesiące wakacji w rodzinnym kraju.

Za pośrednictwem jakiejś agencji z Pól Elizejskich Harry Shulz podnajął ją na ten okres, podając fałszywe nazwisko. Posłuży się nią jedynie przez dwa tygodnie, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, ale jednym z warunków narzuconych przez dyplomatę było to, by podnajemca opłacił wynajem za dwa miesiące z góry, co miało być gwarancją, że willa nie będzie zniszczona. Harry Shulz nie skąpił grosza. Poza tym, to „Frenchie” Terret zarządzał kasą.

Willa składała się z pięciu sypialni z oddzielnymi łazienkami. Umieścił Helmuta Dorffa i jego towarzysza w jednym pokoju, natomiast Louis Suttot mieszkał sam. Dla wszystkich było wystarczająco dużo miejsca.

Harry Shulz, korzystając również z fałszywego nazwiska, wynajął samochód i od razu przetransportował do willi duże ilości żarcia, napojów, papierosów i cygar, oraz kilku tali kart. Piwnica dyplomaty została opróżniona całkowicie przed jego wyjazdem, bez wątpienia podczas wystawnego party.

Wnętrze willi było całkowicie umeblowane, a kuchnia urządzona kompletnie, nie wyłączając wyszukanych sprzętów gospodarstwa domowego. Dwa duże telewizory królowały w salonie. Poza tym każdy pokój dysponował innym, mniejszym odbiornikiem. Dyplomata był ojcem czworga dzieci i każde z nich miało własny telewizor.

Inna korzyść z wynajmu tego budynku wynikała z usytuowania willi w głębi parku rezydencjalnego w Louveciennes. Wysokie mury oddzielały ją od innych posiadłości, a także od ulicy. Wokół dużo zieleni, pociętej małymi alejkami ocienionymi wiekowymi drzewami — stwarzało to możliwość ucieczki w razie zagrożenia i chroniło przed niedyskretnymi spojrzeciami.

W sumie Harry Shulz był raczej zadowolony ze swego wyboru. Wspomagany przez Dana O'Malleya, który odzyskał siły w hotelu Brasilia, posprzątał wnętrze domu. Między innymi przybił na drzwiach pokoi tabliczki z nazwiskami przyszłych lokatorów, pozostawiając największy z apartamentów Helmutowi Dorffowi i członkowi jego brygady.

Później odbył spotkanie z „Frenchie” Terretem. W tym celu udał się do hotelu Continental, aby przekazać mu bieżące informacje i poprosić o pieniądze.

„Frenchie” Terret starannie studiował kartkę, na której Harry Shulz spisał szczegółowo swoje wydatki, te planowane i te już poniesione, ale nie spierał się o cyfry. Nie opierając się wręczył mu żadaną sumę.

„Frenchie” Terret, lokowany komfortowo w luksusowym hotelu wydawał się żałować, że operacja nie została zaplanowana na dłużej. Harry pomyślał, że jeśli chciałby wycofać się do Continentalu, nikt w USA nie miałby żadnych co do tego obiekcji. Banda młodych wilków o długich zębach powinna deptać mu po piętach, gotowa rozerwać go na strzępy, aby przejąć kontrolę nad swą własnością. Być może nawet w tym tkwił powód wysłania go do Paryża? Pozbyto się go, a inni zasiedli na jego tronie. I jeśli nie chciałby powrócić do USA, cóż, kto wie, czy on — Harry Shulz — nie przyjąłby kontraktu, by go na zawsze uciszyć.

Ta myśl rozbawiła go wielce.

Upłynęło już sześć dni od jego spotkania z Syndykatem i bilans był raczej pozytywny. Personel został dobrany, infrastruktura stworzona. Emile Mascot zajmował się zbieraniem

informacji, których Harry potrzebował. Na podstawie lektury prasy należało przypuszczać, iż nie nastąpi nagły zwrot akcji, który zniweczyłby plany Syndykatu.

Jak podkreślił Vince La Marca, Francuzi grali na zwłokę. Tym lepiej, ponieważ Harry nie był jeszcze gotów przystąpić do akcji.

Tego samego dnia stawili się w willi: Helmut Dorff w towarzystwie Kurta Hopkena, a nieco później — Michel Corvet, Wanda Krazyk i Louis Suttot.

—Obsłużcie się — poprosił Harry Shulz wskazując dobrze zaopatrzony barek, w którym umieszczona była mała lodówka. Sobie nalał pełną szklankę burbona, do którego wrzucił dwie kostki lodu. Kiedy usiadł ponownie w fotelu, jego oczy napotkały lodowate spojrzenie Helmuta Dorffa.

—Czy coś ci się nie podoba, Helmut? — spytał łagodnie.

—Harry — odpowiedział tamten lodowatym głosem — co tu się dzieje? Pracujemy teraz z kobietami?

Oczy wszystkich spoczęły na Wandzie Krazyk, ale nie uczyniła ona żadnego fałszywego kroku. Z torebki wyjęła puderniczkę i trzymając lusterko tuż przy twarzy poprawiła, małymi lekkimi dotknięciami czerwonej szminki, rysunek ust.

Wprawne spojrzenie Shulza odnotowało namiętne zainteresowanie, które przejawiali Dan O'Malley i Michel Corvet.

Uśmiechnął się do Dorffa.

—Robisz mi przykrość, Helmut — powiedział równie spokojnie jak za pierwszym razem. — Wyobrażasz sobie, że się zestarzałem, czy co? Ludzie, którzy są tutaj, mają wysokie kwalifikacje. Wszyscy. Co do Wandy, znam ją od dawna. Ona jest okay. Wiesz, co chcę powiedzieć, Helmut?

—To niczego nie zmienia, Harry. To mi się i tak nie podoba!

W jego głosie czuło się wzbierającą wściekłość.

—W porządku, Helmut. Nie musisz tu zostawać — zareplikował Shulz oschle. — Zwróć ci koszty podróży, ale nic więcej, i wyjedziesz...

Ciężki szkielec Kurta Hopkena dźwignął się z fotela i wolnymi krokami podszedł do fotela stojącego naprzeciwko tego, który zajmował Helmut Dorff. Usadowił się w nim.

—Porzuć swoje głupie żarty, Helmut — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. Potem, odwracając się do Shulza dodał: — On się boi, że zrobiłbym krzywdę tej babce. Wysłuchaj go. Zawsze ma pietra, że go zostawię. — Mówił wolno, z silnym niemieckim akcentem. — ... Co do mnie, wiesz dobrze, że babki mnie nie interesują, Helmut. A więc zamknij się... poza tym mieszkamy w tym samym pokoju. Co więc ryzykujesz?

Lodowate spojrzenie Dorffa przerzuciło się z Shulza na Hopkena. Przyglądał się mu dłuższą chwilę, potem rzucił brutalnie:

—Usiądź, Kurt, i nie depcz mi po piętach. To ja cię tu przyprowadziłem i to ja decyduję.

Szyderczy śmiech rozległ się od strony baru. To był Michel Corvet, z opadającymi na oczy blond włosami. Spokojnie popijając drinka, przyglądał się tej scenie z rozbawieniem.

—Mówią, że wśród nas jest o jedną kobietę za dużo — rzucił sarkastycznie.

Dan O'Malley, który stał obok niego, interweniował błyskawicznie. Wspaniałym kuksańcem w oba boki przerwał mu oddech. Michel Corvet potknął się i prawie upadł. Przytrzymał się baru i gotowy był do uderzenia, kiedy Dan O'Malley przylgnął do niego całym ciałem, blokując mu jedno i drugie przedramię.

Potem szepnął mu do ucha:

—Oszalałeś, czy co? Ten facet wpadłby na ciebie z byle powodu. Uderzyłem cię, aby uratować twój udział, więc zostaw to... Zrozumiałeś?

Michel Corvet zamrugał porozumiewawczo, potem odepchnął O'Malleya, chwycił swoją szklanekę i wypił jej zawartość wielkimi łykami.

Ukończywszy swój makijaż Wanda Krazyk paliła spokojnie Pall Malla i spoglądała przez okno na drzewo w parku. Wydawało się, że nadal nie słyszy tego, co mówiono o niej.

Helmut Dorff drgnął, jego lodowate spojrzenie spoczęło na Michelu Corvecie. Zaciśnięta pięść Harry'ego zatrzymała go na powrót w fotelu.

—Spokój, dobry Boże! — wrzasnęła nagle Shulz. — Dobrze się zaczyna. Od pierwszego dnia kładziecie sobie kłody pod nogi. Nie jesteśmy tutaj po to. Każdy ma zadanie do zrobienia i jest opłacony, żeby to zrobić. Jeśli będzie burdel, wyrzucę wszystkich za drzwi.

Odwrócił się niespodziewanie do Helmuta Dorffa.

—Co zdecydowałeś, Helmut? Zostajesz? Nie ma czasu do stracenia.

Spojrzenie Niemca równie ciepłe jak góra lodowa, oderwało się od Michela Corveta i spoczęło na Harrym Shulzu.

—Zostaję — powiedział krótko.

Harry czuł, że uspokoił swoje sumienie. W grupie, którą zebrał, Helmut Dorff był niezaprzeczalnie najbardziej wykwalifikowanym specjalistą, najbardziej wykwalifikowanym i najstarszym. Miał około 35 lat, ale w „zawodzie” był od z górą piętnastu lat. Mały, chudy, z trójkątną twarzą, niczym kot, o jasno blond włosach, kociej zręczności, pod ciemnymi szklami ukrywał w rzeczywistości swe nieruchome, bez jakiegokolwiek wyrazu oczy. Był typem zimnego i sadystycznego zabójcy. Jednakże jego zakres umiejętności i jego skuteczność były prawdziwe. Był zdolny zabić na sto różnych sposobów, zależnie od okoliczności. Ale po zakończeniu akcji jego homoseksualna nadwrażliwość czyniła go trudnym do zniesienia. Dlatego też zdecydowany był działać sam i nie w grupie, ale tym razem Shulz, którego czas naglił, nie pozostawił mu wyboru. Urodzony z ojca-Niemca i matki-Francuzki, mówił biegle po francusku.

Chociaż Kurta Hopkena Harry Shulz spotkał po raz pierwszy, był jednak pod wrażeniem rozmowy, jaką z nim przeprowadził. Spokojne poczucie siły, solidna pewność siebie, zrównoważenie — emanowały z tej masy mięśni i kości. Wydawał się być pozbawiony nerwów. Być może jedyną jego wadą był brak wyobraźni. Ale czy to była rzeczywiście wada? Zbyttna wyobraźnia odkrywała w zabójcy znaczną część „arsenału” jego środków, zwiększając stopień ryzyka.

Kurt Hopken - Austriak, był niegdyś starszym sierżantem francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Przeszedł kampanię w Indochinach i w Algierii. Dezerter z I R.E.P. przystał do komando Delta i wykonał w Algierze przez rok wiele misji, likwidacji na zlecenie O.A.S. Jedna misja dziennie... Nawet precyzując w ten sposób, stanowiło to rekord...

Wiele zadań zrealizowanych przez Kurta Hopkena, które opisywał prostymi słowami, bez samochwalstwa czy ozdóbek zostało wykonanych z taką odwagą, że Harry Shulz nie mógł

powstrzymać się, by uchylić delikatnie kapelusza przed eks-legionistą. A jednak dostrzegł w tym i inne fakty... zwłaszcza od czasu, gdy zrehabilitowany przez Helmuta Dorffa, obiegał świat, przyjmując jego talenty tu i teraz... Oczywiście Kurt Hopken to nie było jego nazwisko, służył pod nim w Legii Cudzoziemskiej. Zresztą, kto pośród tu zgromadzonych nosił swoje prawdziwe nazwisko? Czy pamiętali je jeszcze?

Dan O'Malley, na przykład. Upłynęło wiele lat, odkąd niektórzy w Montrealu znali go pod nazwiskiem Adriana Merciera. Tłumaczyło to być może lekki kanadyjski akcent, z którym mówił po francusku. Obecnie jego akcent zmieszany był z intonacjami kreolskimi nabytymi podczas długiego pobytu na Haiti. Później, pod nazwiskiem Jasona Whitneya, odnaleziono go w Minneapolis. Z kolei potem, w Detroit, kazał nazywać się Pat McGovan. Na Kubie, w okresie panowania dyktatora Batisty, jego nazwisko rodowe zmieniło się na Mike Sullivan. Czy był Kanadyjczykiem, jak twierdził, czy raczej Amerykaninem lub Irlandczykiem z Republiki Irlandii? Nikt tego nie wiedział. Za to jedno było pewne: miał kłopoty z Syndykatem, które sięgały dobrych piętnastu lat wstecz. To przymusowe wygnanie w 1961 roku, po zamordowaniu Trujillo na San Domingo, zmusiło go do podjęcia i zaakceptowania funkcji członka straży przybocznej panującego, prawdziwego zabójcy — Papy Doca Duvaliera. Był jedynym białym pośród Tontons Macoutes. Na nieszczęście, po śmierci dyktatora i przejęcie władzy przez jego spadkobierców musiał opuścić Haiti.

Michel Corvet należał do młodej generacji. Ludwig Waldner z Monachium wyrażał się o nim w samych superlatywach. W „zawodzie” od pięciu lat. Zdolny, moralnie egocentryczny i pozbawiony skrupułów, żądny pieniędzy. Specjalista od likwidacji kobiet. Miał twarz anioła o wielkich, wiecznie zdziwionych oczach, natomiast ciało atlety. Jego sylwetka spodobała się kobietom. Skąd przybywał? Tego nikt nie wiedział. Francuz? Był nim niezaprzecalnie. W jaki sposób i dlaczego wybrał taką karierę — nikt nie miał zielonego pojęcia. Nawet Ludwig Waldner.

Ale miał błysk w spojrzeniu i nieugiętość na twarzy, kiedy nie umieszczał na niej maski pięknego naiwnego dzieciaka, która wzbudzała zaufanie Harry'ego Shulza.

Podobnie jak w przypadku Michela Corveta, nikt nie wiedział, skąd się pojawiła pewnego pięknego dnia Wanda Krazyk.

Mówiła po polsku, ale mogła równie dobrze być Rosjanką, Węgierką lub Czeszką. Języki Europy centralnej i wschodniej nie stanowiły dla niej żadnej tajemnicy. Znała też niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, grecki i turecki. Niektórzy mówili, że we wczesnej młodości ukończyła w ZSRR specjalną szkołę szpiegowską KGB i że w czasie jednej z misji na Zachodzie opuściła wywiad radziecki, aby zastosować na osobisty użytek wiedzę, którą jej wtłoczono do głowy. I opowiadano, że nauczanie się tego wszystkiego było dla niej czymś zupełnie naturalnym.

Wanda Krazyk wykonywała specjalne kontrakty... Nie znała słowa „pech”. Około 32 lat, wysoka. Miała twarz o wystających kościach policzkowych, bardzo słowiańską, niezmiernie zielone oczy, nogi, które mogłyby wzbudzić zazdrość Marleny Dietrich, i ciało, które pozwalało posądzać ją o lubieżność. Pociągała mężczyzn, ale plotka głosiła, że jej ukryta namiętność skierowana była ku kobietom. Jej punktem kontaktowym była Anglia. Dla Shulza pracowała w przeszłości dwukrotnie. Mógł sobie powinszować współpracy z nią i oboje dobrze się rozumieli. Ale od kiedy stał się twardy i niedostępny mu były uczucia takie jak strach, zawsze w jej obecności odczuwał jakąś niepewność, niepokój sprowokowany bez

wątpienia tajemnicą, która biła od jej osoby i prawie nieludzkiego charakteru. Według posiadanych przez niego informacji była to jedyna kobieta wśród Traks.

Ostatni z ekipy, Louis Suttot. Kots. Na terenie Francji był kompetentny i skuteczny. Kots mężczyzny do wszystkiego, o pewnej ręce, wspaniały egzekutor i kat. Naukę pobierał podczas wojny w partyzantce francuskiej. Zabijał niemieckich oficerów i żołnierzy strzałem w plecy i od tego czasu nie stał się lepszy. Nie potrafił zabić stojąc twarzą w twarz z ofiarą. Z powodu oczu — jak mówił. Z uwagi na tę odrębność Harry Shulz odczuwał dla niego nieco szacunku. Jedyne raz, gdy Louis dla niego pracował, kontrakt został wykonany prawidłowo.

—Okay! — rozpoczął Harry Shulz głosem pozbawionym ciepła. — Teraz, kiedy zebrał się cały zespół, możemy przejść do rzeczy. Każdemu z was przedstawiłem w szczegółach, czego dotyczy kontrakt. Ale jest jeszcze jedna rzecz, o której nie powiedziałem. W tej sprawie jesteśmy solidarni wszyscy. Nie chodzi o kontrakt indywidualny, ale o kontrakt zespołowy. Mamy zamordować sześć osób i tak długo, jak choć jedna z nich pozostanie przy życiu, jesteśmy wszyscy w pogotowiu. Jest was sześciu, a więc wypada po jednym trupie na każdego. Ale w przypadku fuszerki pozostali są dyspozycyjni. Wiem że wszyscy jesteście zawodowcami i ryzyko fuszerki jest — żeby to jasno określić — zerowe. Ale nigdy nic nie wiadomo. Trzeba rozważyć wszystko, i po to tu jestem. Robota będzie wykonana, kiedy sześć trupów zniknie z powierzchni ziemi...

Przerwał i oczekiwał jakiegokolwiek sprzeciwu, ale nikt się nie odezwał.

—Część honorarium już dostaliście. Kontrakt nie jest jeszcze dopięty i zostaniecie tutaj jeszcze kilka dni przed przystąpieniem do akcji. Ile, nie wiem. Nieco więcej niż tydzień, bez wątpienia. Musicie przestrzegać oczywiście kilku reguł dyscypliny. Po pierwsze, absolutny zakaz wychodzenia. Możecie oglądać telewizję, jest wiele książek, które się poniewierają, są także komplety kart. Ci, którzy kochają naturę, mogą przechadzać się po ogrodzie. A dla tych, którzy lubią się upijać, butelek nie brakuje. Jeszcze jedna sprawa — nie jest możliwe, oczywiście, sprowadzenie kucharki i sprzątaczk, więc każdy musi sam sobie radzić z kuchnią i ewentualnym sprzątniem.

Szukał wzrokiem Helmuta Dorffa.

—Nie chcę z tego powodu — mówił dalej oschłym tonem — żadnych rozrób. To jest dokładnie ten rodzaj spraw, których sobie tutaj nie życzę. Jeśli nie, to wszystko stanie się szybko nie do zniesienia. A więc uważajcie... Macie spędzić razem ponad tydzień. To wy zadacie cios. Niech ten, kto nie czuje się do tego zdolny, zamknie się na podwójny zamek w swoim pokoju i niech się zapije na śmierć. Jeśli coś by się stało, jedynym sędzią będę ja. Sądzę, że to chyba wszystko.

Odwrócił się gwałtownie do Louisa Suttota.

—Ach! Zapomniałem... Oczywiście, zakaz wychodzenia nie dotyczy ciebie, Louis. Przeciwnie, ty zostajesz u siebie. Ale chcę, żebyś teraz przyszedł do mnie, ponieważ muszę cię o coś spytać. — Wstał. — Chodźmy do mojego pokoju.

ROZDZIAŁ VI

Emile Mascot niechętnie dźwignął swoje grube cielsko i ciężkimi krokami skierował się ku okazałej biblioteczce w stylu Ludwika Filipa, która zajmowała jeden z kątów pokoju. Zgarnął stamtąd grubą kopertę z mocnego papieru pakowego i rzucił ją na kolana Harry'ego Shulza.

—Mam nadzieję, że będziesz zadowolony. Moi chłopcy wykonali kawał roboty.

Nie czyniąc komentarzy, Amerykanin otworzył kopertę i opróżnił jej zawartość na niski stół, który stał naprzeciw niego. W pierwszym rzędzie zagarnął kartki papieru szkolnego pokryte dużym, niezręcznym pismem. Było ich sześć, każda przytwierdzona dużym spinaczem. U góry strony wypisano na każdej zamaszystymi pociągnięciami ołówka koloru czerwonego nazwisko.

Nie zwracając uwagi na Emile'a Mascot, rozpoczął lekturę. Styl notatek był telegraficzny, a słowa, w większości żargonowe, usiane błędami ortograficznymi. Jednak informacje były precyzyjne, bogate i szczegółowe. Emile Mascot mówił prawdę. Jego ludzie wykonali pracę godną pochwał. Notatki stanowiły podstawę do przygotowania planu operacji.

Kiedy Harry Shulz skończył czytać, na jego twarzy malowało się zadowolenie.

—A więc? — spytał Mascot z niecierpliwością.

—Dobra robota, Emilu.

—Mówiłem ci. Moi chłopcy są fachowcami. Widziałeś zdjęcia?

Palcem wskazał stos fotografii, które spoczywały na niskim stoliku w sześciu małych stosach, spięte spinaczami. Na odwrocie zdjęć napisano czerwonym ołówkiem nazwiska.

—Zdjęcia zrobiono w każdej możliwej sytuacji — skomentował Emile Mascot. — Na ulicy, w restauracji, w samochodzie, wszędzie, gdzie mogli ich sfotografować. I, uwierz mi, zostało to zrobione dyskretnie. Nikt się nie połapał.

Harry Shulz usunął spinacze i dokładnie oglądał każde zdjęcie. Nic nie mógł im zarzucić. Robota została wykonana bardziej niż poprawnie. Na ich podstawie można było nawet wyciągnąć dodatkowe wnioski o ludziach, którzy mieli zginąć.

Miał czas, by wypić łyk whisky i zapalić jedno z cygar oferowanych mu przez Mascota. Starannie umieścił kartki papieru i zdjęcia w kopercie. Następnie, nie mówiąc ani słowa, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki grubą kopertę i położył ją na małym stoliku, tuż przy szklance Mascota.

—Cena uzgodniona, Emilu.

Bez fałszywego wstydu Emile Mascot otworzył kopertę i zaczął liczyć starannie banknoty, zwilżając śliną, po każdym pliku, kciuk i palec wskazujący.

Gdy skończył liczenie podniósł głowę i spojrzał na Shulza.

—Wybacz mi, Harry, ale dobre rozliczenia czynią dobrych przyjaciół. Pomyłki zdarzają się nawet matematykom.

Harry Shulz wzruszył ramionami. Nie obrażał się za taki nietakt.

—Druga sprawa, Emilu. Potrzebuję broni.

Każdy członek grupy podróżował, oczywiście, ze swoją ulubioną bronią, ukrytą według swojego własnego pomysłu. On sam miał ukryty na dnie walizki rewolwer kalibru 0,38, którą zmagistrował mu stary Mike O'Flaherty, dwukrotnie skazany za morderstwo, ocalony od elektrycznego krzesła, najbardziej znany rusznikarz USA. Trzydziestkę demontowało się i składało ponownie niczym pióro. Mieściła się pośród różnych przyborów toaletowych (sprzedawanych także nielegalnie przez Mike'a) w jego torbie podróżnej. Ale należało się

liczyć z nieprzewidzianymi okolicznościami i kilka dodatkowych sztuk broni mogło się przydać.

Emile Mascot przytknął oczy:

—W tej chwili jest duże zapotrzebowanie na broń, i ceny rosną...

—Słuchaj — zauważył ironicznie Harry Shulz — opowiadałeś mi któregoś dnia, że wszyscy byli bezrobotni, że sprawy „spadły” do dwudziestu stopni poniżej zera...

—Dokładnie tak jest, kiedy chłopcy są bezrobotni i kiedy najbardziej potrzebują jeść. To jest zabawne jako zjawisko, ale to jest fakt. Głód sprawia, że myśli są czyste i w takich chwilach ma się mały przeblask geniuszu. Myśli się o sprawach, które powinny przynieść wielki zysk. A właściwie o jednej sprawie. Rzucamy się wówczas na sprzęt, ale nigdy, w najgorszej chwili, nie wolno tego robić bezmyślnie. Musi on być gwarantowany...

—Co musi być gwarantowane?

—To, że broń nigdy nie była używana do likwidacji kogokolwiek. W przeciwnym wypadku niszczyć taką broń. Zbyt ryzykowne byłoby dawanie trefnej broni któremukolwiek z tych chłopców. Trzeba być uczciwym... — dorzucił sentencjonalnie.

—Masz rację.— zauważył Shulz — Uczciwość zanika. Na szczęście, ty jesteś tutaj.

—Czy wyposażenie, którego potrzebujesz, będziesz mógł mi zwrócić po akcji, czy nie?

—Prawdę mówiąc, nie wiem.

—Dobrze, wystawię ci rachunek, ale jeśli mi tę broń zwrócisz, otrzymasz rabat. Ale uwaga, jak ci powiedziałem, nie wolno ci obsłużyć tym kogoś świeżego.

—W porządku! — zniecierpliwiał się Shulz.

—Dobrze. Co potrzebujesz?

—Powiedzmy, jeden ręczny karabin maszynowy, dwa pistolety maszynowe i dwa lub trzy rewolwery. Z amunicją, oczywiście, a także kilka granatów.

Emile Mascot westchnął.

—Mam niewiele karabinów maszynowych do wyboru. Jest bardzo dużo zamówień na tę broń. W tej chwili mam tylko jednego brena i jeden BAR. Wprawdzie pochodzą z ostatniej wojny, ale jest to broń dobrze utrzymana i „chodzi” bez zarzutu.

—Wezmę kaem BAR, bo jest znacznie lżejszy. A poza tym znam tę broń.

—Zgoda. Spośród pistoletów maszynowych mam do wyboru thompsony, steny, MAT-y 49 i ostatni krzyk mody — peemy Skoda. Jeśli chcesz mojej rady, weź MAT 49. Jest szybkostrzelny i łatwy do ukrycia pod nieprzemakalnym płaszczem dzięki dającej się złożyć kolbie. Oczywiście, ma mniejszy kaliber, niż dobry, stary thompson o kalibrze 0,45., jego pocisk odrywa głowę od tułowia z odległości dwudziestu metrów...

Mówi niczym handlarz artykułów metalowych, zachwalający swój towar — pomyślał Shulz z rozbawieniem.

—Niech będzie — zdecydował. — Dasz mi jednego thompsona i jednego MAT-a 49.

—Doskonale, Harry. Jakie chcesz pistolety? Proponuję ci dwa doskonałe P 38 z ostatniej wojny. Są w idealnym stanie. Konserwacją broni zajmuje się u mnie jeden facet, dawny rusznikarz z marynarki.

—Zgoda, wezmę pistolety P 38 — zdecydował Shulz.

—Granaty włożę ci do kartonu. Są to amerykańskie granaty, które miały być wysłane z Hamburga do Libanu. O ile wiem, przy ich pomocy zadano duże straty Izraelczykom. Bierzesz je, Harry?

Shulz skinął przyzwalająco głową.

—A więc przepraszam cię na kwadrans. Przygotuję dla ciebie broń.

—Sekundę, Emilu. Porozmawiajmy najpierw o cenie.

Emile Mascot zdawał się zastanawiać.

—Za peemy - 500 dolarów, za pistolety - sześć setek, za karabin maszynowy - cztery setki. Łącznie to jest tysiąc pięćset. Z amunicją i „cytrynami”, powiedzmy dwa tysiące.

Harry Shulz wybuchnął śmiechem.

—Naprawdę uważasz mnie za Amerykanina, Emilu. Za wszystko dam ci tysiąc czterysta dolarów, a ty oddasz mi sześć setek, jeśli zwrócę ci je nienaruszone. — Ruchem dłoni powstrzymał znak protestu starego sutenera. — Niepotrzebnie się upierasz. To jest ostateczna cena.

Harry wstał, schowawszy grubą kopertę, która zawierała raporty i zdjęcia. Emile Mascot zawahał się chwilę, z podstępny wyrazem twarzy.

—Niech stracę, Harry — lamentował.

—To dla ciebie i tak dobry interes. Twój arsenał zamortyzował się już dawno.

Stary pirat w końcu się poddał.

—Dobrze — zamruczał pod nosem. — Zawsze wygrywasz, Harry. To dobrze, bo przypominasz mi stare czasy... Nie ruszaj się. Wracam za kwadrans.

Harry Shulz rozsiadł się i spokojnie czekał. Po jakimś czasie Emile Mascot wprowadził go do małego pokoiku, przylegającego do living-roomu. Na długim stole leżało duże prześcieradło z plamami tłuszczu, na którym wyłożona była broń.

Zbliżył się do stołu i oglądał ją starannie. Potem zaczął bawić się zamkami broni. Emile Mascot nie oszukał go. Broń była w doskonałym stanie, starannie utrzymana. Widać było, że zajmował się tym profesjonalista. Rzucił ostatnie spojrzenie na amunicję i granaty. Wszystko było w porządku.

—Okay — powiedział w końcu.

Z portfela wyjął i odliczył czternaście banknotów po sto dolarów, i położył je na stole. Emile Mascot schował pośpiesznie pieniądze.

—Zapakuj wszystko — rzucił Harry Shulz — i włóż do bagażnika mojego samochodu.

Dwadzieścia minut później przekroczył bramę posiadłości i wmieszał się w strumień samochodów, które zmierzały w kierunku Paryża. Była godzina szczytu i Harry potrzebował dobrych dwóch godzin, aby dotrzeć do miasta.

Wpatrując się w zderzaki ciężarówki, która jechała przed nim, zaczął się zastanawiać. Pięć dni dzieliło go od terminu wyznaczonego przez Syndykat. Normalnie byłby to czas wystarczający, ale teraz należało jeszcze doliczyć trzy lub cztery dni na to, aby określić godzinę i miejsce akcji, wybrać dogodne miejsca, zbadać przyzwyczajenia i dziwactwa „obiektów” i w końcu przejść do stadium egzekucji. Tak, było trochę mało czasu, mimo wszystko.

Shulz, który był profesjonalistą, czuł wstręt do improwizacji. Zwłaszcza w tym przypadku, ponieważ nie mógł znaleźć się w tym samym czasie w sześciu różnych miejscach. Musiał liczyć na ekipę, którą zebrał. Na szczęście, miał do czynienia z profesjonalistami. Darzył ich dużym zaufaniem. Niemniej byłoby niedorzeczne myśleć, że w tak szybko przygotowanej operacji, składającej się z sześciu kontraktów, które należało wykonać w sposób zsynchronizowany, wykluczone są jakiekolwiek niespodzianki lub zakłócenia. W takiej

sytuacji nie mógłby wiele zdziałać. Co najwyżej mógłby interweniować, gdyby jeden z egzekutorów znalazł się w opałach.

Jego przewidywania okazały się słuszne. Kiedy peugeot 504 wjechał w aleję prowadzącą do willi, minęły dokładnie dwie godziny i czterdzieści minut od momentu, kiedy opuścił Emile'a Mascote'a. Korki uliczne były elementem krajobrazu Paryża. Nie można było dać się schwytać w tego rodzaju pułapkę. Byłoby idiotyczne spartolić uderzenie z powodu jakiegoś korka ulicznego w Paryżu.

Zaparkował samochód naprzeciwko zewnętrznych drzwi piwnicy. Klucz do niej tkwił w jego kieszeni. Otworzył drzwi, zapalił światło i powrócił do samochodu, by otworzyć bagażnik. Tego ranka znalazł idealną kryjówkę na broń. Była to przestrzeń fosy pod betonową płytą w podłodze piwnicy. Pracując w pocie czoła, przesunął płytę i złożył w fosie broń, amunicję i granaty przyniesione z samochodu. Zakończywszy pracę, położył z powrotem na miejsce kamienną płytę zastanawiając się, do czego ta fosa mogła posłużyć...

Kiedy wszedł do willi, w salonie grali w pokera Dan O'Malley, Michel Corvet, Helmut Dorff i Kurt Hopken. Każdy z nich siedział na taborecie i miał obok siebie butelkę alkoholu i szklanekę.

— Czy ktoś widział Wandę? — spytał Shulz rozglądając się wokół.

— Dopiero co przechadzała się po parku — odparł Dan O'Malley — ale nie widziałem, żeby wróciła... Powinna...

— Otwarcie, 25 dolarów — oznajmił Kurt Hopken.

— Wchodzę. Powinna wrócić do swego pokoju — podjął O'Malley — ale nie widziałem jej wracającej...

— Dobrze. Mimo wszystko, idę na górę.

I wielkimi krokami oddalił się w kierunku schodów.

Widząc tych spokojnych graczy, kto mógłby przypuszczać, że wokół stołu siedziało czterech nieubłaganych zabójców, o gwałtownych reakcjach, precyzyjnych i metodycznych ruchach, o sercu równie litościwym jak kawałek bazaltu? A jednak, gdy nadchodziła godzina akcji, zachowywali się tak, jak niewielu ludzi, skutecznie atakując wybrane cele.

Wanda Krazyk zajmowała ostatni na lewo pokój w korytarzu, naprzeciwko pokoju Harry'ego Shulza. Końcem palca zastukał delikatnie do drzwi. Natychmiast podeszła, by mu otworzyć, a kiedy go zobaczyła, niewyraźny uśmiech pojawił się na jej ustach.

— Och! To ty, Harry... Wejdz.

Z małego japońskiego tranzystora na nocnym stoliku sączyła się muzyka pop. W telewizji nadawano relację z wyścigu kolarskiego, ale dźwięk był wyłączony.

— Nie mogę — odpowiedział Shulz. — Mam jeszcze dużo pracy.. U ciebie wszystko w porządku?

Obojętnym gestem wyciągnęła papierosa, który wystawał z otwartej paczki i uruchomiła kółko swej zapalniczki Boucheron z masywnego złota. Zaciągnęła się dymem i spojrzała Shulzowi prosto w oczy.

— Dlaczego tu siedzimy, Harry?

— Nie masz kłopotów z tymi samcami?

Lekki, sarkastyczny uśmiezek pojawił się na jej twarzy.

— Ułatwiłeś mi międzynarodowe kontakty, Harry. Połowa tych facetów nie interesuje mnie.

- Mówiłem o innej połowie, Wando.
Wzruszyła ramionami i skierowała wzrok na odbiornik telewizyjny.
—Kiedy przystępujemy do akcji, Harry?
—Tego jeszcze nie wiem. To jest to, nad czym chcę zastanowić się dziś wieczorem.
—Nie można powiedzieć, że bawimy się tu wspaniale.
—Wiem. To nie potrwa długo, Wando. W rzeczy samej...
—Tak, Harry?
—Chciałbym cię prosić o przysługę. Jak mówiłem, mam dużo pracy, a nie jadłem jeszcze kolacji. Możesz mi przynieść kilka sandwichów?
—Oczywiście. Możesz na mnie liczyć. Co chcesz do picia?
—Piwo. Dziękuję, Wando. Jeżeli zdecyduję coś konkretnego, uprzedzę cię o tym...

ROZDZIAŁ VII

Od chwili przyjazdu do willi, Wanda Krazyk unikała kontaktu z pozostałymi członkami grupy. Była to podstawa, która — jej zdaniem — eliminowała ryzyko wybuchu kłótni o nią lub usiłowania spędzenia z nią nocy.

Od pierwszego dnia zdecydowała się spożywać posiłki w swoim pokoju i w tym celu zgromadziła mały zapas żywności i napojów oraz kilka talerzy, garnków i sztućców. W istocie zapasy zgromadzone przez Shulza składały się w większości z konserw i przygotowywanie z nich potraw nie było trudne.

Nie mając w pokoju ani maszyny do gotowania, ani lodówki, musiała jednak od czasu do czasu zejść do kuchni; aby zrobić sobie kawę, odgrzać puszkę konserw lub zaopatrzyć się w lód. Na tyle na ile mogła, unikała znalezienia się tam, gdy byli inni, ale czasami dochodziło do spotkania i nie mogła nie zauważać pożądlivych spojrzeń, które posyłali jej O'Malley i Michel Corvet. Zazwyczaj udawało się jej stłumić w zarodku ich zapędy wobec niej.

Tego dnia przełknęła w południe zimny obiad. Sałatka z zielonej fasoli, sardynki w pomidorach i śliwki w syropie. Wszystko podlane połową butelki Bordeaux. Wieczorem miała zamiar zjeść ciepły posiłek. Poza tym, Harry Shulz poprosił ją o sandwicha i piwo. Piwo znajdowało się w lodówce, a chleb pod celofanem w jednej z szafek kuchennych. Było prawdopodobne, że w kuchni spotka kogoś z grupy. Zamknęła drzwi na klucz i zeszła na parter.

Partia pokera trwała w najlepsze. Docierały do niej podniesione głosy. Przeszła szybko obok drzwi do salonu i znalazła się w kuchni.

Przy zlewozmywaku stało kilka brudnych naczyń. Nie było sensu prosić mężczyzn, by umyli talerze po posiłku.

W kącie piętrzyły się konserwy z nęcącymi etykietkami. Zdecydowała się na puszkę kiszzonej kapusty z parówkami. Otworzyła ją i włożyła zawartość do rondla wypełnionego wodą, który postawiła na kuchence elektrycznej. W szafce na ścianie znalazła pod celofanem chleb, który był już pokrojony na kromki i aby oszukać głód, zaczęła chrupać sandwicha z serem szwajcarskim, popijając piwem.

Kiedy kapusta z parówkami była już podgrzana, położyła potrawę na talerzyk i gotowa już była wbić widelec w parówkę, kiedy do kuchni wtargnęło czterech graczy w pokera.

—Księżniczka je w kantynie? — zdziwił się Kurt Hopken, który mówił po angielsku z silnym akcentem niemieckim.

Helmut Dorff zatrzymał się na progu i spoglądał na nią bez cienia łagodności. Dan O'Malley i Michel Corvet posłali jej zdziwione spojrzenie.

Nie uczyniła żadnego fałszywego ruchu. Podczas gdy oni byli nią zaaferowani, spokojnie jadła, popijając kęsy chleba niemieckim piwem.

Stała przy małym metalowym stoliku w kącie izby. Pociągnęła łyk piwa, kiedy dostrzegła poprzez szklankę sadowiącego się naprzeciwko Michela Corveta. Wyraz jego angielskiej twarzy był szczerzy. Usmażył sobie właśnie sześć jajek sadzonych, na których położył dwa plastry bekonu i łączywie pałaszował posiłek nie podnosząc na nią oczu. Pośrodku stołu królowała butelka Beaujolais, a każdemu zeżartemu jajku towarzyszyła jedna szklanka wina.

Skończyła jeść parówkę z kapustą, która była mdła i pozbawiona smaku. Odstawiła szklankę na stolik i wstała. Był najwyższy czas, by przygotować sandwicze dla Harry'ego Shulza. Położyła talerz na stos brudnych naczyń, gdzie gromadziły się już muchy, i odwróciła się. Dan O'Malley zajął jej miejsce.

Za plecami usłyszała, jak Helmut Dorff mówił po niemiecku do Hopkena: — Mówią, że mamy wśród nas babkę i że Harry nawet nie potrafi kazać jej zmyć naczyń.

—Masz rację — potwierdził Hopken. — Jeśli zostaniemy tutaj jeszcze tydzień będzie więcej brudnych talerzy. I te muchy... Wiesz, to mi coś przypomina... Helmut, należałoby zobaczyć...

Wanda wyjęła z zamrażarki pojemnik z masłem i posmarowała kromki chleba, które rozłożyła na dwóch talerzach. W stosie konserw dostrzegła puszkę szynki i drugą — z galantyną z indyka. Otworzyła je i przyrządziła sandwicze. Pozostało kilka kromek chleba posmarowanych masłem. Pokroiła kawałek szwajcarskiego sera w cienkie plasterki i ułożyła je między kromki chleba.

Kiedy skończyła, spostrzegła, że Michel Corvet wpatruje się w nią. Wstał i zbliżył się do niej.

—Będzie to pani wszystko jadła, po kiszzonej kapuście?! — Z jego głosu przebijało niedowierzanie.

—To dla Harry'ego — rzuciła krótko.

Usłyszała jak Dan O'Malley roześmiał się szyderczo.

—Cóż! Dogadza się Harry'emu. Jesteśmy dla szefa nadgorliwi.

Nie uważała za stosowne odpowiedzieć. Michel Corvet nie poruszył się. Stał tuż obok niej. Odwróciła się do niego i przez krótką chwilę mierzyła go wzrokiem.

—Chciałby pan pomóc? A więc niech pan weźmie z zamrażarki butelki piwa. Zaniemiemy mu kolację.

Usłuchał, jakby ujarzmiony jej rozkazującym tonem.

—Ona wydaje rozkazy... i słuchają, niczym dobre, wierne psy...

Drzwi zamrażarki szcęknęły głucho. Michel Corvet odwrócił się i podszedł do stołu, gdzie Dan O'Malley kończył jeść kolację.

—Twoje zniewagi zachowaj dla siebie — powiedział powoli głosem kipiącym z gniewu.

Jego pięści były zaciśnięte i ruszył do przodu niczym bokser, któremu dodała sił minuta odpoczynku. O'Malley rzucił mu ironiczne spojrzenie i zajął się odkrawaniem kawałka ananasa.

—Nie licz na mnie w tej rozróbce, Michel. Przypomnij sobie, co powiedział Harry. Twardzi faceci, którzy nie wytrzymają ciosu, niech zamkną się w swoich pokojach i niech zapiją się na śmierć.

Kurt Hopken i Helmut Dorff przyglądali się im z zainteresowaniem.

—Zawsze myślałem — powiedział ten ostatni, patrząc na Wandę Krazyk — że jakaś babka w tym układzie to jest coś, co zakrawa na burdel. Ale Harry nie chciał mnie posłuchać.

Tym razem to Hopken usiłował rozładować atmosferę. Znalazł się między stołem a Michele Corvetem.

—Więc cóż, chłopaki? Nie jesteście zadowoleni? Zgarnęliście każdy prawie pięć setek dolarów w pokera i to wam nie rozluźniło nerwów? Dla mnie, jak na jeden dzień, wystarczy. Nie potrzebuję żadnej rozróby!

Zablokował przejście i zabronił również Michelowi Corvet zbliżyć się do stołu.

Wściekłość tego ostatniego opadła równie szybko, jak się narodziła. Uderzył Hopkena lekko po plecach i odwrócił się od zamrażarki. Zachowując się obojętnie wobec tego co, działo się w kuchni, Wanda Krazyk, z rękoma zajętymi przez dwa talerze sandwiczów, przekroczyła próg i wyszła na korytarz.

Michel Corvet otworzył ponownie drzwi zamrażarki i w głębokie zagłębienia ramion ułożył pół tuzina butelek piwa. Zgarnął otwieracz do butelek, który wisiał na podmurowaniu, i schował go do kieszeni, potem pospieszył za Wandą Krazyk.

Kiedy spotkał ją znowu, stała przed drzwiami Shulza. Końcem pantofla stuknęła w drzwi.

Shulz otworzył i zobaczył ich oboje.

—Brawo dla pokojowych — zażartował.

Ustał im miejsca, aby mogli wejść do pokoju. Położyli talerze i butelki na stole, na którym piętrzył się stos papierów i fotografii.

—Dziękuję wam — powiedział Shulz odprowadzając ich do drzwi.

—Kiedy skończę tę robotę — rzucił, wskazując na papiery na stole — będę wiedział, jak blisko jestem celu, a poza tym czas nas goni...

Życzyli mu dobrej nocy, a on zamknął za nimi drzwi.

Pokój Wandy Krazyk znajdował się naprzeciwko pokoju Shulza. Potrzebowała więc tylko przejść szerokość korytarza, aby znaleźć się pod jego drzwiami. Kiedy wkładała klucz do jego zamka, Michel Corvet oparł się plecami o framugę. Rzuciła mu krótkie, lekceważące spojrzenie, które nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Drzwi otworzyły się. Odbiornik telewizyjny wciąż był włączony, ale relacja z wyścigu już się skończyła. Ekran rzucał wielokolorowe błyski na twarz Corveta, kiedy po wepchnięciu Wandy Krazyk do pokoju, wkroczył za nią. Nie protestowała. Stała w ciemności, cała sztywna. Jej twarz była zwrócona ku niemu. Pozostała sztywna i nieporuszona, kiedy wziął ją w ramiona i język utorował sobie drogę do jej ust. Ścisnął ją mocno, ale ona zmusiła samą siebie do pozostania nieruchomą jak posąg.

Jego ręce stały się zuchwałe, a pieszczoty coraz bardziej pośpieszne, lecz ona nadal była lodowato obojętna. Zniechęcony i odepchnięty, w końcu ją puścił. Zapalił w pokoju światło, a

wtedy sylwetki na ekranie telewizora zmniejszyły się do rozmiaru niemych i śmiesznych marionetek.

Michel Corvet zamrugał oczami. Grymas zniechęcenia wykrzywił jego usta. Z irytującą opieszałością zapalił papierosa. Wanda Krazyk odwróciła się, aby zwiększyć siłę dźwięku i John Wayne wkroczył do pokoju. Przez czysty przypadek stary western nadawany był w wersji oryginalnej, co we Francji było zdumiewające. Południowcy deptali po piętach Johnowi Wayne'owi o pół zasięgu strzelby. Jego koń był wyczerpany, buty z cholewami pokryte kurzem, a nieprzystępny sierżant o siwiejących włosach i szerokich galonach miał cały rękaw ociekający krwią. John Wayne wystawił na pokaz fotogeniczną szramę na lewym policzku, gdy stary pułkownik z Północy zaczął coś mówić. Brzmiało to jakby znalazł się w bostońskim salonie i plótł głupstwa eleganckiej amazonce w nieskazitelnym stroju i fryzurze bez zarzutu, którą można sobie było wyobrazić raczej na polowaniu na lisa na angielskiej wsi niż na tej wyboistej, błotnistej drodze.

Wanda Krazyk usiadła na łóżku i zmusiła się do spoglądania w ekran. Jakiś wąwóz o stromych zboczach rozpościerał się przed oddziałem jeźdźców.

—Sierzancie — zawołał John Wayne rozkazującym tonem — weźcie czterech ludzi i jedźcie rozejrzeć się w tym wąwozie. My zaczekamy tutaj...

Wanda Krazyk, która nigdy nie uczęszczała na wykłady Akademii wojskowej w West Point lub Saint-Cyr-Coetquidan, osądziła jednakże tę decyzję jako szalenie niebezpieczną. Południowcy mogli zjawić się lada chwila. Jednak bez wątpienia był to dla scenarzysty szczegół bez znaczenia.

Sierżant, który zdaje się stracił co najmniej dwa litry krwi, jeśli wierzyć amarantowej barwie jego wojskowej bluzy, wydawał się zachowywać nieokiełznaną energię. Nie martwiąc się o swoje prawe ramię w połowie rozszarpane przez kule, poruszył tym właśnie ramieniem niczym skrzydłem młyna na wietrze.

—Do mnie! — wrzasnęła na całe gardło. — Hopkins, Stonebr...

Corvet przyciszył dźwięk.

—Czy to prawda, co mówią o tobie? — powiedział spokojnie, ale dobitnie.

Wanda Krazyk nadal była wpatrzona w ekran.

—Co takiego mówią?

—Że wolisz kobiety.

Był skrępowany mówiąc jej na „ty” w tak naturalny sposób. Niewidoczny uśmiezek zaigrał na wargach Wandy.

—To chyba powinno panu wystarczyć — odparła ironicznie. — Widzi więc pan, że traci swój czas...

—Szkoda...

Nie skomentowała tego. Na komodzie poniewierała się butelka wódki. Podeszła, by nalać sobie w szklankę.

—Ma pan czuły słuch? — zapytała tym samym ironicznym tonem.

—Dlaczego?

—Dlatego, że ja chciałabym posłuchać dalszego ciągu dialogu. Uwielbiam westerny.

Podkreślił dźwięk i ze szklanką w ręce usadowił się na łóżku naprzeciwko niej, zachowując szeroką przestrzeń między nimi.

Południowcy runęli na oddziałek tych z Północy niczym sępy na rozkładającą się już antylopę. Żołnierze w niebieskich mundurach padali jak muchy. Jako człowiek o nienaganych manierach, ale zły żołnierz, John Wayne powierzył dowodzenie nad pozostałymi przy życiu zdecydowanemu na wszystko porucznikowi i chwyciwszy mocno uzdę konia amazonki, wprowadził go do pobliskiego wąwozu, nad którym wkrótce rozbłysły błyskawice. Jego ludzie ginęli jeden po drugim, ochraniając młodą panienkę.

Wanda Krazyk czuła tuż przy sobie obecność Michela Corveta. Wyobrażała sobie, że jest napięty i nieco zagubiony. Powinien zostać czy odejść? Prawdopodobnie zastanawiał się nad tym.

Interesujące, w jaki sposób mężczyźni nabierali przekonania, że wołała kobiety... To nie było zresztą zupełnie nieścisle, ale niezupełnie była to prawda. Było to bardziej wyszukane i subtelne. Stosownie do pór roku, dnia... Tak jak zmieniają się pory kwitnienia... To ciało dyktowało jej własne gusta, bez logicznego powodu, wraz z impulsami jej brzucha.

Jak dawno temu kochała się z mężczyzną? Kiedy był ten ostatni raz? Miesiąc temu? Dwa miesiące temu? Tak, dwa miesiące temu. To był młody angielski reżyser, Dawid jakiś tam, bardzo ważny, wrażliwy jak mówiono na planie. Miał podobno wyobraźnię twórcy, ale był żałośnie ubogi, jeśli chodzi o umiejętność dania jej zmysłowej rozkoszy, na którą liczyła. Był to właśnie ten rodzaj doświadczenia, które nieuchronnie rzuciło ją ponownie w ramiona dziewcząt. A w Chelsea lesbijek nie brakowało..

Jednak Michel Corvet podniecał ją. Od chwili, gdy go spostrzegła, ponownie odczuwała w brzuchu to rozkoszne i bolesne zarazem rwanie, które nie zawodziło nigdy. Oczywiście, unikała go. Miała się na baczności wobec tych pięknych, wysokich mężczyzn o ciele umięśnionym jak należy i aksamitnej skórze. Corvet miał twarz anioła o wielkich, niebieskich i naiwnych oczach, okoloną aureolą blond włosów. Romantycy i mężczyźni lubiący obiecywać, którzy doprowadzali ją do szału, do zguby, skazywali ją na wiekiście męki, łamali skorupę surowości, okrucieństwa, zrywali maskę obojętności, zimnej niewrażliwości. I zawsze obnażali ją do końca.

Powinna opierać się powabowi Corveta, a jednak wewnętrzny ogień narastał, wzmagał się. Jej umysł przywołał na pomoc Johna Wayne'a. W wyczyszczonym mundurze, z mocno osadzonym na głowie kapeluszem, składał raport generałowi o białych wąsach, który wystawiał na pokaz surową minę. Amazonka pewnie odpoczywała w jednym z namiotów obozowiska.

W następnej scenie ujrzeli żołnierzy chlapiących się w rzece. Film pochodził z epoki, w której cenzura stosowała w praktyce ostre zakazy. Przyzwoitość przede wszystkim. Mężczyźni mieli spodnie do konnej jazdy, buty z cholewami i pasy. Jedynie ich torsy były nagie. Ale ten widok poruszył ją do głębi. W jej wnętrzu ogień to narastał, to gasł, to znowu wybuchał płomieniem, ogarniał jej piersi, które jak czuła stwardniały.

—Zgaś światło — wyszeptała chrapliwie.

Usłyszała jak się poruszył. Ciemność ogarnęła pokój. Na ekranie jeźdźcy o nagich torsach pędzili wśród zarośli i pagórków.

Westchnęła i ponagliła go: — Pośpiesz się! Chodź...

Kiedy do niej przyłgął, rozerwała błyskawicznie guziki koszuli i ugryzła z wściekłością jego pierś. Nie niepokojąc się jego okrzykiem bólu pozwoliła, by krew zwilżyła jej wargi. Czuła rozgorączkowane dłonie rozbierającego ją mężczyzny, zdzierającego z niej odzież.

Kiedy oboje byli już nadzy, chwyciła jego włosy i naprowadziła jego usta na swoje. Jego ciało było oschłe, jak gdyby ona je kochała, zachwycająco władczo, pewne siebie, egoistyczne. Jej włosy pieściły jego policzki. Zamknęła oczy i otworzyła swe ciało.

Fala rozkoszy zalała ją i uniosła w otchłanie bez dna, potem cofnęła się i położyła ją, zadyszana, na brzegu pokrytym ciepłym piaskiem.

Znacznie później, kiedy na nowo otworzyła oczy, otaczali ją południowi jeźdźcy pod dowództwem Jacka Palance'a.

Na koń! — rozkazał Jack Palance. Pokryte potem ciało Michela Corveta druzgotało ją. Oswobodziła się zrećznie i pobiegła ukryć się w łazience.

Kiedy stamtąd wyszła, palił papierosa nonszalancko rozciągnięty na łóżku. Światło rozbłysło ponownie. Uklękła tuż przy nim i dostrzegła ukąszenie na opalonym, brązowym torsie. Skóra była koloru fioletowego i brzydko wyglądała... Nic nie mówiąc, poszukała swojej niewielkiej sanitarnej walizeczki, oczyściła ranę, posmarowała ją rtęcią chromową i założyła lekki opatrunek.

— Sprawia ci ból? — zapytała.

— Teraz tak. Przed chwilą, to było ekscytujące. Ale powiedz mi, skąd ta nagła zmiana postawy?

— Dlaczego wciąż pytasz? Przestań myśleć... zastanawiać się...

— Masz rację. To idiotyczne. Trzeba brać rzeczy takimi jakimi są. Jeżeli to się zdarzy, kiedy będziemy wykonywać kontrakt, przyjdzie tam zostawić naszą skórę.

Zajęta zasuwaniem zamka swojej walizeczki — apteczki, rzuciła mu badawcze spojrzenie.
— Boisz się?

— Nie odczuwam strachu — odparł z pogardą. — Ale umieranie może mnie znudzić, kiedy jest tyle rzeczy na ziemi do zrobienia.

— Co na przykład?

— Wszystko... Życie... co jeszcze... Ty, na przykład.

Zdziwiona, spojrzała na niego swymi nieprzystępnymi oczami.

— Ja? Co ja mogłabym robić w tym wszystkim?

— No cóż, jesteś przykładem dobrych rzeczy, które mogą się przytrafić w życiu.

— Jestem zaledwie „przejsciem”. Nie oszukuj się, Michel. Kiedy kontrakt zostanie wykonany, każde z nas pójdzie w swoją stronę.

— Nie to chciałem powiedzieć.

Wzruszając ramionami wstała i poszła ustawić na swoje miejsce w łazience apteczkę z lekarstwami.

— Shulz — powiedział Michel rozmarzonym głosem, kiedy wróciła, by się położyć obok niego — to jest twarde. Ale jego plan jest cholernie trudny. Zastanawiam się, czy to się powiedzie. Sześciu facetów w tym samym czasie — trzeba to dokładnie zsynchronizować. Jeden nieprzewidziany wypadek i katastrofa gotowa.

Poklepała go po ramieniu.

— Jest coś lepszego do roboty niż zawracanie sobie głowy kontraktem. Harry cieszy się dużym uznaniem, wiem o tym. Wierzę, że nie spartaczy uderzenia.

Na ekranie telewizora western ustąpił miejsca programowi o ostatnio wydanych dziełach literackich. Ze znudzeniem wstała i wyłączyła odbiornik.

Znowu zaczęli się kochać, raz, dwa, trzy, cztery razy. Niestrudzenie. Z nie nasyconym entuzjazmem. Ich ciała wspaniale się uzupełniały. Z nim odnalazła całe swoje zuchwalstwo, przejęła inicjatywę. Poczula się wyzwolona, nieskończenie oczyszczona moralnie, szczęśliwa... Jak za najpiękniejszych dni.

Świt rozjaśnił zasłony, kiedy Michel zasnął. Ona pozostała rześka, zmysły uciszyły się, wspaniale odpoczywała.

Co on chciał powiedzieć mówiąc: Ty, na przykład... Nie było żadnego sensu myśleć o tym. To tylko dzieciak. Urzekający, ale jednak dzieciak. I już wybitny fachowiec, tak jak ona. Niesamowity, tak jak ona. Szalony, bez wątpienia. Rodzaj szczególnego szaleństwa. Obcy we wspólnocie śmiertelników. Trzeba było być szaleńcem, aby wykonywać ten rodzaj roboty. Wszyscy oni byli szaleni, choć sprawiali wrażenie normalnych ludzi. Shulz, Michel, ona i inni. Ludzie niespełna rozumu. A życie nie obiecywało im niczego dobrego. Pewnego pięknego dnia... Czy istniały badania na temat zawodowych zabójców?

Wzięła się w garść. Mimo wszystko nie może popaść w czułość. Bez wątpienia słowa Michela o ewentualnych kłopotach podczas wykonywania kontraktu wywołały te ponure myśli.

Spał tuż obok niej, z twarzą na jej piersi, a ona czuła jego ciepły i regularny oddech.

We śnie jego twarz była jeszcze bardziej anielska. A jednak... Ilu ludzi już zabił? Czy porównał swoje wyniki z jej? W czasie ich pieszczot lekki opatrunek, jaki zrobiła mu na ranie, oderwał się i ciemna plama na piersi przypominała jej identyczną plamę na innej piersi, wiele lat wcześniej.

Strażnicy graniczni wystrzelili i Svan padł tuż przy zasiekach. Rozdarła jego koszulę i zobaczyła ciemną wilgotną plamę. Graniczyło z cudem, że strażnicy nie ośmielili się wystrzelić także i do niej. Wielkie niebieskie oczy Svana spoglądały na wartownię. Nie mrugały już. Wydawały się pochłaniać całe światło reflektorów. Błoto „ziemi niczyjej” przeniknęło już w długie blond włosy.

Machinalnie pieściła długi kosmyk włosów Michela, który muskał jej pierś.

Słońce już było wysoko. Michel poruszył się we śnie. Zapięła ponownie koszulę na miejscu, gdzie krew nieubłaganie sączyła się małą strużką z rany, lśniąc w okrutnym świetle reflektora.

W jakim nieznanym, anonimowym grobie spoczywało jego ciało? Po co o tym wszystkim myśleć... Co on powiedział przedtem, zanim oboje nie wyłonili się zza kępy krzewów? — Karla, Kocham cię?

ROZDZIAŁ VIII

Jego zegarek wskazywał dziewiątą piętnaście. Lekceważąc sandwicze i butelki piwa, które Wanda Krazyk zostawiła na stole, Harry Shulz raz jeszcze starannie przeczytał raporty, które wręczył mu Emile Mascot. Starannie i metodycznie. Przeczytał je wiele razy. Potem bardzo dokładnie obejrzał zdjęcia. W końcu wyciągnął z segregatora sześć kartek czystego papieru i na każdej napisał imię i nazwisko.

Andre Massicaud-Vellard, Armand de Sussieux, Ange Zuccarelli, Kevork Boghossian, Bernard Loraygon, Monique Vallain...

Potem zabrał się za opracowywanie informacji na temat każdego z nich, do których dorzucił osobiste refleksje i uwagi, wynikające z analizy fotografii.

Kiedy skończył, odłożył pióro i rzucił się łapczywie na sandwicze, nie przestając się zastanawiać. Miał nawet uczucie, że obiekty kontraktu widział jak żywe. To nie były wcale zwiewne istoty, utrwalone w bezruchu na błonie fotograficznej w czasie 1/10 sekundy, obserwowane przez pięć dni ich życia. Inteligencja i wyobraźnia Harry'ego Shulza asymilując, trawiąc dziwne, niejednolite wskazówki, analizowała te osoby, budowała ich tożsamość i wracała je życiu.

Piwo było ciepłe, ale nawet nie zwrócił na to uwagi. Był zafascynowany tym, co powstawało w jego mózgu. Tak jakby był programistą komputera, który widzi rezultat jego pracy.

Ale była to jedynie obróbka wstępna. Należało wygładzić, oczyścić, przydać większej ostrości obrazowi przyszłych ofiar. Dokończył sandwicze i dopił piwo nawet nie zauważając, co zjadł i wypił.

Potem z precyzją studenta archiwistyki ponownie analizował, układał i porównywał jeszcze raz surowy materiał zawarty w raportach, opierając się na przypuszczeniach i dedukując powoli tworzył syntezę dossier.

Wstępny projekt raportu o osobach, które mieli zabić, został dopracowany w szczegółach. Ukończywszy pracę, odczytał ponownie to, co napisał. Studium przyjęło odpowiedni kształt.

Leżała przed nim karta z opisem każdej z przyszłych ofiar. Obecnie należało przydzielić zabójcy ofiarę, zależnie od osobowości jednego i drugiego, potem wybrać sposób działania, uwzględniając charakterystyki ofiar i preferowane metody każdego zabójcy.

Z pewnością istniał jeszcze pewien margines niepewności. W rzeczywistości nie można liczyć na to, że będzie się mieć możliwość eliminowania wszystkich sześciorga w tej samej chwili. Harry oceniał, że odstęp między egzekucją pierwszego „obiekta” od egzekucji ostatniego może wynosić do trzydziestu minut. Z wyjątkiem jednego „obiekta”. Tego, którego przyzwyczajenia były tak bardzo nieregularne, że niemożliwe było planowanie czegokolwiek precyzyjnie. Należało nim zająć się oddzielnie i Harry miał pewien pomysł.

Spojrzał na zegarek. Była czwarta rano. Nawet nie odczuwał zmęczenia, ale silne pragnienie paliło mu gardło.

Wstał, włożył papiery i zdjęcia do szuflady i zdecydował, że pójdzie do kuchni wypić piwo.

Na korytarzu, z pokoju Wandy Krazyk, dobiegało go zduszone charczenie. Zatrzymał się na kilka sekund i nasłuchiwał. Na jego twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech. Kim był szczęśliwy wybraniec? Michel Corvet? Dan O'Malley?

Oddalił się cicho. A jednak Dan O'Malley usłyszał go, gdy przechodził obok jego drzwi. Nie spał. Dręczyła go bezczynność. On wiedział, że to Michel Corvet korzystał z wdzięków Wandy Krazyk. Kiedy spostrzegł jego zniknięcie, natychmiast domyślił się wszystkiego. Ogarnęło go uczucie frustracji, ponieważ dziewczyna podniecała go. Ale uczucie to szybko zniknęło. Przecież Paryż był pełen dziewcząt. Przez dwa dni ograł Hopkena i Dorffa na prawie osiemset dolarów, które dorzucił do pięciu tysięcy, jakie zapłaci Harry po wykonaniu kontraktu. Wówczas poderwie piękne Paryżanki z temperamentem bardziej gorącym niż

temperament tej lesbijki Wandy, która musiała być równie zimna jak góra lodowa. W jaki sposób Michel ją poderwał? Był to wyczyn godny podziwu.

Świt pobielił zasłony. Dan O'Malley zaciągnął się jeszcze kilka razy papierosem, potem zgasił go w popielniczce i odwrócił się na prawy bok próbując zasnąć. Obrzydliwa szrama na lewym boku rwała go od kilkunastu minut.

Łajdaki, Haitańczycy...

Nazajutrz, wczesnym popołudniem, Harry wezwał Wandę do swojego pokoju.

—Spakuj walizki i przenieś się do hotelu. Zamówiłem dla ciebie pokój w Claridge. Będziesz miała wszelkie wygody. To jest na Polach Elizejskich.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

—Harry — zaczęła...

Przerwał jej gestem zniecierpliwienia.

—W porządku. Wiem, co tu się dzieje. Mój pokój jest naprzeciwko twojego. Ale mam gdzieś zakochanych. To mnie nie interesuje. Robisz to, co ci się podoba, tyle tylko, że nie rób tutaj burdelu. To nie jest wcale tak, że szukam pretekstu, by cię oddalić, by przeszkodzić ci w twoich amorach, jak mawiają powieściopisarze. Wando, zaczynamy robotę...

Iskierka zabłysła w nieczułych oczach Wandy.

—Powiedziałam sobie to samo... Rozumiem, że nie jest to w twoim stylu, Harry. Zawsze byłeś okay.

—Dzięki, Wando. A więc, posłuchaj mnie. Musisz oczarować jednego faceta. To twój „obiekt” — Włożył ręce do kieszeni, zmarszczył brwi i zaczął chodzić między łóżkiem a oknem. — Zatrzymasz się w hotelu. Przyjechałaś do Paryża. Pochodzenie: Szwajcarka. Nazwisko: Heidi Stauber. To jest nazwisko, pod którym już podróżowałaś, tak?

Potwierdziła skinieniem głowy.

—Bez zawodu. Stan cywilny: rozwiedziona. Twój eks-mąż to gruba ryba. Ma dużo forsy i dlatego nie musisz pracować. Podróżujesz dla własnej przyjemności. „Obiekt” podrywa każdego wieczora w szykownym barze na ulicy Pierre-Charron Epsom. Wielki „konsument” dziewcząt. Do ciebie należy poderwanie go. Opowiesz mu wszystko, co ci powiem. Grasz dziewczynę — próżniaczkę, która wyruszyła na poszukiwanie przygód. On jest przekonany, że wszystkie dziewczyny muszą padać mu w ramiona. Uwaga! Nie ma mowy o spaniu z nim, zanim ci o tym nie powiem. Będiesz kokietowała i podniecała go. Masz kilka dni, aby mu wmawiać, że jesteś nim zafascynowana.

Umilkł i spojrzał na nią uważnie.

—Stosujesz jeszcze trik, którym posłużyłaś się wobec jednego z Kongijczyków?

Odwróciła wzrok i znowu skinęła głową.

—Doskonale — ucieszył się Shulz. — Tę samą metodę zastosujesz wobec niego, ale tylko w dniu, który ci wyznaczę. Skontaktuję się z tobą w hotelu Claridge.

Wziął ze stolika kartkę papieru i stos fotografii i wręczył je Wandzie.

—To ten facet. Tu masz jego dossier. Każdego wieczora o siódmej facet pije aperitif w Epsom. Zresztą, to jego jedyne regularne przyzwyczajenie. Przestuduj to wszystko i spal, kiedy skończysz. Kiedy spakujesz swoje bagaże, Dan zawiezie cię samochodem do hotelu.

Złożyła kartkę papieru na czworo i wsadziła ze zdjęciem do torebki. Shulz uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

—Liczę na ciebie, Wando.

Do terminu wyznaczonego przez Syndykat były jeszcze cztery dni. Harry miał jednak w zapasie dwa dodatkowe dni, ponieważ natychmiast po wyjeździe Wandy spotkał się z „Frenchie” Terretem, aby przedstawić mu sytuację i przedstawić mu swój plan działania. Capo di tutti cappi Syndykatu nie zgłosił obiekcji i Harry poprosił go o dodatkowe dwa dni, ponieważ wśród czterech dni, które zostały mu do wykonania zlecenia, były sobota i niedziela. W te dni codzienny rytm wydarzeń był zakłócony. Przed przystąpieniem do akcji Harry chciał zbadać teren oraz zweryfikować przyzwyczajenia „obiektów”. Ponadto jego ekipa musiała zapoznać się z miejscem akcji.

„Frenchie” Terret ustąpił wobec jego racji i zgodził się na dwa dodatkowe dni.

Harry natychmiast spotkał się ze wszystkimi członkami grupy przedstawił im plan działania. Kontrakt miał być wykonany w następną środę.

Potem z każdym rozmawiał indywidualnie, wręczył im rysopisy ofiar, a także ich zdjęcia. Następnie omówił szczegółowo, co każdy ma robić i określił rodzaj egzekucji. Następne dni były poświęcone zapoznaniu się z miejscem akcji, weryfikacji wskazówek zebranych przez Emile'a Mascota, identyfikacji „obiektów”.

Opracowano także plany ucieczki, które Harry wpisał do ogólnego planu operacji.

W ciągu trzech dni przed terminem kontraktu Kurt Hopken, Helmut Dorff, Dan O'Malley, Louis Suttot, Michel Corvet dwa razy powracali na miejsca akcji, aby przećwiczyć swoje zachowanie i zweryfikować plany Shulza. Po powrocie zdawali mu relację ze swoich obserwacji. Harry także dokonał lustracji miejsca, gdzie miały być wykonane wyroki Syndykatu, ponieważ chciał porównać swoje wrażenia z opiniami zabójców. Harry zdecydował również, że najbardziej praktyczne będzie wynajęcie samochodów. Jedynym, który dysponował fałszywymi dowodami tożsamości, by móc to zrobić, był Louis Suttot. Była to jedna z zalet ludzi z Kots. Harry wręczył mu pieniądze na depozyty gwarancyjne. Louis sprawnie zorganizował wynajęcie pojazdów i sprowadzenie ich do willi.

Wanda Krazyk wynajęła sama dla siebie kabriolet. Dysponowali dziewięcioma samochodami, łącznie z autem Wandy. Dwa powinny zostać w rezerwie w willi, a siedem pozostałych mieli wykorzystać Harry i reszta grupy.

Samochody dostarczono na miejsca w noc poprzedzającą akcję.

Sposób ucieczki pozostawiony został do wyboru każdemu z nich indywidualnie, stosownie do zaistniałych okoliczności.

Harry był dobrej myśli, ponieważ wszyscy jego ludzie byli fachowcami. Miał nadzieję, że wyjdą z tego cało.

Po pozostawieniu samochodów w wybranych uprzednio miejscach, wszyscy powrócili do willi, aby przespać się kilka godzin. Harry przypomniał im, że po egzekucji mają szybko powrócić do willi. Zresztą, dla każdego przypadku przewidział rozwiązanie awaryjne.

Zanim położył się spać, powtórzył jeszcze raz w myślach plan operacji. Był zadowolony. Wszystko było okay. Rano zatelefonował do Wandy, aby dać jej zielone światło.

O szóstej rano, byli już na nogach. O siódmej opuścili willę. O ósmej Harry rozmieścił czterech zabójców w wybranych wcześniej miejscach. Kiedy rozstawił ostatniego z nich — Dana O'Malley'a, spojrział z satysfakcją na zegarek. Zdążył na czas.

ROZDZIAŁ IX

Karta z rysopisem ofiary sporządzona przez Harry'ego Shulza:

LORAYGON, Bernard.

Wiek: 42 lata

Zawód: adwokat

Stan cywilny: kawaler

Rysopis: około 1,75 m wzrostu, szczupły, smukły. Włosy ciemne, bardzo gęste. Oczy jasne. Ubrany zawsze elegancko.

Miejsce zamieszkania: 124, Avenue de Villiers, Paryż 17.

Telefon: 522 02 83

Uwagi: Lubi afiszować się w środowisku artystycznym, literackim, a także wśród polityków. Liczne kontakty wśród intelektualistów lewicy. Nie gardzi środowiskiem filmowym i teatralnym. Widywany najczęściej z Sigrid Bjornstrom, gwiazdą międzynarodowego kina, gdy kręciła w Paryżu Starlight Roof.

Jedyny regularny nawyk: każdego wieczora, o 19.00 zamawia aperitif, lub raczej podwójną szkocką, w Epsom, szykownym barze na ulicy Pierre Charon. Wielki amator dziewcząt, bardzo często śpi poza domem. Spędza prawdopodobnie noc u swoich zdobyczy. Jego biuro adwokackie usytuowane jest w nowoczesnym budynku na 96 Champs-Elysees. Udaje się tam dość nieregularnie. Przeważnie rano między 10-tą a 11-tą. Często je obiady z interesantami. Wraca do biura między 16-tą a 17-tą. Ma wielu współpracowników. Często wyjazdy na prowincję i za granicę.

Inne spostrzeżenia: inteligentny, przystojny, pełen humoru. Wielkie dochody. Główna wada: uważa się za człowieka, któremu żadna kobieta się nie oprze. Prawdę mówiąc, ma wiele kobiecych „zdobyczy” na koncie.

Bernard Loraygon zabrał Wandę Krazyk na kolację do małej modnej restauracji, pełnej snobów. Lokal był ozdobiony na ludowo. Sufit zdobiły wypaczone, sztucznie zaczernione belki. Do ścian przymocowano miedziane naczynia, z sufitu zwisały szynki i kiełbasy. Umeblowanie restauracji stanowiły także beczka wina, którym napełniano dzbanki stojące na stołach, i drewniane ławy, wąskie i niewygodne. Stoły były ściśnięte jedne przy drugich, tak jak i klienci. Specjalnością zakładu była pieczeń wołowa po burgundzku. Jedynie wino: beaujolais. Było to straszliwie konwencjonalne i pretensjonalne. Od Kopenhagi do Johannesburga i od San Francisco do Bejrutu ten styl restauracji był kopiowany w milionach egzemplarzy.

Wanda czuła się niedobrze w miejscu, gdzie do dobrego tonu kierownictwa lokalu należało afiszowanie się pewnym lekceważeniem wobec klienteli bądź traktowanie gości z często

wulgarną poufałością. Mówiąc wprost, dusiła się tutaj. A duszność, którą odczuwała, budziła jej nienawiść do Bernarda Loraygona, snoba, który słuchał siebie, kiedy mówił.

Na nieszczęście, musiała go znosić. Udawała dziewczynę uwiedzioną świetną konwersacją towarzysza. Korzyść z tego rodzaju człowieka — pomyślała — polega na tym, że nie trzeba być ani inteligentną, ani rozmowną. Po prostu trzeba mieć zachwyty w oczach, co umiała przekonująco wyrazić. Od czasu do czasu mówiła: — To niesłychane. Należało często powtarzać Bernardowi: boski, wspaniały, sensacyjny, zdumiewający, obłądny. A on uznał cię za inteligentną. A kiedy będzie mówił, będzie czas, by poddać się temu widowisku.

Właśnie zaczął opowiadać kolejną historię, podnosząc głos w nadziei, że ich sąsiedzi zza stołu go usłyszą. Niestety sąsiedzi, zapewne ludzie tego samego pokroju co Loraygon, byli pogrążeni w zajmującej rozmowie o celowości udzielenia skutecznej pomocy Palestyńczykom. Na początku posiłku dyskutowano o Irlandczykach z Ulsteru i Baskach.

Szczerze mówiąc, Harry miał rację. Nawiązanie znajomości w Epsom z Bernardem Loraygonem nie było zbyt trudne. prostytutki nie odwiedzały tego baru i dlatego nie było w tym nic podejrzanego. Samotna kobieta była natychmiastowym łupem dla tego nienasyconego samca, uganiającego się za spódniczkami. Zaczepił ją bez kompleksów i zaproponował szklaneczkę szkockiej. Po godzinie lub dwóch zabrał ją na kolację do Orée du Bois. Spędzili razem cztery dni.

Zgodnie z instrukcjami Shulza - pomimo uporczywego nalegania Loraygona - uprzejmie, ale stanowczo odmówiła spędzenia z nim nocy. Znała dostatecznie dobrze mężczyzn, by wiedzieć, że ta odmowa podnieci go jeszcze bardziej. Oczywiście, powiedziała mu, że nieco później... mrugnęła okiem, obiecując wiele. I naiwniak połknął haczyk.

W niedzielę zabrał ją na przejażdżkę samochodem w dolinę Loary. Jeśli dobrze rozumiała, mieli spędzić noc w przytulnej oberży w Amboise, ale uparła się, żeby zabrał ją z powrotem do Paryża.

Tego wieczora nie mogła jeszcze zgodzić się na jego propozycję.

—Heidi, o czym myślisz? Czy ta pieczeń wołowa po burgundzku nie smakuje ci? Jest przecież znakomita!

Z przeproszającym uśmiechem starała się zagłębić widelec w kawałek mięsa.

—Mówiłem, że podobasz mi się, ale o tym już wiesz... — paplał rozbijając.

—Uhm — mruczała z pełnymi ustami.

—W powietrzu wokół ciebie unosi się aura tajemniczości. Weźmy, na przykład, te niezgłębione oczy...

—Jak morze — skomentowała z odrobiną ironii w głosie.

—Dlaczego jak morze? — zdziwił się. — Nie, nie brałem pod uwagę tego porównania.

—To najczęściej spotykane porównanie, którym posługują się mężczyźni...

Nad stołem ujął jej rękę.

—Heidi — błagał, ale władczy błysk w spojrzeniu zaprzeczał błagalnemu tonowi głosu — chciałbym, abyś mnie nie porównywała z innymi mężczyznami.

Odłożyła widelec i posłała mu pocałunek końcami palców. Usatysfakcjonowany, puścił jej rękę.

—O jakim porównaniu myślałeś, Bernardzie? — spytała, ponownie biorąc do ręki widelec.

—Nie jest to, dokładnie mówiąc, porównanie. Raczej wspomnienie... Nie zawsze byłem adwokatem. Na początku mojej kariery byłem oskarżycielem. A jedna z ostatnich spraw, którą się zajmowałem... Byłem urzędnikiem biura prezesa izby adwokackiej... Ona była Węgierką zatrzymaną za szpiegostwo.

Zesztywniała.

—Musiała stanąć przed sądem wojskowym... Młodziutka, nie więcej niż 20 lat... — Wybuchnął pogardliwym śmiechem. — Och, to nie była druga Mata Hari. Zwykła „skrzynka kontaktowa”... „Skrzynka kontaktowa” została wykryta a dziewczyna zatrzymana. Nawet nie pamiętam jej imienia. Eva lub Anna... Za to bardzo pamiętam jej oczy... Niezglębione, jak... Tak samo zielone, powieki lekko skośne.

Skończyła jeść pieczeń wołową po burgundzku. Odłożyła widelec i opróżniła szklanę beaujolais.

—Proszę, poczęstuj mnie papierosem, Bernardzie.

Nadskakiwał jej. Gdy podał jej ogień zaciągnęła się kilka razy, a potem przybierając światowy ton spytała:

—A co zrobiono z tą dziewczyną? Czy ją rozstrzelano?

—Jej przypadek nie był aż tak niebezpieczny. Dzięki mojej mowie obrończej... Muszę powiedzieć, że tego dnia byłem w formie... Została skazana na trzydzieści miesięcy więzienia, a potem wydano ją.

—Nigdy jej potem nie zobaczyłeś?

—Nigdy. Sądzę, że odbyła swą karę w zakładzie dla kobiet w Haqueneau, a po wyjściu z więzienia wyjechała.

—Ale jej oczy wywarły na tobie niezapomniane wrażenie... Czy byłeś choć trochę w niej zakochany, kiedy odwiedziłeś ją w więzieniu?

—Wyznam, że zostałem urzeczony... Ale ona była niezbyt rozmowna.

—Jednakże nie zaczekałeś na jej wyjście z więzienia? — zapytała sarkastycznie.

Zaprotestował:

—Bez docinków, proszę. A poza tym, zapomniałem o niej. Byłem w tym czasie bardzo zajęty.

—Powiedz mi, Bernardzie — nalegała — czy zawsze zakochiwałeś się w swoich klientkach?

Wybuchnął śmiechem.

—Miałem ich wiele, jak wiesz. Kilka dziewcząt, które nielegalnie usunęły ciążę, złodziejki sklepowe lub prostytutki zatrzymane za okradanie klientów. Nie więcej niż dwanaście klientek. Z kolei wśród moich klientów płci męskiej przeważali rabusie banków i włamywacze, oszuści, maniacy seksualni. Było też kilku morderców, którzy zabili w afekcie.

Przyjęła swawolny ton.

—I nie ma wielkiej zbrodniarki, która przyciągnęła tłum na swój proces?

Westchnął.

—Niestety, nie. To było moje marzenie — wielkie nieszablonowe rozprawy. Bez wątpienia nie zboczyłem z drogi, którą wybrałem, ponieważ zostałem w końcu adwokatem sądu przysięgłych.

—A ci mordercy, których broniłeś?

Na jego twarzy malowała się pogarda.

—To drobnica. Zdradzony mąż, który zakatrupił żonę i kochanka, ale zrobił to bez polotu, w banalny sposób. Śmieszne istoty, bohaterowie różnych zdarzeń wyrzuconych z siódmej strony dzienników. Nie było tłumów na ich procesach. Mowa obrończa trwała z godzinę, nie więcej, a po dziesięciu minutach ława przysięgłych miała gotowy werdykt. Wyroki opiewały na dziesięć do dwudziestu lat ciężkiego więzienia.

Zdawało się, że zadrzała.

—To musi być straszne, Bernardzie, spędzić tyle lat w więzieniu...

Wzruszył ramionami z obojętnością.

—Oczywiście. Świat więzienny to piekło. Jednak nie sądzę, żeby trzeba się litować nad wszystkimi przypadkami więźniów. Moim zdaniem, istnieją znacznie bardziej interesujące przypadki społeczne. A propos, czy opowiadałem ci tę anegdotę o jednej z przyjaciółek, która broniła trzeci czy czwarty raz przed sądem? Była wyznaczona z urzędu, aby bronić młodej kobiety, która zabiła kochanka na tle zazdrości. Czuła, że ława przysięgłych była po stronie jej klientki, co dawało jej więcej pewności. Zakończyła swą mowę i efektownym teatralnym gestem podwijając rękawy togi, tak zwróciła się do ławy przysięgłych: — Ona go kochała. Ona go zabiła. Cóż jest bardziej normalnego?

Wanda klasnęła w dłonie.

—Co stało się później?

—Zaczekaj. Oczywiście przysięgli, sąd i prokuratura siedzieli cicho. Nie wiem, czy moja przyjaciółka wcześniej ustaliła ze swoją klientką to, co nastąpiło. W każdym razie oskarżona wybuchnęła nagle szlochom wrywając sobie włosy, tarzając się po ziemi, nękana prawdziwym napadem hysterii. Strażnicy musieli ją wynieść z sali posiedzeń trybunału. Po tym incydencie ława przysięgłych; co było do przewidzenia, wydała wyrok uniewinniający oskarżoną...

—Nigdy mnie nie nudzisz, Bernardzie... — powiedziała, aby sprawić mu przyjemność. — Zawsze opowiadasz zabawne historie.

Potwierdził, bez żadnej skromności:

—Przyznam, że rzeczywiście uważają mnie za miłego, wesołego i pełnego humoru współbiedniaka. Jestem dość mile widziany... Czy przed deserem zamówisz sałatkę z orzechami?

Przystąpiła na to trzepocząc rzęsami. Napełnił kolejny raz jej szklanekę. Czyżby usiłował ją upić? Uśmiechnęła się w duchu.

—Myślę znowu o tej Węgierce — powiedział szorstko, bez widocznego powodu.

—Bernardzie, dosyć tych historii — przerwała oschłym tonem. — Poświęćmy się raczej nam obojgu...

—Masz rację...

Harry Shulz zadzwonił nazajutrz rano, gdy była jeszcze w łazience.

—To stanie się dziś wieczorem, Wando — powiedział lakonicznie.

—Zgoda, Harry.

—Dobra. Może to się zdarzyć obojętnie gdzie, ale nie opuszczaj miejsca przed dziewiątą rano, chyba że byłoby to absolutnie konieczne. W takim wypadku spróbuj do mnie zadzwonić. To bardzo ważne. Nalegam na to.

—Zrozumiałam, Harry.

—Jeszcze jedno — połącz się niezwłocznie z willą, kiedy opuścisz miejsce.

—Dobrze.

—Wszystko idzie dobrze, Wando?

—Bez zarzutu.

—Rybka połknęła haczyk?

—Żyłka jest dobrze naciągnięta. — Chrząknęła porozumiewawczo.

—Życzę udanego połowu.

Odłożyła słuchawkę. Wróciła do łazienki i dokończyła toaletę. Poprzedniego dnia uświadomiła sobie, że to stanie się dzisiaj. Z trudnością uniknęła zgwałcenia. Był zupełnie rozpasany, rozwścieczony jej oporem i przez moment obawiała się, że wszystko nie wypali, że zdecydował się ją rzucić. Wyobrażała sobie, że wziął ją za łatwą dziewczynę, choć z jego deklaracji wynikało co innego. W końcu wytrzyma to. Ale sytuacja stała się napięta. Była zadowolona, że rozwiązanie nastąpi tego wieczoru. Wręczył jej klucz do swego apartamentu. Umówili się u niego o 22—22.30, po kolacji z interesantem, której nie mógł odwołać.

Bernard Loraygon otworzył butelkę Comtes de Champagne Taittinger i napełnił dwa kieliszki.

—To najlepszy szampan — oznajmił. — Chciałbym przeprosić cię za to, że dziś wieczorem zostawiłem cię samą.

Wstała i poszukała w radiu łagodnej muzyki.

—To świetna muzyka — zauważył z odcieniem ironii w głosie.

—Też ją lubię, Bernardzie — odparła mizdrząc się niczym młode, naiwne dziewczątko.

Oboje parsknęli śmiechem.

Usiadła obok niego i nagle wziął ją w ramiona. Pocałował ją żarliwie, a ona również sprawiała wrażenie coraz bardziej podnieconej. Wkrótce zaczął się spieszyć.

Uwolniła się z jego objęć i wstała. Wytłumaczyła się, zmieszana:

—Idę do łazienki na pięć minut.

—Czekam na ciebie w pokoju — szepnął jej do ucha.

Zabrała torebkę i zamknęła się w łazience, przedtem opróżniwszy swój kieliszek.

Dziesięć minut później, kiedy weszła do pokoju, był w łóżku i rozmarzony palił papierosa. Rozebrała się i położyła u jego boku. Zgasił papierosa, wyłączył światło i bez wstępów zaczął ją kochać.

Grała z perfekcją podnieconą, zakochaną dziewczynę. Okazała się uczuciowa, współczująca, przymilna, pieszczotliwa, ale przez cały czas, kiedy czuła go w sobie, nie mogła zapomnieć innej nocy, kilka dni wcześniej, i przez krótką chwilę czuła się straszliwie samotna.

Kiedy poczuła, że zbliża się do ostatecznego spazmu, rozluźniła się, a on, wyczerpany, rzucił się na łóżko. Skorzystała z tego, by zapalić lampkę. W końcu jego oddech wrócił do normy i położył się na plecach. Był bardzo śpiący.

—Brawo — wymamrotał — dzielnie się bronisz...

Egoista po stosunku, jak wszyscy mężczyźni... — pomyślała.

—Wybaczysz mi, ale miłość działa na mnie usypiająco. — Jego głos był nieco bezbarwny.

Wstała z łóżka i owinęła się peniuarem, który znalazła w łazience.

—Odpocznij troszeczkę, kochanie — odpowiedziała z czułością. — Zaraz wrócę... Ach! W rzeczy samej, Bernardzie...

—Tak? — Wydawało się, że mówi z trudnością.

—Nie ma tutaj służących?

—Nie, a dlaczego?

—Nie ma sprzątaczk?

—Jest, ale przyjdzie dopiero jutro rano.

—O której godzinie?

Otworzył oczy. — Dlaczego pytasz?

—Ależ, mój drogi, nie chcę, aby sprzątaczk znalazła mnie w twoim łóżku!

Znowu zamknął oczy, mruczając pod nosem:

—Ona nie przychodzi przed dziesiątą. Będiesz miała dosyć czasu, żeby...

Położyła mu dłoń na czole.

—Spij dobrze, Bernardzie.

—Och! Tylko pięć minut...

Pozostała w łazience dobre pół godziny i wzięła długi prysznic. Kiedy wróciła do pokoju, usiadła na brzegu łóżka i kilka sekund spoglądała na ciało, które spoczywało na zmiętych prześcieradłach. Koniuszkiem palca wskazującego uniosła powiekę i wywarła mocny ucisk na tęczęwkę ostrym paznokciem. Nie było żadnej reakcji. Był już martwy...

—Gdzie jesteś, Bernardzie Loraygon? Twoje kłopoty nie mają już żadnego znaczenia — wyszeptała cynicznie.

Po raz ostatni spojrzała na wąskie nozdrza, na marmurowe ciało, na szarawe wargi, na szerokie fiołkowo-różowe sińce i westchnęła. Natychmiast zajęła się wygładzeniem prześcieradeł, położyła na miejsce poduszki i przykryła ciało kołdrą. Potem zdjęła peniuar i ubrała się. Przed opuszczeniem pokoju rozejrzała się wokół. Wszystko było w porządku. Bernard Loraygon wydawał się spać spokojnym snem. Zgasła lampkę przy łóżku i przeszła do salonu.

Powoli wysączyła dwa dziny z tonikiem i poczuła się lepiej. Była twarda, niemniej jednak po wykonanej robocie nigdy nie było jej przyjemnie. Wypiła jeszcze jedną szklaneczkę i odstawiła ją na barek.

Markiz de Sade — jak nazywała Horvatha — jej genialny odkrywca, działał bezbłędnie. Trzeba było mieć spryt i talent takiego pomyślnca jak Horvath, aby wynaleźć podobne triki. Aparat pochwowy, w rzeczywistości diafragma z kauczuku, której dno było uzbrojone w mikroskopijne punkciki powleczone śmiertelną substancją. W miłosnym uniesieniu mężczyzna nie czuł zadrapań powodowanych przez aparat, a podczas aktu seksualnego trucizna przenikała do krwi i zaczynała natychmiast działać. Po pół godzinie było już po wszystkim.

Ta substancja nie pozostawiała w organizmie żadnego śladu. Piękna robota. Umrzeć kochając się z kobietą. Ilu mężczyzn wybrałoby ten sposób przejścia do życia wiecznego, jeżeli zaoferowano by im taką możliwość? Wielu, bez wątplenia. Oczywiście, z powodu wydłużonego kształtu, który przybierał aparat pochwy, nie był on niebezpieczny dla kobiety.

Niestety, Horvath rozerwał się na strzępy kilka miesięcy wcześniej wypróbując swą kolejną sztuczkę, nie mógł więc jej dalej zaopatrywać w truciznę. Jego magazyn był prawie pusty, zaś ona nie miała żadnego przepisu na sporządzenie trucizny. Przepis był jednym z sekretów Horvatha i zniknął razem z nim.

Ile jeszcze kontraktów mogła wykonać, stosując aparat pochwy? Trzy lub cztery, nie więcej. Potem pozostawał jej powrót do starych metod.

Oczekiwanie było długie. Nie przed godziną dziewiątą — powiedział Harry Shulz. Nie ma się czego obawiać ze strony sprzątaczk, jeśli wierzyć Loraygonowi.

ROZDZIAŁ X

Karta z rysopisem ofiary sporządzona przez Harry'ego Shulza:

De SUSSIEULX Arnaud

Wiek: 47 lat

Zawód: Armator. Pakiety narkotyków były przemycane na statkach jego towarzystwa okrętowego, zawijających do portów całego świata.

Stan cywilny: Żonaty, czworo dzieci.

Rysopis: wzrost około 1,62 m. Szczupły, włosy ciemne, ma wygląd małego mieszcza.

Miejsce zamieszkania: 79, avenue Bugeaud, Paryż 16.

Telefon: 001 99 36

Różne: Znany z drapieżności w interesach. Zajmuje się wszelkimi interesami, które mogą przynieść dużo pieniędzy. Chciwy, skąpy w interesach, groźny i bez skrupułów. Ma dużą fortunę ale prowadzi życie bardziej niż skromne. Regularne nawyki. Nic nie wiadomo o jego wadach. Nie ma kochanki, nie interesuje się hazardem, nie pali, nie pije. Jego żona jest skromna, nie rzuca się w oczy. Ma małe dzieci, które uczą się w szkole religijnej. Czasem wraca późno do domu: zawodowe spotkania. Każdego ranka opuszcza mieszkanie punktualnie o 8.45. Do swego biura przy Avenue de L'Opera jeździ samochodem: nowym peugotem 404. Aby uniknąć kosztów utrzymania garażu, prawdopodobnie, parkuje każdego wieczora samochód na ulicy, w pobliżu domu.

Osobliwość: Poślubił siostrę Andre Massicaud-Vellard'a, który znajduje się na liście („obiekt” numer 6).

Uwaga: Uniknąć za wszelką cenę tego, by egzekucja została wykonana zbyt wcześnie, ponieważ siostra Massicaud-Vellarda mogłaby uprzedzić brata (egzekucja Massicaud-Vellarda przewidziana między 9.00 a 9.30, egzekucja Sussieulx — o 8.45).

Usadowił się niedaleko stołka, na którym stał telefon, i spojrzął na zegarek. 8.30. W Istambule była więc 9.30. Karadiboglu był spóźniony. To prawda, że Turcy nie mieli poczucia czasu. Być może także byli znudzeni? Odkąd Amerykanie, w zamian za znaczną pomoc finansową, wymogli na rządzie tureckim zakaz uprawy opium w Turcji, sprawy nie szły gładko. Na szczęście niektóre odizolowane regiony Anatolii były jeszcze niedostępne dla rządowych kontrolerów. Ale na jak długo? Wkrótce będą musieli znaleźć nowe źródła zaopatrzenia. Być może udzieli pomocy finansowej jednej z nowych niepodległych republik i ulokują tam dyskretnie uprawę maku? Należałoby pomówić o tym z Boghossianem i innymi. Boże, jakież to wczorajsze spotkanie było męczące! Najpierw Bernard Loraygon spóźnił się na kolację u Andre. Później wyrażał się nadmiernie nerwowo, aby w końcu okazać się wysoce nieprzyjemny. Dlatego nie było powodu, by się niepokoić..

Jeszcze poprzedniego ranka dano mu gwarancje bezpieczeństwa. Nie mogli ich zaatakować. Byli zbyt wysoko umiejscowieni na drabinie społecznej. Mieli zbyt wiele politycznych przyjaźni, aby znaleźć się we Fresnes z dnia na dzień. Było to dobre dla płotek, nie dla nich. A kiedy cały ten niepokój minie, nadejdą znowu piękne dni. Teraz chwilowo należało trzymać się na odludziu. I ten Karadiboglu, który nie dzwonił...

Znowu spojrzął na zegarek 8.35. Nie chciał zmieniać swoich przyzwyczajzeń. Zawsze opuszczał swój apartament punktualnie o 8.45. Na szczęście Małgorzata nie przyszła zanudzać go domowymi problemami lub mówić o tych czterech kretykach, których wspólnie z nią wydał na świat. Telefon wreszcie zadzwonił. Podniósł słuchawkę i poprzez rozgardiasz międzynarodowych połączeń rozpoznał głos Karadiboglu, który wydawał się dyskutować zawzięcie z turecką telefonistką. W końcu usłyszał wyraźnie jego głos: — Hallo! Pan de Sussieulx?

— Tak, to ja — zniecierpliwził się armator. — Co nowego?

— Tak jak uzgodniliśmy, będę w Paryżu dwudziestego następnego miesiąca.

Było to zdanie — kod. 200 kilogramów narkotyków było już na pokładzie. Karadiboglu zaśmiał się w słuchawce.

— Zna pan moją obsesję na punkcie podróżowania samolotem. Pożyczyłem więc statek Oguzkan, który wpłynie do Marsylii dwudziestego tego miesiąca.

Powiedział wystarczająco dużo. De Sussieulx odwiesił słuchawkę. Nie było potrzeby przedłużania tej rozmowy. Mogłoby to być niebezpieczne. Jego zegarek wskazywał 8.45. A więc zdążył na czas. Gdy przyjdzie do swego biura, poleci Zuecarelliemu, by niezwłocznie potwierdził dostawę towarów drogą morską.

Przez uchylone drzwi ukazało się duże pudło i czyjeś nogi. Zdziwiona dozorczyńni wysunęła się naprzód, aby lepiej widzieć.

— Co to takiego? Podarunek, mówi pan?

— Otóż to, pani dozorczyńni, niechże pani wytłumaczę. Kawiarnie Beuval prowadzą szeroką kampanię, adresowaną do paryskich konsjerżek, pod hasłem: Uśmiech dla konsjerżek. Na początek ofiaruje się im prezent. A wie pani, co to za prezent?

— Kawa — odparła ostrożnie.

—Dokładnie tak — oznajmił triumfalnym tonem. — Wygrała pani dwa kilogramy kawy Beuval.

—Dwa kilogramy! — wykrzyknęła. Potem dodała podejrzliwie: — Czy jest pan pewien, że nie każą mi później za to płacić i przyślą mi rachunek?

Zaprotestował:

—Ależ skąd! Niech się pani przesunie, to wstawię pudło do środka.

Przystała na to i otworzyła na oścież drzwi stróżówki.

—Mimo wszystko nie mogę w to uwierzyć. Dwa kilogramy kawy! Musi się za tym kryć jakaś diabelska sztuczka.

Nagle przystanął.

—Nie chce pani? Dobrze, zabieram je.

—Tego nie powiedziałam. No, niechże się pan nie gniewa.

Już był wewnątrz stróżówki i postawił karton na okrągłym stole, który zajmował prawie całą powierzchnię izby.

—Nie chcę pani zepsuć przyjemności. Pozostawiam pani przyjemność otwarcia paczki.

Konsjerzka wyjęła nożyczki i przecięła gruby szpagat, którym obwiązany był karton. Drzwi pozostały otwarte. Dyskretnie poszedł je zamknąć i wśliznął się za plecy starszej kobiety. Właśnie rozwijała opakowanie z papieru pakowego, mamrocząc coś do siebie.

—Dobrze, więc to... — usłyszał.

Krawędzią dłoni wymierzył jej silny cios w kark. Upadła głową do przodu na torebki kawy. Powstrzymał ją na czas, zanim nie osunęła się na podłogę, i delikatnie ułożył ciało na linoleum. Wrócił do drzwi i uchylił je. Hall budynku był pusty. Spojrzał na zegarek. 8.47. Czy on sobie kpił, dobry Boże! Stał nieruchomo z okiem przyklejonym do szyby w drzwiach. Za sobą usłyszał słaby jęk, ale nawet się nie odwrócił. Uważał, że dostała za swoje na dłuższy czas. W strasznym zgiełku kabina windy została puszczone nagle w ruch i zaczęła wspinać się w górę. Winda była zniszczona i pochodziła pewnie z początku stulecia. Miała napęd hydrauliczny i groziła rozpadnięciem się na części przy każdym wstrząsie.

Zgiełek ustał. Usłyszał brzęk metalu na górze. Drzwi, które szczęknęły. Miał wrażenie, że dźwięk pochodził z trzeciego piętra. Potem usłyszał hałas ruszającej w dół windy.

Przez szparę w drzwiach dostrzegł, że kabina windy sunie powoli w dół i zatrzymuje się z rozdzierającym zgrzytem metalu.

Jakiś mężczyzna z trudnością wydostał się z kabiny i pewnym krokiem wkroczył do hallu, drętwy niczym kołek. Wskoczył więc zza stróżówki i pospieszył na jego spotkanie, ze skonsternowanym wyrazem twarzy.

—Proszę pana! — krzyknął. — Szybko, konsjerzka...

Arnaud de Sussieulx stanął jak wryty i rzucił człowiekowi, który zastąpił mu drogę, potępiające spojrzenie:

—Co się dzieje z konsjerzką? — spytał oschle.

—Wręczyłem jej kawę i nagle, hop! zemdląca. Próbowałem ją reanimować, ale to nic nie dało. Nie wiem już, co robić... Gdyby pan zechciał zobaczyć...

De Sussieulx głęboko znudzony, usiłował się wykręcić.

—Nie wiem, do czego mógłbym się przydać. Proszę iść na pierwsze piętro. Sądzę, że tam jest lekarz...

—Dobrze, pójdę tam — powiedział mężczyzna. — Ale proszę na dwie minuty wejść do stróżówki. Nie można zostawić jej samej.

Coraz bardziej znudzony, De Sussieulx szukał wykrętu, ale go nie znalazł.

Mężczyzna natychmiast wykonał półobrót i w pośpiechu skierował się ku stróżówce.

Szedł za nim krok w krok. Zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami i spojrzał do środka. Konsjerżka leżała nieruchomo na linoleum.

—Jeśli poda mi pan rękę, można będzie ją położyć przynajmniej na łóżku — nalegał mężczyzna. — Niedobrze dla niej, jeśli pozostawimy ją na podłodze.

De Sussieulx przejawiał chęć uwolnienia się od tego kłopotu. Potrząsnął głową.

—Zrobiłby pan lepiej zostawiając ją tam gdzie jest. Nie obchodzi mnie, co jej dolega. Dobra, proszę się pośpieszyć i poszukać lekarza. Zaczekam tutaj na pana. Niech pan działa szybko; bardzo mi się spieszy. — Jego głos brzmiał stanowczo.

Mężczyzna mruknął coś, czego nie zrozumiał. Arnaud de Sussieulx wzruszył obojętnie ramionami i zrobił kilka kroków ku drzwiom prowadzącym na ulicę. Nie zaszedł jednak zbyt daleko. Budynek nieoczekiwanie stoczył się mu na głowę i pograżył się w otchłań całą w technikolorze, w której dziesiątki tysięcy gwiazd tańczyły piekielną sarabandę. Został powstrzymany przy upadku, jakby dzięki automatycznemu spadochronowi i dwa stalowe kły pociągnęły go daleko, bardzo daleko.

Louis Suttot wciągnął bezwładne, martwe ciało do wnętrza stróżówki, zamknął drzwi czubkiem stopy i zawłókł trupa aż do małej kuchenki przylegającej do głównej izby. Tutaj umieścił gardło de Sussieulxa na krawędzi zlewozmywaka i oparł się o nie ze wszystkich sił. Kręgi „puściły” w suchym trzasku, jakby z dętki uszło powietrze.

Odepchnął ciało, które potoczyło się na ziemię, i poszedł odszukać konsjerżkę, którą poddał tej samej torturze. Działać bez świadków — to była jego podstawowa zasada. Być może, konsjerżka była osobą mającą pamięć do ludzkich twarzy. A poza tym, czyż Shulz nie rozkazał opóźnić tak długo jak to tylko możliwe, odkrycia ciała? Tuż obok odbiornika telewizyjnego znalazł klasyczne wywieszki: Konsjerżka jest na schodach, Konsjerżka jest nieobecna z powodu choroby, Konsjerżka wróci za godziną itp. Wybrał z nich jedną: Konsjerżka będzie nieobecna cały dzień i zawiesił na drzwiach w widocznym miejscu. Wziął klucz, zapakował karton, który zawierał paczki kawy (im mniej zostawia się śladów, tym lepiej), wsunął go pod ramię i opuścił stróżówkę.

Zamknął drzwi na podwójny zamek, wyszedł na ulicę i dotarł piechotą do Avenue Victor Hugo, gdzie zaparkował samochód. Nie przejmował się deszczem, który padał w Paryżu.

Skorzystał z czerwonego światła, by stojąc wyrzucić jednym kopnięciem klucz do studzienki ściekowej.

ROZDZIAŁ XI

Karta z rysopisem ofiary sporządzoną przez Harry'ego Shulza:

ZUCCARELLI Pascal

Wiek: 54 lata

Zawód deklarowany: Administrator dóbr

Stan cywilny: Żonaty, troje dzieci

Rysopis: wzrost 1,67 m. Otyły. Włosy siwe, rzadkie. Oczy czarne. Cera smagła.

Miejsce zamieszkania: 101, Boulevard Richard-Wallace, Neuilly-sur- Seine

Telefon: 999 89 10

Różne: Wielki boss francuskiego półświatka. Marsylczyk z pochodzenia. Właściciel kasyna gry w Paryżu, wielu hoteli w Bejrucie, dwudziestu domów publicznych w Ameryce Południowej, dziesiątków takich domów w Afryce Północnej, pół tuzina w Abidżanie, tyłuż w Bejrucie i Stambule. Posiada także domy czynszowe w całej Francji. Akcjonariusz dwóch kasyn w Las Vegas. Dawny radca municypalny Marsylii.

Liczne stosunki w środowiskach politycznych. Prowadzi dość regularne życie. W dni powszednie wychodzi około 9.00. z prywatnej rezydencji, którą posiada w Neuilly, aby udać się do swego biura mieszczącego się na Avenue de Neuilly w siedzibie stowarzyszenia France Immob-Union.

Ma mercedesa, z pewnością opancerzonego. Dwóch członków obstawy — szofer na przednim siedzeniu. Zuccarelli na tylnym.

Dwóch pozostałych strażników czuwa przy drzwiach wejściowych prywatnej rezydencji.

Jego dzieci: dwóch chłopców, dziewczyna (około 22, 20 i 18 lat) opuszczają rezydencję około 8.00. aby udać się ich własnym samochodem bądź do college'u, bądź na uniwersytet. Jego żona wychodzi rzadko. Kiedy ona dociera do nieruchomości, która osłania biuro Zuccarelliego, mercedes wjeżdża do garażu w podziemiu. Zuccarelli używa windy, zupełnie prywatnej, aby dotrzeć do swego biura. W południe je obiad u siebie (ten sam proces).

Wraca około 19.00. Wieczorem jada kolacje w rodzinnym gronie. Częste wyjazdy na prowincję i za granicę, w dość nieregularnych odstępach czasu.

Poprzez liście drzew prześwitywały kawałki szarego nieba. Jakikolwiek deszcz, jeśli spadłby, nie wzbudziłby zdziwienia, po tych wszystkich pogodnych dniach, niezwykłych w Paryżu. Zgniły klimat stolicy. Dlaczego nie wybrano jako stolicy Marsylii? Ach! Jakże doskonale Francja mogłaby być kierowana z Marsylii! Wszystko ułożyłoby się jak najlepiej z Korsykanami i Marsylczykami u władzy!

Przez szybę sprawdził, czy mercedes był dobrze wypucowany, ale w głębi duszy ten szczegół nie miał żadnego istotnego znaczenia wobec sytuacji, która się wytworzyła. Co za pech!

Za sobą usłyszał Concepcion, która zaczęła wciągać odkurzacz do jadalni. Zdecydował, że nadszedł czas, by wyjść i oddalił się. Przechodząc tuż obok służącej skusił się, aby popieścić jej szczelnie zasłonięte pośladki ukształtowane przez obcisłą spódnicę i jemu się ofiarujące. Ta dziwka musiała to robić bardzo szybko. Za każdym razem, kiedy czuła go za plecami, zatrzymywała maszynę i zginała się, by podnieść pokrywkę i opróżnić papierowy worek zaledwie napełniony kurzem. Niestety. Paola odkryła tę sztuczkę i kręciła się bez przerwy w pobliżu. Dlatego był zmuszony zająć się wiele bardziej poważnymi sprawami. Włożył garnitur i nieprzemakalny lekki płaszcz. Chwilę zastanawiał się i wyciągnął z jednej z szuflad rewolwer i wsunął go za pasek. Lepiej być ostrożnym — powiedział sobie — nigdy nic nie

wiadomo. Iluż mężczyzn gnęło na cmentarzu po zlekceważeniu elementarnych zasad bezpieczeństwa.

Kiedy ukazał się na kamiennych schodach, podbiegł Antoine i otworzył mu tylne drzwiczki samochodu. Pascal Zuccarelli pomimo swej otyłości, zręcznie wśliznął się na poduszki siedzenia. W tej samej chwili Felix usadowił się na przednim siedzeniu i zablokował swoje drzwi.

Antoine okrążył samochód i usiadł za kierownicą. Pascal Zuccarelli pochylił się najpierw na prawo, później na lewo i zablokował tylne drzwi. Inni sypiają w poczuciu pozornego bezpieczeństwa — pomyślał. Zbyt optymiści, jak na swój gust. Długa kariera sutenera nauczyła go, że ciężkie ciosy przychodzą szybciej niż dobre wiadomości. Tak to jest w życiu. Częściej bywał rozdrażniony, niż szczęśliwy. Ale miał przecież mnóstwo wspaniałych wspomnień... Było to możliwe głównie dlatego, że zawsze był bardziej nieufny i sprytny niż inni.

Mercedes toczył się łagodnie po żwirze. Niczym w dobrze reżyserowanym balecie wycieraczki przesuwają się po szybie w prawo i w lewo.

Przez przednią szybę spostrzegł bramę i dwie ciemne sylwetki. Julien i Mathieu. Dwóch druhów. Dwóch nestorów wielkiej marsylskiej przygody. Zupełnie jak Antoine i Felix. Dzielni malcy, na których można było liczyć. Umieli szybko pociągać za spust.

Opony zgrzytnęły na żwirze i samochód zatrzymał się naprzeciwko pawilonu, gdzie mieszkali obaj goryle.

Dziwne, że Nowy Jork nie przekazał wiadomości — zaniepokoił się. I spokój już nie wrócił. Jankesi byli realistami. Co oni widzą w cygarach? Największy kłopot miał z 200 kilogramami kokainy, które miał wysłać do USA. Skurwiele Jankesi, cóż oni sobie wyobrażali, dobry Boże? Musieli być z nimi na zero, słowo honoru! Otwarto ciężkie skrzydła bramy i Matthieu pojawił się na ulicy. Jego sokole oko omiotło bulwar. Kilka samochodów przemknęło po wilgotnym asfalcie. Na sąsiednim chodniku, kanalarz w nieprzemakalnym ubraniu koloru pomarańczowego, wielkich butach gumowych i z kapturem przeciwdeszczowym na głowie zdjął ciężką pokrywę studzienki ściekowej i ustawił metalową barierkę ochronną wokół otworu. Schylony dyskutował z kumplem, żeby się zbyt długo nie zasiedział na dole z powodu padającego deszczu. Jedyne przechodnie były hiszpańskie służące, które szły zrobić zakupy. Na parkingu nie było ani jednego podejrzanego pojazdu, być może z wyjątkiem samochodu dostawczego, stojącego na ulicy w odległości dwudziestu metrów od niego. Na boku furgonetki odczytał napis na niebieskim tle: Artykuły metalowe — hurt. Maison Peyret. Aubervilliers.

Co facet z Aubervilliers mógł szukać w Neuilly? To dziwne...

Matthieu zdecydował się podejść i obejrzeć pojazd. Odwrócił się i przekazał Julienowi znak porozumiewawczy. Zuccarelli w mercedesie niecierpliwił się. Widział, jak Matthieu znika w strugach deszczu. Czego on szuka? Uspokoił się, bo przecież sam wymagał tych środków ostrożności. Na wszelki wypadek wyciągnął zza pasa rewolwer i położył obok na poduszce. Straszna była niemożność przewidzenia, z jakiego kierunku nadejdzie niebezpieczeństwo, jeśliby nadeszło.

Pomimo deszczu Matthieu zbliżył się do podejrzanego pojazdu z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach płaszcza, z wyrazem obojętności na twarzy. Podszedł do kabiny kierowcy i rzucił okiem do jej wnętrza. Siedzenie było puste. Kolejno usiłował otworzyć

prawe drzwi, potem lewe, ale były zamknięte. Wspiął się na stopień i bez powodzenia usiłował zobaczyć coś przez parę, która osiadła na szybach. Jediną rzeczą, której był pewien, było to, że przednie siedzenie było puste. Powrócił do tylnej części pojazdu i szarpnął uchwyt drzwi ale były one zablokowane od środka.

Odwracając się ku bramie, dostrzegł białego peugeota 404 zaparkowanego między drzewami na trawniku przy przeciwnym chodniku. Przeszedł przez ulicę i sprawdził jego wnętrze. Także było puste. Zamyślony przyjrzał się jeszcze raz furgonetce. Wydawała mu się mocno podejrzana. Zabójcy mogli czatować z tyłu. Kto to mógł wiedzieć? Odwrócił się i przyspieszył kroku.

Julien czekał na niego przy bramie.

—Co się dzieje? — szepnął.

—Furgonetka, tam, z tyłu. Niepokoi mnie.

Julien pochylił się do przodu i obserwował pojazd. Matthieu zbliżył się do mercedesa. Antoine opuścił szybę.

—Coś nie tak, Matthieu? — spytał.

—Jest tutaj furgonetka, która nie wygląda na czystą.

—Gdzie ona jest? Po prawej czy po lewej stronie?

—Po prawej.

—Dobra, pojedziemy lewą stroną ulicy. Rozglądaj się uważnie.

Julien stanął na chodniku, wpatrując się w tył furgonetki. Ręce włożył do kieszeni i chwycił dwa colty 0.45.

W mercedesie Felix wyciągnął pistolet maszynowy, włożył magazynek i odbezpieczył.

—Niech się pan nie przejmuj, panie Pascal. Wykonamy spektakl w stylu „światło i dźwięk”, jeśli ktoś nas zaczepi — zażartował odwracając się na stronę.

Zuccarelli nie odpowiedział. Jego ręka powoli zacisnęła się na kolbie rewolweru. Był lekko pochylony do przodu i zaczynał odczuwać ból w lewym ramieniu.

Ogarnęła go dziwna radość. Było to podniecające, wracały uczucia tak dawno zapomniane. Czuł się zasklepiony przez te wszystkie lata. Działanie — nie ma nic bardziej prawdziwego ponad to — powiedział do siebie. Mercedes ruszył naprzód.

Zaledwie samochód minął bramę, wszyscy trzej spojrzeli w prawo.

Matthieu zbliżył się do chodnika. Kątem oka, dostrzegł poruszenie po drugiej stronie ulicy. Gruby ciemny pakunek leciał w powietrzu i lądował dokładnie przed maską mercedesa.

—Dobry Boże! — wrzasnął — Antoine, uważaj!

Kanalarz z naprzeciwka schował się za barierkę. Mercedes ruszył naprzód, najechał na paczkę i nagle powietrze rozdarła głośna eksplozja. Mając nogi wyrwane z tułowia Matthieu zwałił się na wilgotny beton.

Harry Shulz otworzył ogień z karabinu maszynowego na dwójno. Strzelał jak na ćwiczeniach. Stał w studziencie kanalizacyjnej, jego stopy opierały się na stopniu metalowej drabiny, która wiodła na dół.

Uniesiony eksplozją koktajlu Katanga1 mercedes osiadł na kilka sekund na tylnych kołach, niczym gigantyczny chrabąszcz o zachwianej równowadze, odsłaniając swój nagi brzuch. Jeśli samochód był opancerzony, była to jedyna nie osłonięta powierzchnia — stwierdził Shulz. Po chwili z wielkim rozdzierającym zgrzytem żelastwa mercedes opadł ponownie na

przednie koła, ale Harry miał czas by opróżnić cały magazynek... Pocisk przeciwpancerny, pocisk zapalający, pocisk przeciwpancerny, pocisk zapalający, i tak bez końca...

Pasażerowie samochodu byli zapewne przeszyci seriami pocisków od stóp do głów, a jeśli nawet jeszcze żyli, to nie czekali długo na dalszy ciąg wydarzeń. Harry usłyszał pistolet maszynowy Dana O'Malley'a, który puścił serię do faceta na chodniku. Tamten śmiało rzucił się na ulicę strzelając w jego kierunku z dwóch rewolwerów. Na nieszczęście dla niego, jeśli nawet podłoga mercedesa nie była opancerzona, to płytki ochronnej balustrady wokół studzienki kanalizacyjnej — były. Po rzuceniu koktajlu Katanga Dan O'Malley potoczył się na ziemię, wyciągnął MAT-a 49 z kabury i położył faceta trupem na środku ulicy.

I nagle eksplodował zbiornik paliwa.

Był to efekt działania pocisków zapalających. Harry poczuł podmuch i ciepło eksplozji na twarzy. Niczym monstrualne węże, płomienie owiły się wokół szkieletu mercedesa. Kłęby czarnego dymu wyginały się w powietrzu.

A więc, to był koniec... Harry wydostał się z kryjówki, upuściwszy uprzednio karabin maszynowy w głąb studzienki. W pewnej odległości zaczęły zatrzymywać się samochody. Niektórzy kierowcy manewrowali, aby objechać niebezpieczne miejsce. Na bulwarze nie było przechodniów. Nagle Harry znieruchomiał.

Z mercedesa wydostał się człowiek, którego ubranie płonęło. Harry natychmiast rozpoznał Pascala Zuccarelliego, choć krew zalewała mu czoło i płomienie lizały jego twarz. Niezdarnie próbował wydostać się na deszcz. Zataczał się, potykał, o mało nie upadł... Jego włosy zajęły się płomieniami... Harry usłyszał O'Malley'a, który znalazł się tuż przy nim. Rozległa się seria strzałów. Wydawało się, że głowa Pascala Zuccarelliego odrywa się od ciała, a na jego szyi rozbłysła czerwona mgła, kiedy zwałił się do rynsztoka. Shulz i O'Malley natychmiast pobiegli do peugeot 404 i wskoczyli do środka. Shulz przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik zamruczał i zgasł. Z tyłu usłyszeli koncert klaksonów. Shulz odczekał chwilę i zapalił jeszcze raz. Peugeot wpadł na trawnik z wyjącem silnikiem, wrywając płyty zieleni, ślizgając się chwilami na błotnistych powierzchniach. Dan O'Malley bez przerwy oglądał się do tyłu, ale żaden samochód nie przejawiał chęci, by ich ścigać.

Trawnik miał dobre osiemset metrów długości. Harry wcisnął gaz do dechy, silnik zawył i peugeot pokonał w mgnieniu oka kilka metrów, które dzieliły go jeszcze od asfaltowej przecznicy. W polu widzenia nie było ani jednego samochodu.

Samochodem gwałtownie wstrząsnęło, kiedy z trawnika wypadli wreszcie na ulicę. Harry znowu dodał gazu. Spoglądał ostatni raz przez tylną szybę, Dan O'Malley wyjął ze schowka duże nożyce krawieckie. Obaj mieli pod roboczymi ubraniami nieprzemakalne marynarki i spodnie khaki. Szybkimi i precyzyjnymi cięciami nożyc Dan O'Malley, pochylając się nad nim, odciął rękawy drelichowej bluzy Shulza na całej długości, potem plecy bluzy na całej ich szerokości. Następnie obiema rękami zdjął bluzę roboczą tak, że Shulz nie musiał puszczać kierownicy. Podobnie uwolnił Harry'ego z drelichowych spodni.

Po chwili dojechali do alei spacerowej. Wjazd na nią uniemożliwiała samochodom drewniana bariera. Shulz rozejrzał się chwilę, wykręcił kierownicę i dodał gazu. Samochód skoczył, podskakując przejechał po poboczu drogi, która ciągnęła się wzdłuż alei, i jęcząc opadł po drugiej stronie bariery.

Deszcz wymiółł przechodniów, z wyjątkiem dwóch zawziętych amatorów jazdy konnej, których Shulz o mały włos nie potracił, kiedy znaleźli się na alejce jeździeckiej. Peugeot

przejechał tuż obok nozdrzy koni, rozpętując koncert straszliwych, przeraźliwych rzeń. Sto metrów dalej aleja kończyła się, ogrodzona kolejną drewnianą barierą. Shulz zatrzymał samochód. Rozejrzawszy się wokół, wysiedli i rzucili się do citroena i renaulta, które zaparkowali po drugiej stronie poprzedniej nocy.

W peugeotcie zostawili resztki ubrań roboczych, kapelusze, rękawice i pistolet maszynowy, którym posłużył się O'Malley. Ten ostatni w pośpiechu włożył normalne buty, zdjawszy kalosze kanalarza.

Citroena i renaulta zaparkowali przy chodniku. Szybko wsiedli do samochodów i różnymi trasami ruszyli przez miasto.

Shulz spojrział na zegarek, przez moment prowadząc samochód jedną ręką. Upłynęło zaledwie sześć minut, odkąd opuścili bulwar Richard- Wallace.

Louis Suttot wykonał dobrą robotę, pomyślał Shulz. Dodatkowy tysiąc dolarów premii, które mu przyrzekł, był w pełni zasłużony. Ubrania kanalarzy, barierka osłonięta blachą pancerną, granaty do wykonania koktajlu Katanga — wszystko on dostarczył. Doprawdy piękna robota. W końcu miał rację angażując jednego z Kots, pogratulował sobie Shulz. Pojazdy na ulicach jechały wolno z powodu deszczu i potrzebował więcej czasu, niż to przewidział, by dotrzeć do willi. Dan O'Malley już tam był. Umyślnie Shulz pozostawił mu do wyboru najkrótszą drogę powrotną. Kiedy wszedł do salonu, szklanka burbona, którą przygotował mu O'Malley, czekała na barku. Wychylił połowę jej zawartości jednym haustem, potem odstawiając szklankę mrugnął do O'Malleya, wyciągniętego w fotelu ze szklanką wypełnioną po brzegi w whisky. Napoczęta butelka stała przed nim na stole, na wyciągnięcie ręki.

— Jednego załatwiliśmy — stwierdził z zadowoleniem.

O'Malley potwierdził ruchem głowy.

— Sądziłem, że będę nieco otepiały, ale nie, to było doskonale — odparł radośnie.

— Nie jesteś „zardzewiały”, Dan — skomplementował go Shulz. — Gratuluję precyzyjnego, co do milimetra, rzutu koktajlem.

Przerwał im dzwonek telefonu. Shulz podniósł słuchawkę. To była Wanda. Anonsowała swoje przybycie tak, jak było umówione. To oznaczało sukces. Odłożył słuchawkę.

— Mamy dwóch — oznajmił.

— Kto to był? — spytał O'Malley.

— Wanda.

— Nie pozostaje nam nic innego tylko wygodnie czekać, aż zadzwonią pozostali — stwierdził Kanadyjczyk z satysfakcją.

— Przygotowałeś swoje bagaże, Dan? — zapytał Shulz.

— Dlaczego?

— Jeżeli wszystko gra, rozjeżdżamy się nie czekając na nic.

— Ty wracasz do Stanów?

— Myślę, że tak.

Wzmianka o powrocie do USA przypomniła mu o jego spotkaniu z Syndykatem. Kto mógł zagwarantować, że Johnny Settmano i Stan Kovacs nie chcieli poszukać go i wyeliminować? Ale uspokoił się, przypominając sobie środki ostrożności powzięte przed wyjazdem z Nowego Jorku. Dyskretnie zlikwidował apartament, zerwał stare kontakty, nawiązał nowe. Te dziesięć tysięcy dolarów miał już w kieszeni. To „Frenchie” Terret mu je

przesłał. Chłopcy z Syndykatu byli starymi draniami, ale zdolni byli do wszystkiego, by odnaleźć jego ślad, gdyby tylko postawił nogę na terytorium USA, nawet jeśli chcieli darować mu winę. Należało przyznać, że byli uczeni, kiedy on, Harry Shulz, był z nimi. Jeśli kontrakt zostałby dokładnie wykonany, nie było żadnego powodu, dla którego Vince la Marca pozwoliłby Johnny'emu Settimano i Stanowi Kovacsowi wziąć rewanz na nim.

Telefon zadzwonił po raz drugi. Kiedy Shulz podniósł słuchawkę, usłyszał głos Louisa Suttota z naleciałościami z przedmieścia. Krótco oznajmił, że wkrótce przyjedzie.

—Mamy już trzech — skomentował Shulz odkładając słuchawkę.

—Stawiam pięć dolarów, że był to Helmut — powiedział O'Malley.

Shulz uniósł rękę.

—Pudło. To był Louis.

—Nabierasz mnie, Harry — jęknął O'Malley. — Nie wymieniasz żadnego nazwiska przez telefon i dlatego możesz mi opowiadać to, co ci się podoba.

—A jeśli Helmut chybi celu? — odparował Shulz.

Zaledwie wypowiedział te słowa, musiał szybko odpukać o blat barku.

ROZDZIAŁ XII

Karta z rysopisem ofiary sporządzoną przez Harry'ego Shulza:

VALLAIN, Monique.

Wiek: 36 lat.

Zawód: bez zawodu.

Stan cywilny: Dwukrotnie rozwiedziona. Od dwóch lat utrzymuje związek z Olivierem Bouchetem, wielkim przemysłowcem tekstylnym. Dziecko z pierwszego małżeństwa (chłopiec, 14 lat).

Rysopis: wzrost około 1,68 m. Szczupła. Blondynka (w rzeczywistości nosi peruki w różnych odcieniach). Oczy niebieskie.

Miejsce zamieszkania: 8, Chemin de la Reine. — Antoinette w Louveciennes.

Telefon: 111 23 77 i 111 23 78.

Uwagi: Wielka fortuna (lyoński fabrykant jedwabiu). Posiada wiele posiadłości w regionie Marsylii. Odwiedza swego kochanka (który jest żonaty) trzy razy w tygodniu: poniedziałek-środa-piątek. Żadnego regularnego przyzwyczajenia, z wyjątkiem dni, gdy musi spotykać Boucheta. W tych dniach opuszcza mieszkanie o 9.30., aby udać się do salonu fryzjerskiego siostr Azella. Ma umówione wizyty w salonie w te trzy dni o jedenastej przed południem. Prowadzi kabriolet ford mustang 1972, ale nigdy nie przekracza 100 kilometrów na godzinę. Nocuje w swej posiadłości w Louveciennes, u starej kuzynki, która zarządza domem i czuwa nad domownikami.

Charakter snobistyczny. Trudny sposób bycia. Nieprzystępna. Rodzaj kobiety pretensjonalnej.

Niewiele brakowało, aby poślizgnęła się na wilgotnych stopniach. Przyłgnęła do klamki drzwi i rzuciła się do wnętrza samochodu. Vincent zadbał, by włączyć silnik. Skrzynia biegów była automatyczna. Zwolniła ręczny hamulec, nacisnęła delikatnie pedał gazu i kabriolet zaczął powoli zjeżdżać aleją wysadzaną z obu stron drzewami, która prowadziła do bramy otwieranej przez Vincenta. Minęła go i omal nie wjechała na czerwonego jaguara z podniesioną maską.

Nacisnęła z wściekłością klakson. Między wycieraczkami pojawiła się sylwetka mężczyzny, który podszedł do niej. Monique Vallain opuściła powoli szybę i natychmiast na jej czoło spadło kilka kropel deszczu. Cofnęła się gwałtownie do środka, lecz po chwili ujrzała twarz przylepioną do szyby.

—Przepraszam, madame — wybełkotał zmieszany głos. — Złapałem gumę prosto przed pani drzwiami...

—No cóż! Proszę przestawić pański samochód! — uniosła się gniewem.

—Nie mogę — wyznał jej żałośnie. — Samochód jest ciężki, a ja jestem sam.

—Poradzi pan sobie — obwieściła sucho. — Spieszę się i nie mogę tracić czasu czekając, aż pan naprawi wóz.

—Jestem zrozpaczony, madame, ale to niemożliwe.

Oczy, które na nią spoglądały, wydawały się być zagubione. Opuściła szybę nieco bardziej i zobaczyła całą twarz nieznanego. Pomimo gniewu, poczuła się zafascynowana tą twarzą. Był idealnie piękny. Taki młody... I te niezmierzone niebieskie oczy, prawie fiołkowe, które wydawały się błagać o pomoc. Deszcz przykleił brunatne kosmyki włosów do czoła i brwi, a kropelki drżały na jego policzkach. Jej gniew jakby zniknął. W głębi duszy poczuła się dziwnie wzruszona.

—Czy w pobliżu jest jakiś warsztat samochodowy? — spytał chłopak.

—Tak, kilka kilometrów stąd, jeżeli ma pan ochotę iść pieszo w deszczu, ale ja nie mam ochoty czekać — odparła ironicznie.

Zastanowiła się krótką chwilę.

—Proszę poprosić o pomoc mojego ogrodnika, Vincenta. Jest przy bramie.

Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało. — Dziękuję, madame.

Twarz zza szyby zniknęła. Odetchnęła. Jakież nieszczęśliwy traf. Z niecierpliwością zabębniła palcami w kierownicę. Wreszcie ujrzała, że Vincent i nieznanomy podnieśli się spod sam chodu. Droga była wolna. Młody człowiek opuścił maskę jaguara. W tym deszczu nie było sensu naprawiać wozu na miejscu. Powoli wcisnęła pedał gazu. Mustang potoczył się naprzód. Jaguar zasłaniał jej widoczność po prawej stronie. Powoli nacisnęła hamulec. W deszczu nie było nic widać. Drzwi z prawej strony otworzyły się gwałtownie i ujrzała twarz mężczyzny, po której spływały krople deszczu.

—Nie jedzie pani do Paryża, madame?

—Cóż znowu? — odpowiedziała zdenerwowana. — Niech pan zamknie drzwi, psiakrew! Będę przemoczona!

Bez pytania usadowił się już obok niej, otrząsając się z wody niczym młody psiak.

—Widzę, że ma pan tupet!

Spojrzał na nią zdziwiony.

—Ależ powiedziała pani, żebym zamknął drzwi...

Zaniemówiła.

—Zrozumiałem, że zgodziła się pani, abym wsiadł.

Tak wiele naiwnej szczerości, fałszywej czy prawdziwej? — spytała siebie samą, nie mając ochoty odpowiadać. Poza tym — ten chłopak dotrzymywał jej towarzystwa.

Wzruszyła ramionami i ostrożnie wyjechała na ulicę.

—Jedzie pan szukać właściciela stacji obsługi w Paryżu? — zapytała sarkastycznie.

—Samochód może poczekać. Ale nie moje rendez-vous.

—Z piękną dziewczyną, jak się domyślam?

Skąd to małe klucze w sercu, które dobrze znała.

—Jest dziesiąta rano. To trochę za wcześnie na dziewczyny, nie sądzi pani?

—A więc, interesy?

—Otóż to.

—Czyż nie jest pan za młody do prowadzenia interesów?

—To mój ojciec je prowadzi. Biorę udział w zebraniach, aby nabierać doświadczenia, jak ojciec mawia.

—Czym zajmuje się pana ojciec?

—Import— eksport.

—To doskonałe zajęcie. Przynosi wielkie dochody. i daje wiele możliwości tajenia dochodów przed urzędem podatkowym.

Gdy podjęli temat pieniędzy, była bardziej zainteresowana rozmową.

—To prawda, to się nieźle opłaca.

Celowo używał ogólników.

—Pan będzie spadkobiercą swego ojca?

—Mówi się o tym.

—Nie podoba się to panu? Nie wygląda pan na zachwyconego.

—No cóż...

Pozornie niegroźne, delikatne rozmarzenie ogarnęło Monique. To śmieszne — powiedziała do siebie. Prowadzisz go niczym suka w okresie. Cóż, pojawił się piękny chłopiec, a ty już jesteś wesolutka niczym ostatnia z młodych pokojówek? Zgoda, jest piękny, podniecający i tak dalej, ale w końcu nie jest jedyny. Podobnych do niego chłopców znajdziesz pełno na Polach Elizejskich.

Ale inny głos wewnętrzny odpowiadał: Tak, ale ten tutaj jest tuż obok ciebie. Rozmawiałś z nim. Na zewnątrz pada deszcz. A samochód, w którym się oboje znajdujecie, jest jak sypialnia. Wyobraź sobie siebie zupełnie nagą w jego ramionach. I jego zupełnie nagiego, kładącego się na tobie. Zresztą, od jak dawna nie kochałaś się z Olivierem? Przypomnij sobie, on od miesiąca zrećnie unika wszystkich twoich podchodów w tym względzie. W rzeczy samej, cóż szkodzi zdradzić kochanka, który z tobą nie ma nawet stosunku płciowego?

Prowadziła sześćdziesiątką, ale mimo wszystko mało brakowało, by wgniotła zderzaki samochodu, który jechał przed nią. Musiała bardzo gwałtownie nacisnąć hamulec, co pozwoliło jej towarzysza podróży wyekspediować na przednią szybę pojazdu.

—Uwaga, droga jest śliska — mruknął niezadowolony. — Ryzykuje pani poślizg, jeśli będzie pani zbyt gwałtownie hamować.

—Gdzie ma pan to swoje spotkanie?

—Naprzeciwko drugstoru na Placu Gwiazdy.

—Dobrze, to po drodze.

—Jest pani uprzejma, że mnie pani zabrała.

—Było to naturalne, w taki deszcz...

W jaki sposób oswajało się chłopców w jego wieku? Młode pokolenie było przyzwyczajone do miłostek prostych i nieskrępowanych. Tak, ale z tą swoją piękną gębą ten chłopak mógł mieć wszystkie kociaki, jakie chciałby mieć. Jak odniósłby się do propozycji kobiety starszej, takiej jak ona? Wybuchnąłby śmiechem? Tego by nie zniosła.

Mustang zniknął w tunelu, potem wyjechał na trasę wiodącą w kierunku Boulogne. Na wysokości mostu Bir-Hakeim został zrobiony szeroki pas awaryjny na poboczu drogi, długości dwudziestu metrów. Widziała go daleko przed sobą, kiedy poczuła, że coś twardego zagłębia się w jej prawą pierś.

—Proszę zjechać na lewą stronę — rozkazał chłopak głosem, który stał się nagle stanowczy.

—Cóż to! — zbuntowała się. — Oszalał pan?

—Szybko, albo strzelam.

Opuściła wzrok i ujrzała lufę rewolweru. Straciła panowanie nad samochodem i mustang gwałtownie skręcił.

—Daję słowo, pan jest szalony — wyjąkała.

Ale w tym samym momencie skręciła kierownicą i po chwili była już na lewym pasie. Za sobą usłyszała odgłos klaksonu. Zapomniała włączyć kierunkowskaz.

—Czego pan chce? Pieniędzy? Sięgnij do mojej torebki. Ale schowaj ten rewolwer.

Nie odpowiedział, ale rewolwer wywarł silniejszy nacisk na jej pierś.

—Nie zajedzie pan daleko. Mówię to panu!

Było jej niedobrze, ale nie odczuwała prawdziwego strachu. Mustang wjechał powoli na pas awaryjny.

—Zatrzymaj się — rozkazał.

Posłuchała polecenia i znowu spojrzała na rewolwer. Wielki dziwny cylinder tkwił na końcu cienkiej lufy. Gdzieś widziała już coś podobnego...

Spojrzała na twarz chłopaka i utkwiała wzrok w jego oczach. W mgnieniu oka zrozumiała. Czyż poprzedniego wieczora Boghossian nie powiedział jej, żeby miała się na baczności? Ogarnęło ją przerażenie.

Odwróciła się gwałtownie i rzuciła do drzwi, ale jej ręka nie miała czasu dosięgnąć klamki. Kula przeszła jej kark, rzucając resztki kości i mózg na szybę lewych drzwi samochodu, jej ciało zważyło się na kierownicę. Michel Corvet ukląkł na siedzeniu, pociągnął trupa i ułożył go na podłodze. Pochylając się umieścił rewolwer pod ciałem. Potem podniósł się, zdjął narzutę z tylnego siedzenia i położył ją na tym, co było Monique Vallain. Uciął gałgan, zwinięty w kłębek i wytarł szybę zabrudzoną krwią i substancją mózgową, potem rzucił szmatkę obok ciała.

Wyłączył silnik i wycieraczki, zaciągnął ręczny hamulec i spod płaszcza przeciwdeszczowego wyjął trójkąt ostrzegawczy z kartonu, na którym wielkimi, trochę koślawymi literami napisano: Awaria samochodu. Przykleił to tuż przy zderzaku, potem wyjął kluczyk ze stacyjki, zablokował drzwi od wewnątrz, wysiadł z samochodu od strony kierowcy i starannie zamknął kluczykiem drzwi.

Deszcz padał bez przerwy. Dotarł pośpiesznie do mostu Bir-Hakeim. Samochody, jadące w trzech rzędach, ocierały się o niego. Z uniesionym kołnierzem nieprzemakalnego płaszcza, z przygarbionymi ramionami, utrzymał szybkie tempo marszu aż do ulicy de Passy, do której dotarł kompletnie przemoczony. Dostrzegł tam dużą piwiarnię. Wszedł do niej i ruszył prosto do toalet, gdzie zamknął się w kabinie. Nikt go nie zauważył. Piwiarnia była pełna ludzi, których deszcz skłonił, by tutaj szukali schronienia. Stojąc nieruchomo przed lustrem umywalki, zerwał brunatną perukę i położył ją na etażerce. Lustro odbijało jego nagą czaszkę nocnej zmory, ze zmalretowaną skórą, porysowaną obrzmiałymi, czerwonymi bliznami, pomarszczoną niczym ciało starca. Kontrast między tym strasznym widokiem a jego anielską twarzą był nieprawdopodobny.

Delikatnie nałożył blond perukę, którą wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki, dopasował ją delikatnie, wygładził wierzchem dłoni i opuścił kilka kosmyków na czoło. Uśmiechając się do siebie z satysfakcją chwycił starą perukę wszedł na klapę sedesu i podniósł pokrywę zbiornika wody wykonaną z żeliwa. Zanurzył perukę w cieczy, wrzucił tam parę rękawiczek i kluczyki mustanga, po czym założył pokrywę z powrotem na miejsce.

Opuszczając toalety zmusił się do odrzucenia obrazów z przeszłości, które zawsze kojarzyły mu się z wizją jego torturowanej czaszki. W tamten piekielny wieczór, jego pijany, jak zawsze zresztą, ojciec umył dwunastoletniemu chłopakowi głowę szamponem z benzyną, a potem rzucił na czuprynę płonąca zapałkę. Ale to wszystko były głupstwa. Cała rzecz w tym, by niezwłocznie złożyć sprawozdanie Shulzowi.

ROZDZIAŁ XIII

Karta z rysopisem ofiary sporządzona przez Harry'ego Shulza:

BOGHOSSIAN, Kevork.

Wiek: 53 lata.

Narodowość: Libańczyk.

Zawód: Importer-eksporter.

Stan cywilny: kawaler.

Rysopis: wzrost około 1,80 m. Otyły. Włosy siwe. Tendencja do łysienia. Oczy czarne.

Miejsce zamieszkania: 73, avenue Foch, Paryż 16.

Telefon: 410 92 27

Uwagi: osoba tajemnicza, trudna w kontaktowaniu się z ludźmi. Lubi przepych, żyje niczym książę z Baśni Tysiąca i Jednej Nocy. Prowadzi intensywne życie nocne. Ustawicznie odwiedza przybytki rozkoszy. Liczne podboje wśród striptizerek, tancerek i gwiazdek kina. Żadnego związku uczuciowego. Posiada ogromne dochody. Jego spółka importowo-eksportowa zajmuje nowoczesne, okazałe biuro na avenue Marceau, dokąd Boghossian udaje się pieszo każdego ranka między 9.30. a 10.00., bez wątpienia po to, by używać ruchu z powodu swej otyłości. Zwykle opuszcza Paryż w każdy trzeci piątek miesiąca, aby popłynąć trasą: Mediolan-Bejrut-Stambuł-Ateny.

Zadrzał. Pogoda była ohydna. Niebo jakie widuje się w Szkocji lub Irlandii. Z nostalgią pomyślał o wybrzeżach Morza Śródziemnego. Westchnął. Za kilka dni będzie w Bejrucie i będzie mógł wygrzewać się na słońcu. Ale czyż w Bejrucie będzie bardziej bezpieczny niż w Paryżu? Żadne miejsce na świecie nie dawało bezpiecznego azylu przed zamachami tych ludzi... Nawet dobrze strzeżone konta bankowe nie mogły go chronić, jeżeli w Nowym Jorku zdecydowano położyć kres jego i tak długiej, już 53-letniej, bogatej w wydarzenia egzystencji... W końcu, czyż nie skorzystał z życia w wystarczający sposób? Stwierdził mimo wszystko, że tak. Pokrzepiająca myśl przebiegła gwałtownie jego umysł. A jeśli by ich uprzedził? Mógł odłożyć tę comiesięczną podróż do Mediolanu, Bejrutu, Stambułu i Aten. W zamian za to poleciałby do Nowego Jorku i skontaktowałby się z Nickiem de Luką. Przekonał się o jego dyskrecji, o jego wierności. Przede wszystkim był Libańczykiem, nie Francuzem, a więc nic go we Francji nie zatrzymywało. Nigdy nie postawiłby nogi, gdyby mogło mu to zapewnić uratowanie własnej skóry. Nick de Luca zrozumiałby. Był inteligentny i przebiegły. Wiedział na czym polegał jego interes. To on, Boghossian, był królem Środkowego Wschodu, odpowiedzialnym za sprawy zaopatrzenia w żywność. Cóż by bez niego zrobili? Nick de Luca wiedział, że jest on niezbędny. Nie odmówiłby sobie tak kosztownej pomocy. Nikt nie wydawał się zdolny ocenić niebezpieczeństwa, z wyjątkiem, być może, Pascala Zuccarelliego. Już wcześniej usiłował przekonać Monique Vallain o groźącym niebezpieczeństwie. Niestety, bez wielkiego powodzenia... Za to on był głęboko tego świadomy. Znał bossów Syndykatu. Plama na garniturze i natychmiast używano K2R... Boghossian odczuwał paniczny strach i fizyczny ból. Myśląc o serii z pistoletu maszynowego w odsłoniętą pierś, okropnie cierpiał. I ta krew, która wyciekała z ran...

Zadrzał znowu.

Pistolet maszynowy wydawał się być ich ulubioną bronią. Ale bez wątpienia posługiwali się także nożem lub brzytwą... Zdecydowanie był dzisiaj w pogrzebowym nastroju. Otrząsnął się i próbował wygnać te przygnębiające myśli. Doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem jest jednak podróż do Nowego Jorku i spotkanie z Nickiem de Luką.

Tyłu ludzi już zwiódł w swoim życiu śródziemnomorską gadatliwością, on — pół Sycylijczyk, pół Amerykanin.

Pierwszą rzeczą, którą należało uczynić po przyjeździe do biura, była rezerwacja miejsca w pierwszym samolocie lecącym do Nowego Jorku. Pokrzepiony decyzją, jaką podjął, jeszcze raz spojrzął przez okno. Pogoda wydawała się mu mniej ponura.

A więc, tym razem jeszcze wywinałby się z tego. Idiotyczne było stracić życie w wieku 53 lata, kiedy cała forsa czekała na niego, ukryta w bankach Hong Kongu, Wysp Bahama, Singapuru i Johanessburga. A poza tym — mając 53 lata powinien się ożenić. Byłby to zwrot w życiu zatwardziałego kawalera. Forse mógłby wydać z Sevim, jego turecką dwudziestoletnią narzeczoną, którą miał poślubić za dwa miesiące. Co ona mu powiedziała przedwczoraj wieczorem, przez telefon? Chatt kese- remgor. Przed nimi dwojgiem były jeszcze piękne dni. Żwawym krokiem opuścił mieszkanie.

Renault R-16 został zaparkowany w bocznej uliczce od avenue Foch. Przez przednią szybę Helmut Dorff spoglądał melancholijnie na padający deszcz. Zupełnie jak w Hamburgu — stwierdził. Prawdopodobnie ten deszcz będzie jeszcze długo padał. Było to jakby zupełnie zgodne z planem, tak dokładnie opracowanym przez Harry'ego Shulza. Mało prawdopodobne, aby ten gruby Ormianin wyszedł na spacer w takim deszczu. Należało się zastanowić. To było ekscytujące. Dokonał przeglądu różnych możliwości, które się przed nim otwierały, ale nie zatrzymał się nad żadną z nich. Zobaczymy w odpowiednim czasie. Kątem oka obserwował budynek. Ale szerokie i wysokie drzwi pozostawały wciąż zamknięte. Dochodziła 10.00. Boghossian akurat w tym dniu zdecydował się, żeby zostać w domu!

Nagle zeszytniał. Co oni tu robili, ci...? Skąd się tu wzięli, dobry Boże? Pod przedsionkiem sąsiedniego domu, tego z numerem 73, spostrzegł dwie ciemne sylwetki, co do których nie mógł się mylić. Dwóch gliniarzy w mundurach. Nie spuszczał z oczu bocznej alejki i nie dostrzegł ich, kiedy nadeszli. Czy wyłonili się z budynku, w bramie którego się schronili?

Zagłębił się nieco bardziej w siedzeniu i nacisnął na oczy kapelusz. Na szczęście para, która pokrywała szyby, nie pozwalała zajrzeć do wnętrza samochodu glinom, którzy mogli zainteresować się jego obecnością tutaj.

W tym momencie Boghossian wyszedł z mieszkania. Szedł nadęty, w szerokim przeciwdeszczowym płaszczu koloru czarnego, który zwisał mu aż do kostek. Szeroki kapelusz osłaniał jego głowę, kark i szyję.

Zatrzymał się w drzwiach i wydawał się przyglądać deszczowi z pewną obawą. Dwaj gliniarze przyglądali się mu z zaciekawieniem. W końcu zdecydował się postawić stopę na chodniku i śmiało ruszył w kierunku Placu Gwiazdy.

Szedł groteskowo, podrygując i uważając na kałuże wody. Ma rozmiar buta co najmniej 45 — pomyślał Helmut Dorff, który nawet się nie poruszył. Prawdziwy fanatyk chodzenia piechotą. W myślach złożył uszanowanie Shulzowi. Wyborny psycholog. Nie pomylił się w swoich przewidywaniach. Mimo wszystko przyjemnie było pracować z zawodowcem takiego formatu.

Dwie peleryny w kolorze marynarskiego błękitu nie opuściły swego posterunku. Helmut Dorff uważnie obserwował policjantów. Żadnego poruszenia. Przez chwilę pomyślał, że postawiono ich tutaj, by chronili Boghossiana. Teraz taka ewentualność wydawała mu się nieprawdopodobna. Ich obecność w tym miejscu była raczej czystym zbiegiem okoliczności.

Pozwolił Boghossianowi oddalić się, potem delikatnie włączył silnik, wrzucił pierwszy bieg i „odkleił” samochód od chodnika. W lusterku wstecznym obserwował gliniarzy. Żadnej reakcji. Lekko dodał gazu i włączył wycieraczki.

Pomimo mgły, która psuła widoczność, widział doskonale ciężką sylwetkę Boghossiana.

Oceenił spokojnie odległość, która dzieliła go od niego i zadowolił się tym, by dotrzeć do rogu ulicy de Pesbourg dziesięć metrów przed nim. Zatrzymał samochód na zakazie postoju, ale pozwolił silnikowi pracować. Zaciągnął ręczny hamulec, potem znowu podniósł kołnierz swego nieprzemakalnego płaszcza i głębiej nasunął na czoło kapelusz. Włączył światła awaryjne sugerując potrzebę postoju.

Szyba prawych drzwi została nagle przysłonięta sylwetką Boghossiana, który mijał samochód. Helmut Dorff przesunął się ku drzwiom po prawej stronie, otworzył je i wysiadł na deszcz.

Boghossian skręcił za róg ulicy. Z rękami w kieszeni Helmut Dorff szedł za nim utrzymując odległość pięciu metrów, z pochylonymi plecami pod padającym deszczem. Na ulicy de Presbourg przechodniów, mimo potoków wody, było znacznie więcej niż na avenue Foch. Samochody na jezdni, w trzech rzędach, jechały naprzód, wyglądając jak ślimak.

Kiedy Boghossian dotarł do avenue Victor-Hugo, zapaliło się zielone światło. Pięć czy sześć osób tłoczyło się na skraju chodnika, przy przejściu na drugą stronę ulicy.

Ruchem kierował dodatkowo policjant, który stał na chodniku po drugiej stronie ulicy. Wydawał się zresztą bardziej troszczyć o to, by kierować falą pojazdów, które pośpiesznie jechały ulicą, niż sterować ruchem pieszych, przemoczonych od stóp do głów. Bez wątpienia, nieświadomie, mścił się na nich za to, że znalazł się tutaj, na padającym deszczu, zamiast grać spokojnie w belotę na posterunku.

Helmut Dorff schronił się pod okapem sklepu na rogu ulicy, wyjął wielkie cygaro z wewnętrznej kieszeni ubrania i spokojnie odwijał je z celofanu.

Boghossian znajdował się dwa metry od niego. Jego wielka sylwetka przesuwiała tuż obok pośladek jakiejś uroczej dziewczyny w spodniach i kozakach, która miała do wyboru: zostać popieszczoną w zadek albo wpaść obiema nogami w rynsztok. Odwróciła się do niego z rozgniewaną miną, ale Boghossian wydawał się nie dbać o niemy protest dziewczyny. Helmut Dorff włożył cygaro do ust, skierował się ku niemu i z całej siły jego zęby zdruzgotały stalową dźwignię w cygarze, wyrzucając z niego coś w rodzaju strzały.

Boghossian zadrzał. Helmut Dorff natychmiast wyjął z kieszeni płaszcz zapalniczkę i pośpiesznie zapalił cygaro, by ukryć otwór, który utworzyła cienka strzałka ze stali. Tymczasem Boghossian zakołysał się gwałtownie w przód, pociągając za sobą dziewczynę, która zwała się do rynsztoka, wrzeszcząc przeraźliwie. Boghossian jak długi osunął się na jezdnię.

Światło zmieniło kolor na pomarańczowy. Jakiś citroen DS przyspieszył, aby przejechać skrzyżowanie jeszcze na żółtym świetle. Mimo gwałtownego hamowania, samochód nie mógł ominąć rozciągniętego na asfalcie ciała i uderzył w nie gwałtownie. Dziewczyna, zupełnie przemoczona, podniosła się, wrzeszcząc piekielnie. Coraz lepiej — ucieszył się Helmut Dorff.

Teraz czerwone światło zastąpiło pomarańczowe i policjant pośpieszył na pomoc. Kierowca citroena pochylał się nad Boghossianem z wymalowaną na twarzy konsternacją. Helmut Dorff nonszalancko zbliżył się do ciała, tak jak uczynili to inni przechodnie. To nie odwaga popchnęła go do tego, by działać w ten sposób, ale sumienność zawodowa. Torował sobie drogę łokciami pozwalając, by cygaro upadło na ziemię. Kątem oka upewnił się, że strumień wody uniósł je ku studzience ściekowej i już przeniósł wzrok na ciało Boghossiana. Od razu dostrzegł otwór w kauczukowym kapturze w miejscu, gdzie znajdował się kark. Dobra robota — pogratulował sobie w duchu. Nie miał tu już nic więcej do załatwienia. Kontrakt został wykonany. Boghossian był martwy.

Wchodząc ponownie na chodnik przeszedł tuż obok dziewczyny, która, ociekając wodą, zupełnie oglupiała rozglądała się wokół. Szybkim krokiem dotarł do rogu avenue Foch i wsiadł do renaulta.

W drodze powrotnej do willi złożył wyrazy uszanowania Beli Horvathovi, Węgrowi, wynalazcy niezliczonej ilości gadżetów do zabijania. Genialny majsterkowicz skonstruował cygaro na sprężynie, które wyrzucało w kierunku ofiary strzałkę uderzając tak silnie jak kula

kalibru 0.22. Oczywiście samo cygaro nie wystarczało. Potrzebne były jeszcze wysokie kwalifikacje strzelca, niezbędne dla umieszczenia strzałki w dowolnym miejscu.

Potrzebował dwunastu miesięcy, aby dojść do takiego mistrzostwa, ale Helmut Dorff mógł chlubić się tym, że był jednym z niewielu zabójców posługujących się cygarem. A mechanizm był tak prosty do skonstruowania i umieszczenia go w produkcie z Hawany! Ile razy używał cygara? Dwadzieścia? Trzydzieści? Swoją drogą, szkoda, że Horvath rozerwał się na strzepy właśnie przed ostatnimi świętami Bożego Narodzenia, wypróbując swoją kolejną, oryginalną sztuczkę.

ROZDZIAŁ XIV

Karta z rysopisem ofiary sporządzona przez Harry'ego Shulza:

MASSICAUD-VELLARD, Andre

Wiek: 50 lat.

Zawód: Doradca techniczny d/s uzbrojenia marynarki wojennej.

Stan cywilny: Żonaty, bezdzietny.

Rysopis: wzrost około 1,78 m. Szczupły. Włosy jasne, bardzo krótko obcięte. Twarz koścista. Oczy szare, bardzo zimne. Lewa ręka okaleczona, istnieją jedynie kciuk i palec wskazujący. Legia Honorowa Komandoria.

Uwagi: Absolwent politechniki. Dawny oficer artylerii. Kieruje siecią, która pokrywa całą Francję. Sieć złożona w większości z sutenerów i złodziei. Legalne zajęcia sieci: różnorodne informacje, czasami pomoc dla służb specjalnych i policji. Jego sieć prowadzi przede wszystkim nielegalne interesy (między innymi: stręczycielstwo, profesjonalni zabójcy, szantaż, wyłudzenie pieniędzy, gry, handel narkotykami.)

Szwagier: Arnaud de Sussieulx (również na liście).

Miejsce zamieszkania: 17, avenue Kleber, Paryż 16.

Telefon: 410 89 02

Biura: Rue Marbeuf, Paryż 8.

W Paryżu mieszka samotnie, lekarze odradzali jego żonie paryski klimat. Od pięciu lat utrzymuje związek z siostrą swego szwagra, Nicole de Sussieulx. Ta kobieta w mniejszym lub większym stopniu żyje z nim podczas nieobecności męża. Dwóch ludzi w straży przybocznej — dawni recydywiści — towarzyszy mu we wszystkich jego podróżach. Mieszkają w apartamencie na avenue Kleber. Massicaud-Vellard opuszcza avenue Kleber każdego dnia około godziny 9.00., aby udać się do swoich biur przy rue Marbeuf.

Samochód: DS 21 Pallas

Szofer: Jeden z dwóch ludzi obstawy.

Atak był poważny. Właśnie wkładał szlafrok, kiedy jego prawa noga zapadła się pod nim i rozciągnęła się jak długi na dywaniku przed łóżkiem. Nicole podbiegła natychmiast i pomogła

mu podnieść się i usiąść na łóżku. Była wspaniała. Skuteczna. Bez niepotrzebnych pytań. W dwadzieścia pięć minut później przybył doktor Lannoy, spoglądając zatroskanym wzrokiem przez okulary w złotych oprawkach. Bolesny zastrzyk. Na nieszczęście zastrzyk nie pomógł ani w przywróceniu sprawności nogi, ani jego prawego ramienia. Usta wykrzywił grymas, uniemożliwiający mu jasne wyrażanie się. Ból sprawiał, że głos stał się dziwaczny, matowy, jak głos dziecka, które papie jedząc kleik.

Skurcz przywołał mu w pamięci tego zatwardziałego gracza, którego dostrzegł w kasynie w Deauville. On również miał ten nerwowy tik po nieszczęsnym banko. Rozpaczliwie usiłował otworzyć i zamknąć palce, ale na próżno. Cała jego prawa strona była zablokowana jakby potężnym hamulcem.

W oczach Nicole i doktora Lannoy'a odczytał zaniepokojenie, mimo że ten ostatni usiłował uspokajać go. Lekarz opowiadał o dolegliwościach pacjenta, przytaczając konkretne przykłady szybkiego ozdrowienia, mówiąc o daninie do zapłacenia za szaleństwa nowoczesnego życia, polecając surową dietę. Na koniec po przyjacielsku złązał Nicole za jej przypuszczalną niedbałość, upominając ją, by przesadnie nie nadużywała przyjemności, jakie serwowano do stołu.

W końcu wyszedł, wygłosiwszy przedtem na dywaniku obok łóżka rozporządzenie równie długie niczym sentencja trybunału wojskowego, przyrzekając wrócić wieczorem.

W takich właśnie chwilach objawiała się siła charakteru Nicole. Obejmowała kierowanie sprawami. Cassart, jego zastępca, został uprzedzony że Massicaud-Vellard nie pojawi się w biurze ani dzisiaj, ani przez kilka następnych dni. Musiał odpocząć aż do poniedziałku, by znowu nabrać sił do zajęć zawodowych. Nicole natychmiast zajęła się szukaniem pielęgniarki, która codziennie miała robić zastrzyki i poleciła dostarczyć z jednej z sąsiednich aptek lekarstwa przepisane przez Lannoy'a. Z menu śniadaniowego wycofała kawę i masło, toteż musiał zadowolić się trzema grzankami i dużą szklanką Évian. Niczym kwoka usiadła na łóżku obok niego i prostymi, rozsądnymi słowami dodała mu otuchy. Fatalny był ten układ. Trzeba było mu wyciągnąć rękę do Zuccarelliego. Niebezpieczeństwo tkwiło w fakcie, że Korsykę mogą uczynić osobistą siedzibą tamtego, jeśli jego niedyspozycja trwałaby zbyt długo. Zuccarelli był zbyt bezczelny, aby nie wykorzystał pięknej okazji do przejęcia organizacji. Umieścił swych Korsykańczyków i Marsylczyków na kluczowych pozycjach i dlatego pozostało mu jedynie przejść na emeryturę, będąc szczęśliwym, że to nie on zabił kiedyś pierwotnego syna Guccinich...

Tak, ale kto w takim układzie zajmie jego miejsce? Etchegaray? Nie. Nie dość inteligentny. Bourvel, Lyończyk? Opuścił swe rodzinne miasto, nic już nie znaczył. Le Floch? Nie ma mowy. Nie ma zwyczaju działać z Nicejczykami, Marsylczykami i wszystkimi Południowcami włącznie. Pozostawał Lequin. Dlaczego nie? Młody, ambitny, kompetentny, był mu całkowicie oddany. A jego oddział paryskich rzezimieszków wiedział, jak przywołać krnąbrnych do rozsądku, wliczając w to Korsykańczyków i Marsylczyków. Paryżanin—byłby idealnym arbitrem prowincjonalnych rywalizacji. Natychmiast poprosi Nicole, by go wezwała, a także uprzedziła innych: Arnauda, Monique, Boghossiana, Zuccarelliego i Loraygona.

Piwiarnia znajdowała się na rogu ulicy du Belloy. Z jej tarasu, widok na aleję był doskonały. Po nawałnicy klientów o 8.00 kelnerzy mieli chwilę odpoczynku, rozmawiali więc z kilkoma rzadkimi klientami z godziny 9.00. Otwarcie biur między 8.30 a 9.00 wyssało klientelę, pozostawiając kilku darmozjadów z dzielnicy, którzy siedzieli przy stołach przed dużą czarną i koszykiem rogalików, poświęcając cały wolny czas na jedzenie śniadania.

Posługując się łyżką Kurt Hopken zmiążdżył plasterek cytryny w szklance, do której kelner wlał Schweppsy z lodem. Pęcherzyki uformowały się i po chwili pękły. Wypił to jednym haustem. Pragnienie, jakie odczuwał tego ranka, było niesłychane. Czy nie wzbudził je fakt zbliżania się akcji? Czuł się trochę zblazowany. Czy deszcz nie zaszkodzi planom tak misternie dopracowanym przez Harry'ego Shulza? Zapewne nie. Przebiegłość, jaką się posłużył, aby wysłać do nieba „swoją obiekty” była bez zarzutu. Brawo, Shulz. Ach! Gdyby mieli takiego faceta jak on w OAS! Mamma mia — jak mawiali Francuzi urodzeni w Algierii.! Ach! jakież nędzny jest ten nasz świat! Do czegoż podobny jest Algier teraz? Trawa mogła wyrosnąć między brukiem ulic. Nie można było liczyć na felluzów, żeby utrzymać miasto. Zresztą musiałoby być pełno kóz i osiołków.

Musiał to być niezapomniany widok. Ach! co za nieszczęście, dlaczegóż oni nie mogli zdobyć tego miasta? Matko Boska! Te biedne zuchy, które padły w dżebelach, zupełnie niewinnie, ofiary reklamy... Niespodziewanie spojrział na zegarek. 9.20. Hej tam!... Gott ver damm mich! Cóż ten Massicaud-Vellard sobie wyobraża? Shulz powiedział: 9.00.

Dziwne spóźnienie... Czy spowodował je deszcz? Przez chwilę śledził wzrokiem samochód, który zwolnił w pobliżu numeru 27, ale nie był to. zapowiadany DS 21 Pallas. Deszcz bez przerwy bębnił po dachu tarasu kawiarni, w której był teraz jedynym klientem.

Chodniki w alei były prawie puste. Na jezdni, przeciwnie — samochody przyklejały się jedno do drugich, jakby chciały się nawzajem ogrzać. 9.30....

Niepokojące. Jeśli „obiekty” nie pokaże się do 9.45, zadzwoni do Shulza. Przełknął ostatnie krople Schweppsów i skoncentrował uwagę na budynku numer 27.

O 9.45 jeszcze nic się nie działo. Zaczekał jeszcze pięć, potem dziesięć minut. O 10.00 wstał, aby pójść zatelefonować, ale przystanął nagle zamyślony. A jeśli Massicaud-Vellard wyjdzie z domu podczas gdy on będzie telefonował? Wszystko spaliłoby na panewce przez jego błąd. Harry Shulz miał do niego zaufanie. Helmut ręczył swoją powagą. Co pomyślałby Shulz, gdyby zapytał go o zachowanie czujności? Ze on, Kurt Hopken, był niezdolny do tego, by poradzić sobie zupełnie sam. Co nie było oczywiście prawdą. Ciekawe, co mógłby zrobić w Algierze w identycznych okolicznościach? Pewnie telefonowałby, aby zapytać o instrukcje. Porucznik odpowiedziałby mu: Wykaraskaj się, masz misję do wypełnienia więc wypełnij ją.

Kontrakt — to też była misja.

Gdyby zatelefonował Shulz prawdopodobnie nie odpowiedziałby mu: wykaraskaj się. Przybiegłby natychmiast. I okazałby wielkie lekceważenie. Nie ma mowy o okazywaniu lekceważenia wobec niego — Kurta Hopkena. Dziesięć lat służby dla Legii. Starszy sierżant. Gott ver damm mich! On im pokaże. Należy im zadać cios komandosów. Jak w starych dobrych czasach. Musi udowodnić, że ma dobrego nosa. Podjął decyzję.

Wstał, zapiął swój płaszcz przeciwdeszczowy, postawił kołnierz i wyszedł na deszcz. Przekroczył próg budynku i ujrzał człowieka, o ociosanej i surowej twarzy, któremu spieszo było się osuszyć. Co mówiła kartka ze wskazówkami Shulza na temat piętra, na którym

mieszkał obiekt? Dobry Boże, zapomniał o tym. Jest prawdą, że jeśli wszystko poszłoby tak jak przewidział to Shulz, ten szczegół byłby bez znaczenia.

Wysoki facet nacisnął guzik wzywający windę i zaczął chodzić po hallu dużymi krokami, niecierpliwie, zupełnie go ignorując. Kurt Hopken wszedł na schody o stopniach pokrytych jakimś grubym, bordowym dywanem. Kiedy dotarł na pierwsze piętro, zauważył, że na każdym piętrze jest tylko jeden apartament. Nazwisko, które widniało na tabliczce z czarnego marmuru, nie było tym, którego szukał. Podczas wspinania się na najwyższe piętro przypomniał sobie, że karta ze wskazówkami, którą wręczył mu Shulz, nie dawała żadnego wskazania co do tego, na którym piętrze mieszkał Massicaud-Vellard.

Na podeście schodów drugiego piętra mieszkał południowoamerykański dyplomata, jeśliby wierzyć wielkim pretensjonalnym literom, które splątały się na wizytówce apartamentu. Między drugim a trzecim piętrem wyprzedziła go winda. Rzucił krótkie spojrzenie na sztywną niczym kołek sylwetkę, stojącą w kabinie. Wspiął się na ostatnie stopnie prowadzące na podest trzeciego piętra, kiedy pisane wielkimi złożonymi literami nazwisko rzuciło mu się w twarz: MASSICAUD-VELLARD...

Wysoki facet o ociosanej i surowej twarzy stał nieruchomo przed drzwiami. Był odwrócony do niego plecami i pośpiesznie naciskał właśnie guzik dzwonka.

Judasz otworzył się i Kurth Hopken cofnął się pośpiesznie o trzy stopnie w dół i przytrzymał się poręczy.

—Lequin. Czekają na mnie. — Głos był suchy, zniecierpliwiony.

Hopken wyciągnął już hiszpański pistolet ruby spod poły płaszcz. Zręcznie przykręcił tłumik i odbezpieczył pistolet. Drzwi otworzyły się, kiedy wprowadzał nabój do lufy.

Na odgłos hałasu człowiek odwrócił się, W trzech susach Kurt Hopken znalazł się przy nim i brutalnym pchnięciem w ramię rzucił go na drzwi.

—Cóż to! — wrzasnął ktoś stojący w drzwiach.

Wysoki facet o łysej czaszce zagradzał wejście do apartamentu. Gwałtownym ruchem zanurzył dłoń w kieszeni. Ruby wydał dźwięk i łysa czaszka zderzyła się z nosem tego, który przedstawił się jako Lequin. Ten stracił równowagę i na dobre rozłożył się na ziemi, a wkrótce dołączył do niego wysoki facet o łysej czaszce. Kurt Hopken rzucił się do wnętrza apartamentu próbując się połapać w tym wszystkim. Nie miał czasu na stawianie sobie pytań. Stał w szerokim wejściu, do którego otwierało się wiele drzwi zamkniętych. Grubas, który nagle wyłonił się znikąd, skoczył nagle na niego.

Hopken błyskawicznie odzyskał swój refleks komandosa i padł obok na ziemię. W tym samym czasie jego palec zacisnął się gwałtownie na spuście. Ploff... Ploff... Ploff... — czekał ruby. Wszystkie góry Tyrolu zwały się na Kurta Hopkena. Szok był tak gwałtowny, że przez kilka sekund pozostał ogłuszony. W końcu z wysiłkiem odepchnął ciało, które go przywaliło, i podniósł się. Z urywanym oddechem oglądał swój splamiony krwią płaszcz.

Powoli wyrównał oddech. Dwóch facetów z obstawy zabitych — nic więcej nie wznosiło się między Massicaud-Vellardem a nim. I nagle przypomniał sobie wielkiego faceta, którego odepchnął od wejścia. Lequin. Zawrócił w jego kierunku.

Kula tamtego strzaskała mu przegub lewej ręki. W odpowiedzi ruby drgnął dwa razy. Oczy wysokiego faceta wyszły z orbit, jakby ujrzały coś wysoce niestosownego. Kiwnął głową z wyrazem głębokiej dezaprobaty i zdecydował, że był najwyższy czas, by paść na dywan.

Kiedy wylądował na wykładzinie dywanowej, Kurt Hopken odepchnął rewolwer, który wypadł z dłoni zabitego.

Co robił Massicaud-Vellard? Zaalarmowany wystrzałem tego idioty, który nie przedsięwziął należnych środków ostrożności, by cicho się zachowywać, musiał ukryć się w apartamencie, z bronią w ręku. Należało zachować ostrożność.

Gwałtowne strzykanie przebiegło przez jego ranne ramię. Krew kapłała pomiędzy palców. Gott ver damm mich! Kość mogła zostać zmiażdżona. Skrzywił się z bólu. Czuł się źle.

To nie jest dobra chwila, by się wycofać — pomyślał z wściekłością. Stało przed nim czworo drzwi. Pchnął jedno z nich rozglądając się ciągle dookoła. Nic. Nie należało jednakże się ociągać. Sąsiad mógł zatelefonować na policję.

Kurt Hopken rzucił się do wnętrza pokoju. W jego głębi, tuż przy oknie, znajdowały się ozdobione pelą, pikowane drzwi. Podszedł, by je otworzyć, nadal zachowując wszystkie środki ostrożności. Prowadziły do biblioteki. Ona również była pusta. Przeszedł przez salon i dotarł do wejścia. Spróbował otworzyć inne drzwi, równie ostrożnie. Prowadziły na jakiś słabo oświetlony korytarz. Ruszył do przodu ostrożnym krokiem. Przystanął przed pierwszymi drzwiami po prawej stronie i otworzył je z rewolwerem wycelowanym przed siebie.

Był to rodzaj przedpokoju z długą kanapą i niskim stołem, na którym stała chińska waza. Zaczynały w niej już przekwitać czerwone róże. Szafy ścienne na ubrania były otwarte i można było dostrzec kobiece sukienki i płaszcze wiszące na wieszakach. Musiały należeć do kobiety, która siedziała na kanapie. Blondynka, w domowych ciuchach, dobrze zadbana, jak ocenił ją, spokojnie lustrując wzrokiem. Rozciągała pulower położony na kolanach i nie wydawała się wcale zdziwiona jego widokiem tutaj, jakby było czymś naturalnym to, że on, Kurt Hopken, tutaj się znalazł.

Skierował rewolwer w jej stronę, podczas gdy jego spojrzenie obiegiło pokój. Za kobietą widniały, zakryte zasłoną w żółte kwiaty, drzwi obramowane dwiema greckimi amforami. Kurt Hopken zrobił krok naprzód. Ból przeniknął na wskroś jego ramię. Zastanawiał się, czy Shulz znał dobrego chirurga. Czy trzeba będzie amputować rękę? Kobieta wstała i zagroziła mu drogę, z pulowerem w ręce, z zimnym zdecydowaniem malującym się na twarzy. Potem pulower poruszył się, jakby wstrząsany jakimś samodzielnym ruchem, i Kurt Hopken poczuł kule, które zagłębiły się w jego wnętrzościach. Zgiął się wpół i ruby wypadł mu z ręki. Ostatnia kula trafiła go w samo serce i potoczył się naprzód ściągając podczas upadku chińską wazę i czerwone róże.

ROZDZIAŁ XV

Deszcz ustał i blade słońce nieśmiało wyjrzało zza chmur. Citroen DS prowadzony przez Michela Corveta wślizgnął się zręcznie w strumień samochodów za renaultem Louisa Suttota. Kiedy samochody zwolniły przed numerem 27 na avenue Kleber, wszyscy spojrzeli na dom. W citroenie jechali Harry Shulz i Helmut Dorff. Dan O'Malley siedział w renaulcie obok Suttota. Na ulicy stało kilka samochodów policyjnych. Na chodniku parkowały dwa duże, czarne samochody wyposażone w anteny radiowe. Policjanci w mundurach wykonywali

rutynowe czynności. Wokół kłębił się gęsty tłum. Gapie rozpychali się łokciami, żeby coś zobaczyć. Policjanci wzruszali ramionami w odpowiedzi na pytania, jakie im stawiano. Drzwi budynku pod numerem 27 pozostawały zamknięte.

Udało się im zaparkować na wysokości ulicy Boissiere i Harry wysłał Michela Corveta i Louisa Suttota na zwiady. Potem wysiadł z samochodu i nonszalancko ruszył w kierunku domu nr 27. Zmieszał się z tłumem i przysłuchiwał się prowadzonym wokół rozmowom.

Kurt Hopken był martwy... Już w to nie wątpił. Austriak nie należał do facetów, którzy dadzą się wziąć żywcem. Rozpychając się łokciami, wycofał się z tłumy. Zapewne sprawy potoczyły się nie tak, jak przewidywał. Ale dlaczego, dobry Boże, Kurt nie zatelefonował do niego, aby poprosić o nowe instrukcje, jeśli coś było nie tak? Ogólny rezultat akcji był mimo wszystko zadowalający. Pięć „obiektów” na sześć zostało zlikwidowanych. Ale „Frenchie” Terret nie będzie tym usatysfakcjonowany. Nie mógł jeszcze do niego zadzwonić, bo usłyszałby jedynie wymówki i groźby. Należało jak najszybciej spróbować naprawić błąd Hopkena.

Jednak dopóki wokół kręciły się gliny, nic nie mogli zrobić. Zresztą, gdzie teraz znajdował się Massicaud-Vellard? Czyżby ukrył się w bardziej niedostępnym miejscu?

Zawrócił, skierował się na ulicę du Belloy, skręcił w ulicę la Prouse i nagle stanął na chodniku jak wryty, z nosem zadartym ku niebu. Nasunął mu się pewien pomysł. Naprzeciwko hotelu Majestic wznosił się budynek poczty. Wszedł tam, zgarnął garść druków do telegramów i oparł się łokciami o blat do pisania umieszczony pod oknem. Ze swego posterunku obserwacyjnego widział budynki po drugiej stronie ulicy. Udał, że pracowicie wypełnia kilka formularzy telegramów, zastanawiając się intensywnie i spoglądając przez okno.

Pomysł nabierał kształtu. Z pewnością powodzenie jego realizacji było uwarunkowane bardzo ważnym faktem, co do którego należało się absolutnie i bardzo dokładnie upewnić. Pozostało do ustalenia także kilka szczegółów. Jeszcze przez dobre pięć minut przyglądał się budynkom po drugiej stronie ulicy.

W końcu zdecydował się. Zmiał w dłoni telegramy na których gryzmolił, wrzucił je do kosza na śmieci i poszedł na drugi koniec sali, by przejrzeć książkę telefoniczną. Na pierwszych stronach były adresy urzędów i instytucji miejskich Paryża. Wynotował kilka adresów i usatysfakcjonowany opuścił budynek poczty.

Louis Suttot i Michel Corvet czekali w samochodzie, w towarzystwie Helmuta Dorffa. Harry rozsiadł się obok tego ostatniego, na tylnym siedzeniu, i pochylił się naprzód.

—Czego się dowiedzieliście? — spytał.

—Kurt dał się zastrzelić jakiejś babce — odparł Louis Suttot.

—Dziwka! — wrzasnął Helmut Dorff. — Zostawimy to tak, Harry?

Nerwowo tik pojawił się na jego prawym policzku.

—Uspokój się, Helmut — zniecierpliwiał się Shulz. — Mów dalej, Louis.

—Najpierw Kurt zastrzelił trzech facetów. Musiała mu zrobić niespodziankę...

—Nieważne, kim ona była... — przerwał mu Shulz. — Dał się zabić, to wszystko.

—Zdaje się że ten facet, Massicaud-Vellard, miał dziś rano atak serca. Nie może wstać z łóżka.

Harry zeszywniał.

—Jesteś tego pewien, Louis?

—Oczywiście, że tak. Nawet tego, że po porannej strzelaninie zrozumiał, iż chciano go zabić. Był tam glina, który mówił, że mało brakowało, aby zdechł, i wezwano nawet profesora z Akademii Medycznej lub kogoś w tym rodzaju. W każdym razie profesor jest tam jeszcze. Co do babki, która zmasakrowała Kurta, była to zakonnica Mechinchose Falzard. Trzeba przyznać że miała tupet, wierna kochanka... Zastrzelić takiego faceta jak Kurt...

—Dobra, dobra — przerwał mu Shulz. — Nie ma sensu rozczulać się nad Kurtem. Należy dokończyć robotę, której nie wykonał, więc nie traćmy czasu na oplakiwanie go. Louis, jesteś pewien, że Massicaud- Vellard jest nadal u siebie?

—Po tym co ten gliniarz i ludzie mówią, tak.

—Nie przewieziono go gdzie indziej?

—Prawdopodobnie nie.

—Dobrze. Louis i Michel, słuchajcie uważnie. Zostaniecie tutaj. Wasze zadanie to upewnić się, że Massicaud-Vellard nie rusza się z domu, że nie przewiozą go gdzie indziej. Starajcie się dowiedzieć, czy dano mu ochronę glin na zewnątrz, czy trzymają straż przed domem. Ilu facetów go pilnuje i gdzie się schowali, czy gliny są po cywilnemu, czy w mundurach. Zwracajcie uwagę, na wszystkie szczegóły. — Spojrzał na zegarek. — Będę z powrotem w willi około trzeciej. Zatelefonujcie po trzeciej, aby powiedzieć mi, gdzie jesteście. Później dzwońcie, gdyby wydarzyło się coś nowego. W każdym wypadku wchodzicie do akcji zgodnie z planem, o ósmej. Oczywiście, jeśli przetransportują Massicaud-Vellarda w inne miejsce, jeden z was jedzie za nim, a drugi składa meldunek.

Wyjrzał na zewnątrz przez boczną szybę. — Na rogu ulicy du Belloy jest kawiarnia. Tam się spotkamy, jeśli zaistniałaby taka potrzeba. Wszystko jasne?

Louis Suttot i Michel Corvet potwierdzili skinieniem głowy i wysiedli z samochodu. Harry usiadł za kierownicą.

—Helmut, wsiadaj do samochodu Dana i powiedz mu, żeby jechał za mną — rozkazał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Nie pytając o co chodzi, Helmut Dorff i Dan O'Malley ponad trzy godziny jeździli za Harrym po Paryżu, jak się wydaje, bez określonego celu. Od czasu do czasu przystawał, wysiadał z samochodu, głęboko oddychał, obserwował w zamyśleniu budynki i ruszał dalej. Około trzeciej dotarli do willi. Wanda Krazyk przygotowała zimny lunch dla pięciu osób i zdziwiła się, gdy zobaczyła tylko ich trzech.

—Nie przejmuj się twoim blondynkiem — zaśmiał się drwiąco Helmut Dorff. — Zostawiliśmy go świeżego jak różę.

Ton jego głosu był cierpki. Wzruszyła jedynie ramionami.

—Przynieś radjko, Wando — rozkazał Harry, rozsiadając się przed talerzem sałatki z zielonej fasoli.

Komunikat stacji EUROPE 1 o godzinie 15.00. powtarzał jedynie, informacje, które podano już wcześniej. Potwierdzono, że zamordowani zostali Boghossian i Zuccarelli, a także usiłowano zamordować Massicaud-Vellarda. Nic nie wspomniano o Monique Vallain, ani o Arnaudzie de Sussieulx. Ich ciała nie zostały jeszcze znalezione. Co do Bernarda Loraygona, także o nim nie wspomniano. Albo jeszcze nie odkryto ciała, albo zostało znalezione przez sprzątaczkę, ale zgon wydawał się naturalny, nie powiązano więc tej śmierci ze śmiercią Boghossiana i Zuccarelliego. Było jednak prawdopodobne — pomyślał Shulz — aby Massicaud-Vellard, który nie był imbecylem, odkrył związek między tymi morderstwami i

zrozumiał, co mu grozi, jedyny logiczny wniosek, to przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności.

Kwadrans po 15.00 zadzwonił telefon. Był to Louis Suttot.

—Niewiele mam ci do powiedzenia — oznajmił, kiedy Harry podniósł słuchawkę. — Machinchouette ciągle tam jest. Sprawdziliśmy. Ale co do pozostałych informacji, których żądałeś, nie mogliśmy ich zdobyć. Budynek jest prawdziwą fortecą. Obok jest masa glin, które strzegą hotelu Majestic, gdzie odbywa się konferencja na temat Wietnamu. Jest ich więcej niż na avenue Kleber...

—Nieźle — przerwał mu Shulz. — Pozostańcie na stanowisku. Spróbujcie dowiedzieć się czegoś więcej. Czekam na telefon około szóstej.

Odłożył słuchawkę.

Kiedy skończył obiad, podszedł do niego z ponurą miną i zabójczym błyskiem w oczach Helmut Dorff.

—Co zamierzasz zrobić, Harry? — zapytał niecierpliwym głosem.

—Powiedziałem ci już, Helmut — odparł Shulz spokojnie. —Trzeba wykonać kontrakt do końca! Mam pewien pomysł, jak się do tego zabrać. Robiłem już coś podobnego w Buenos Aires.

—Mam nadzieję że skorzystamy z okazji, aby wysłać do nieba tę dziwkę, która zastrzeliła Kurta.

—Nic o tym nie wiem, Helmut — odparł wymijająco Shulz. — Zobaczymy na miejscu.

—W każdym razie chcę ją dorwać! Nie zlecisz tego nikomu innemu. Zgoda, Harry?

—Zgoda — przystał Harry wyraźnie znużony.

O szóstej, kiedy telefon znowu zadzwonił, Louis Suttot nie miał do zakomunikowania nic nowego.

Wanda Krazyk nacisnęła palcem wskazującym dzwonek alarmowy. W razie niebezpieczeństwa nacisnąć na dzwonek — informowała emaliowana tabliczka o na wpół wytartych literach, przybita gwoździem do szarego szorstkiego muru.

Otwarto okratowanego judasza w ciemnej bramie i ukazała się we wzierniku jakaś twarz. Przylgnęła całym ciałem do bramy.

—Szybko! Proszę otworzyć, proszę pana! To pilne, mój mąż... — mówiła błagalnym głosem.

—Co się dzieje, proszę pani? — zapytał jakiś młody mężczyzna.

Zaszlochła: — Mój mąż... popełnił samobójstwo... gaz...

—Chwileczkę, proszę pani — rzucił głos współczująco. — Proszę się nie ruszać. Poszukam szefa służby.

Judasz pozostał otwarty. Usiłowała coś zobaczyć przez niego. Po drugiej stronie była rzęsiście oświetlona sala. Widziała, jak wyszły z niej dwie sylwetki.

—Szybko, panowie! — jęknęła zrozpaczona.

—Już, już, proszę pani, idziemy — mruknął jakiś inny głos, chyba starszego mężczyzny.

—Dobra, proszę powiedzieć nam, co się dzieje? — zapytał, podchodząc do bramy.

—Mój mąż... popełnił samobójstwo otwierając gaz. Chodźcie szybko... — błagała.

— Wezwała pani policję?

— Nie. Przybiegłam od razu tutaj. Mieszkam o dwa kroki stąd. Po-myślałam... — przerwała, jakby zagubiona. Skrzyżowała ręce na okratowaniu judasza. — Och! Proszę pana, pomóżcie mi! Błagam was! Nie wiem co robić... Być może on jeszcze nie umarł. Nie wiem... Jest ciepły... — Zaczęła płakać wciąż pociągając nosem. — Proszę mi pomóc, proszę pana... Bardzo pana proszę...

— Dobrze — zrzędził nieco mrukliwy głos. — Otworzymy pani i zobaczymy, co można zrobić. Ale to nie jest całkiem legalne. Powinna pani natychmiast wezwać policję.

Judasz szczęknął i drzwi otworzyły się straszliwie skrzypiąc.

Harry Shulz i Dan O'Malley skoczyli pierwsi, a za nimi podążyli Helmut Dorff, Michel Corvet i Louis Suttot. Wanda Krazyk uskoczyła w bok, aby zrobić im przejście.

— Nie ruszajcie się — rozkazał oschle Harry skierowując lufę swego P-38 na gardło mężczyzny.

O'Malley i Suttot otoczyli ciasno młodszego z nich.

— Hej!... Co to ma znaczyć? — zaprotestował niewyraźnie ten drugi.

— Zamknijcie się.

Poprowadzili obu mężczyzn ku rzęsiście oświetlonej sali. Wanda wsiadła z powrotem do samochodu, którym jechali. Zapaliła papierosa. Nie powinna czekać zbyt długo.

W izbie dla służby dwóch ludzi w mundurach strażaków głośno rozmawiało, oczekując powrotu partnerów w grze w belotę. Karty były już rozdane, a atut wyłożony. Butelki piwa zostały odkorkowane i stały na stole, przykrytym jakimś poplamionym obrusem. Stały na nim popielniczki wypełnione brunatnymi niedopałkami papierosów.

Na wpół powstał z krzeseł widząc wchodzącą grupę. Ich twarze wyrażały całkowite zaskoczenie, ale widok pistoletu maszynowego trzymanego przez Dana O'Malleya spowodował, że natychmiast usiedli.

— Nie ruszajcie się, a nic złego wam się nie przytrafi — rzucił Harry stanowczo. — Jeżeli nie posłuchacie mnie, strzelamy.

Szybko rozejrzał się po pomieszczeniu. W głębi, wzdłuż ściany stał rząd skórzanych butów. Na wieszakach przymocowanych do ściany wisiały hełmy, skórzane kurtki i spodnie z sukna. Na każdej parze butów leżał gruby, czarny pas ze złożonymi karabinczykami. W suficie widniał szeroki wąż. Otwór był ponury, nie ujawniający niczego w izbie usytuowanej powyżej pomieszczenia strażaków. Cienki słup koloru kości słoniowej, gładki i śliski niczym jakiś słup szczęścia, wynurzał się z ciemności wjazdu i zagłębiał się w stropie.

Harry odwrócił się w kierunku strażaka, który na razie był mu posłuszny i który, z racji swego wieku i naszywek na ramieniu, był prawdopodobnie dowódcą posterunku.

— Do czego służy ten słup? — zapytał.

— Kiedy jest alarm — wyjaśnił strażak ponurym głosem — włącza się syrenę, tam za stołem. Syrena łączy się z sypialnią nocnego oddziału. Budzą się szybko i zjawiają się tutaj ześlizgując się po słupie, aby zyskać na czasie. Również by zyskać na czasie, udziela się im instrukcji, podczas gdy oni się ubierają.

— Gdzie jest sypialnia?

— Na górze.

— Dokładnie nad tą salą?

— Nie. Trochę dalej.

—Dokąd prowadzi ten właz?

—Na korytarz, który z kolei prowadzi do sypialni.

—Dobrze. Podsumujmy. Jeśli nikt nie uruchomi syreny, oddział nocny śpi aż do rana?

—Tak, jeżeli w nocy nie ma alarmu.

—Dobrze. Kto spośród was czterech potrafi manewrować samochodem, który wyposażony jest w drabinę teleskopową?

Szef wydawał się być zdziwiony.

—Wszyscy — odparł wyniośle. — To jest część programu szkolenia podstawowego.

—Doskonale — pochwalił Szulz z uśmiechem. — Pożyczymy jeden z waszych samochodów. Nie obawiajcie się, zwrócimy go — dorzucił ironicznie. — Pokażecie nam, jak tym się posługiwać, zwłaszcza wielką drabiną. Ty, szefie, będziesz instruktorem. — Dał znak Louisowi i Danowi. — Zabierzcie go. Niech pokaże, gdzie są ich pojazdy i wytłumaczy wam, jak je obsługiwać.

Spojrzał twardo na szefa strażaków.

—Tylko bez kawałów. Jest tutaj jeszcze trzech facetów, którzy nie mają ochoty umierać tak młodo...

Potem odwrócił się do Dana: — Daj mi broń i podaj tasak.

Chwycił pistolet maszynowy, który wręczył mu O'Malley, i schował do kabury walthera. Zaczekał, aż trzech mężczyźni opuścili izbę i wycelował lufę w stronę trzech młodych strażaków, którzy byli mocno przerażeni.

—Okay, chłopaki, nie musicie drzeć niczym dorastające dziewczynki. Nie stanie się wam nic złego, jeżeli wasz szef będzie zachowywał się rozsądnie. Na razie zwiążemy was. Będziecie grzeczni, co?

Michel Corvet rozwinął sznur, który zabrał ze sobą, i spętał ich solidnie, związując razem.

—Kneble! — rozkazał Szulz.

Na etażerce poniewierały się brudne szmaty. Corvet wepchnął je jako kneble w usta strażakom i przymocował przyklepcem. Zawiązał im także oczy. Kiedy skończył, razem z Harrym i Helmutem Dorffem podeszli do ubrań strażaków. Znalezienie czegoś w ich rozmiarach zajęło im dobre dziesięć minut. Na koniec włożyli buty i kaski. Zapinali pasy, kiedy ukazali się znowu Dan O'Malley i Louis Suttot, pchając przed sobą szefa strażaków.

—I jak? — zapytał Harry.

—Wiemy już wszystko, co trzeba — zapewnił Louis Suttot. — Zresztą gablota stoi gotowa na dole.

—A drabina?

—To nie jest aż tak skomplikowane — wtrącił Dan O'Malley. — Będzie działało.

—Jesteście pewni? — nie ustępował Harry.

—Tak — potwierdził Kanadyjczyk.

—Okay. A on był spokojny? — wskazał na szefa.

—Grzeczny jak aniołek — zaśmiał się szyderczo Louis Suttot.

—Dobrze. Niech dołączy do kolegów...

Michel Corvet potraktował podoficera tak samo jak jego podwładnych, podczas gdy Dan O'Malley i Louis Suttot wkładali na siebie stroje strażaków.

Kiedy byli gotowi, Corvet kończył zamykać szefa. Naciągnęli maski na twarze. Obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem swoich towarzyszy, Harry rzucił krótko:

—Okay. Idziemy tam.

Helmut Dorff schował do kieszeni nożyce, których użył do przecięcia przewodów różnych systemów alarmowych na ścianie przy drzwiach wejściowych, i podążył za innymi do wyjścia.

Louis Stuttot, który założył na odwrotną stronę swojej kurtki naszywki odebrane szefowi strażaków, usadowił się za kierownicą. Obok siadł Harry, podczas gdy Helmut Dorff i Michel Corvet zajęli miejsca na tylnej platformie. Dan O'Malley otworzył olbrzymią bramę i zamknął ją po przejeździe ciężarówki. Dogonił ją w biegu, skoczył na stopień i usadowił się obok Harry'ego. Wanda Krazyk natychmiast włączyła silnik peugeota.

ROZDZIAŁ XVI

Na bulwarze Mortier pojazdy, w większości ciężarówki, płynęły nieprzerwanym strumieniem. Ale zgiełk ruchu ulicznego, kiedy docierał do pokoju, był jedynie pluskiem fali, tłumionym przez podwójne okna. Znając dziwactwa mieszkających tu ludzi, podpułkownik Courcelles starał się usilnie nie zapalać cygara, na które miał ochotę. Cząstka popiołu na wykładzinie dywanowej mogła sprawić, że pułkownik Saint-Ambroise odniesie się do niego w ten pełen dezaprobaty, lodowaty sposób, który zawsze wywoływał u niego zły nastrój. Powściągnął więc swoje usilne pragnienie palenia i przysięgł sobie, że wytrzyma do powrotu do biura.

Szare włosy przycięte tuż przy czaszce, szeroko rozłożone uszy, niczym u jakiegoś słonia, orli nos, nie istniejące wargi i chude policzki upodabniały głowę pułkownika Saint-Ambroise do głowy mnicha— żołnierza. Jego srogiej twarzy nie szpeciły zimne, bladoszare oczy. Kościste palce skrzyżował na piersi, jakby w postawie jakiegoś rozmodlonego mnicha, jego spojrzenie zaś skierowane było w stronę okna. Po chwili, pułkownik Saint-Ambroise przeniósł wzrok na podpułkownika Courcelles.

—Jak pan widzi, ta sprawa nam się nie układa, mój drogi Courcelles. — Ton jego głosu był pełen namaszczenia. — Przystąpiliśmy z dyrektorem do drobiazgowej analizy. Cios mógł pochodzić tylko od mafii amerykańskiej lub podobnej organizacji.

Courcelles potwierdził skinieniem głowy.

—To jest wniosek, do którego doszliśmy — kontynuował Saint- Ambroise.

—Wniosek logiczny — potwierdził Courcelles.

—I wniosek, który prowadzi nas do tego, by wyciągnąć narzucające się samoistnie dalsze wnioski i by skorzystać z sytuacji. Amerykanie poproszą nas o ustosunkowanie się do tej sprawy i należy współpracować z nimi tak, jak to już bywało w przeszłości. Oto wymarzona okazja. Rozpoczynamy operacje na nasz rachunek. Chciałbym w związku z tym zadać panu pytanie. Co pan myśli o technice stosowanej przez zabójców?

Podpułkownik Courcelles, szef 7 sekcji SDECE powszechnie nazywaną Service d'Action, zastanowił się przez kilka sekund.

—Moim zdaniem, wspaniała.

—Chcę zapytać — kontynuował Saint-Ambroise — czy byłoby możliwe i do przyjęcia, byśmy zastosowali te same techniki zabijania?

—To byłoby prawdopodobne i możliwe do przyjęcia. Muszę dodać, że ci, którzy przeprowadzili te różnorodne operacje, nie wyglądałoby na cudaków w mojej sekcji.

—Dobrze — Saint-Ambroise zacierał ręce z zadowolenia. — Kontynuujmy. Zapewne jest kilka niejasnych faktów. Konsjerżka, na przykład, a poza tym goryle Zuccarelliego, chociaż zostanie zdementowane to, że stanowili oni część siatki handlarzy narkotyków. Trudniej będzie wyjaśnić zabójstwo konsjerżki. Wypadek, być może?

—Wierzy pan w to, że Amerykanie będą szukali dziury w całym? — odparował podpułkownik Courcelles.

—Z pewnością nie. Ale musimy przedstawić nieskazitelne dowody — zareplikował pułkownik Saint-Ambroise.

—Konsjerżka to drobny problem. To się zdarza, wie pan. Proszę przypomnieć sobie Zurych. Ci sami Amerykanie, niedawno w Maroku...

—Tak, oczywiście, ma pan rację. Istotnie, nie musimy niepokoić się o ten szczegół. Powiedzmy, że jeśli Amerykanie zaakceptują nasz plan, to nasz udział w operacji zostanie odpowiednio oceniony w Waszyngtonie...

t ■ — U boku CIA, FBI i Biura ds. Narkotyków.

—W rzeczy samej. Naszym zadaniem będzie jedynie współdziałanie z Biurem ds. Narkotyków lub FBI. Ponadto weźmy mały rewanż na tych, którzy nas niesprawiedliwie oskarżyli, ponieważ jedna z ofiar umknęła zamachowi wymierzonemu przeciwko niej i żeby nasza wersja nosiła wszelkie znamiona prawdy, trzeba by i ta ofiara zniknęła. — Jest pan także o tym przekonany, jak przypuszczam?

Courcelles, nieco zdziwiony, ściągnął brwi.

—Dlaczego nie pozostawić dokończenia tej roboty tym, którzy ją zaczęli? Gzy sądzi pan, że zaprzestaną, ponieważ ponieśli pierwszą porażkę? To są niezaprzeczalnie zawodowcy, jeśli wziąć pod uwagę stosowane przez nich techniki zabijania.

—Ma pan rację. Niestety, naprawiając ten pierwszy błąd ryzykuje się co jakiś czas kolejne. Ponadto dysponujemy, bądź co bądź, większymi środkami od nich. My działamy w majestacie prawa. — Roześmiał się krótko. — W końcu, prawie...

Podpułkownik Courcelles nagle zmarszczył brwi.

—To mogłoby stworzyć lukę w naszym rozumowaniu... — zaczął.

—Cóż takiego? — spytał nieco oziębło Saint-Ambroise.

Courcelles westchnął.

—W jaki sposób wytłumaczyć Amerykanom nasze „pudło” co do Massicaud-Vellarda?

—„Pudło” nie ma żadnego znaczenia, jeśli uda nam się po raz drugi — odparł Saint-Ambroise. — Zresztą, w tych okolicznościach pomogła nam osobowość zabójcy. Dezerter z Legii Cudzoziemskiej, eks-OAS, wiec, komandos z Delt. Amerykanie wiedzą, że zrehabilitowaliśmy się w Hiszpanii za naszą Service d'Action. Większość komandosów z oddziałów Delta tam się właśnie schroniła i tam klepała biedę. W tym tkwi nasza wiarygodność. A ludzie, których zastrzelono u Massicaud-Vellarda? To złodzieje, co do których wszyscy winszują sobie, że zginęli. Ponadto proszę nie zapominać, pomimo tych skaz, których nie udało się uniknąć, o wspnianych nazwiskach — Boghossian, Vallain i Loraygon.

Courcelles pokiwał głową z uznaniem.

— Wyrazy głębokiego uszanowania — pochwalił. — Dobrze. Wróćmy do naszej sprawy. Jest nie do pomyślenia, aby przydarzyła się druga porażka w odniesieniu do Massicaud-Vellarda. Niestety, pomimo profesjonalizmu zabójców taką ewentualność musimy brać pod uwagę. Dyrektor ma pełną świadomość tego i polecił mi uczynić pana odpowiedzialnym za tę sprawę. — Uśmiechnął się życzliwie, jak ojciec do syna, kiedy ofiarowuje mu bożonarodzeniowy podarek.

— Muszę powiedzieć, to zadanie będę wykonywał z satysfakcją, ponieważ Massicaud-Vellard jest autorem potwarzy, której staliśmy się ofiarami.

Courcelles uśmiechnął się z miną współwinowajcy.

— To rzeczywiście może sprawić nam dużo radości.

Saint-Ambroise znowu spowaźniał.

— Nie bez znaczenia jest szczegół, który zdaje się przeoczyłem: misję należy wykonać następnej nocy. Dyrektor nalega na to. Zna go pan, nie lubi, aby sprawy ciągnęły się zbyt długo.

Courcelles spojrzął na zegarek.

— Będziemy mieli trochę za mało czasu — stwierdził.

— Wiem — ocenił Saint-Ambroise — ale to rozkaz.

— Dobrze. Zatelefonuję niezwłocznie do Sercotte'a, aby zmontować oddział.

— Otóż to. Ja natomiast przygotowuję teren, aby ułatwić realizację misji. Czy zdecydował się już pan na wybór sposobu wykonania zadania?

— Dyrektywa 4 to wciąż najlepsza metoda, jeśli bierze się pod uwagę to, jak niewiele mamy czasu a poza tym okoliczności...

— Dyrektywa 4 wydaje mi się istotnie znakomita. Pozostaniemy w kontakcie. Zjem kolację między 8.00 a 9.00, ale potem wrócę tutaj.

Courcelles wstał. — Zgoda. Moje uszanowanie, pułkowniku. — Podali sobie ręce i Courcelles opuścił pokój.

Na korytarzu pułkownik Courcelles pośpiesznie zapalił jedno ze swych cygar, którym zaciągnął się z rozkoszą. Potem wielkimi krokami skierował się do centrum łączności, które mieściło się dwa piętra niżej.

Wieczór zapowiada się interesująco — stwierdził. Od jakiegoś czasu brakowało mu tego.

Nocą ulica La Perouse jest jedną z najciemniejszych ulic Paryża, równie ciemną jak uliczka du Moyen Age. To idealna droga dla kierowcy, który szuka miejsca, by zaparkować na noc samochód. Jest tu dużo miejsca. Niewiele rezydencji. Jest tu budynek poczty, filia Ministerstwa Sprawiedliwości, urzędy, towarzystwa ubezpieczeniowe. Wszystkie budynki są zamknięte i ciemne od chwili zamknięcia biur.

Louis Suttot zręcznie zaparkował pojazd strażacki w miejscu, które wskazał mu Harry Shulz. Kilka metrów za nimi Wanda Krazyk zatrzymała peugeota. Nieco dalej, prawie na rogu ulicy du Belloy, znajdował się samochód, którym mieli uciekać po akcji. Był to renault, zaparkowany tam wczesnym wieczorem.

Harry szedł na chodnik i unosząc głowę wpatrywał się w ciemność otaczającą wysokie budynki. Oparł się łokciami o drzwi i powiedział do Louisa Suttota:

— Teraz ty i Dan pokażecie, co potraficie.

Potem, wciąż oparty o drzwi, patrzył na ich pracę. Wskazówki szefa straży pożarnej przyniosły owoce. Z dużą zręcznością Dan O'Malley manewrował kołowrotem, podczas gdy Louis Suttot obrócił drabinę w kierunku wskazanym przez Harry'ego. Bez hałasu. drabina wyłoniła się ze swej wnęki i powoli unosiła się w powietrze, pod czujnym okiem Helmuta Dorffa, Wandy Krazyk i Michela Corveta, którzy stali na chodniku,

Nie było słyhać żadnego zgrzytu.

Ci strażacy znają swoją robotę — pomyślał Harry.

Podniósł głowę i spojrzał ostrożnie na koniec drabiny, który prawie dosięgał trzeciego piętra. Ręką dał znak Louisowi, aby skierować ją bliżej ściany budynku. Ulica była zupełnie pusta. Od ich przyjazdu nie pokazał się ani jeden samochód. Ani jednego przechodnia. Zupełny spokój. Nadal sprzyjało im szczęście. Mowy nie ma, aby tym razem operacja się nie powiodła!

Wprawił wszystko w ruch. Massieaud Wellard nie wyrwie się stąd żywy: Był skazańcem. Drabina ocierała się o mur. Wściekły, odwrócił się do Louisa Suttota,

— Na miłość boską, chcesz obudzić całą dzielnicę?

— Te nie-jest takie łatwe — usprawiedliwił się Suttot. Na górze nic nie widać. A poza tym, powiedzmy sobie szczerze, strażak to nie mój zawód.

— Dobra. Teraz delikatnie. Jeszcze trochę... tam,, stop,,. nie ruszaj więcej. Jak blokuje się tę drabinę?

— Tak... tam,, te hamulce...

— A więc zablokuj je gruntownie...

Zaczekał aż Louis skończył.

— Okay. Zrobimy tak, jak ustaliliśmy. Louis zostanie tutaj a Wandą.. Michel stanie na środku drabiny, jeśli coś pójdzie nie tak, z jednej czy z drugiej strony, interweniujesz.

Umyślnie zostawił dwóch Francuzów z tyłu. Strażacy mówiący po francusku z akcentem amerykańskim, niemieckim czy kanadyjskim mogliby okazać się wysoce podejrzani w razie pojawienia się policji. Był już w połowie drabiny, a za nim Helmut Dorff i Dan O'Malley, kiedy nagle spostrzegł migające światło na dachu jakiegoś policyjnego samochodu zbliżającego się z wielką prędkością z avenue d'Iena.

Zesztywniał. Za plecami usłyszał, jak Helmut Dorff klnie po niemiecku: — Gott ver damm mich... Die Schweinehunde...

Wszyscy trzej znieruchomieli i zaniepokojeni spoglądali w ciemne okna, które dzieliło od nich jedynie dziesięć metrów. Piszcząc hamulcami samochód policyjny zatrzymał się obok wozu strażackiego. Trzech czy czterech gliniarzy wyprysnęło z niego gwałtownie. Jeden z nich trzymał w ręku pistolet maszynowy.

Louis Suttot i Michel Corvet stanęli nieruchomo na chodniku, niczym dwa posągi. Wanda Krazyk była kilka metrów za nimi. Ten, który wydawał się być szefem gliniarzy, podniósł głowę ku drabinie i trzem ludziom, którzy wdrapali się na górę. Obserwował ich przez chwilę, potem przeniósł ciężkie spojrzenie na Michela Corveta i Louisa Suttota.

— Co się dzieje? — spytał oschłym tonem.

Louis Suttot postąpił krok naprzód.

— Adiutant Corbier — przedstawił się. — Otrzymałem polecenie pomocy jakiemuś samobójcy.

— Samobójcy? — powtórzył tamten zdziwiony. — Gdzie?

— W tym budynku — pokazał Louis Suttot ręką.

— Dlaczego nie wchodzić przez drzwi wejściowe?

— To ta paniusia, tam...

Wanda Krazyk podeszła do grupy szlochając.

— To jej mąż... Znalazła zatrzaśnięte drzwi... woń gazu...

— I list... — popłakiwała Wanda Krazyk.

— Ach! tak... list... — dorzucił Louis Suttot pośpiesznie. — List pod drzwiami, który zawiadamiał o samobójstwie. Niemożliwe było otwarcie drzwi, więc przybiegła nas uprzedzić. I kapitan natychmiast wysłał mnie.

— List pod drzwiami? To ciekawe i raczej niespotykane. Zawiadomił pan policję?

— To, brygadierze, nie moja rola. Ale myślę, że kapitan powinien był to zrobić. To on zazwyczaj zajmuje się tym.

— To wszystko jest niezgodne z regulaminem. Strażacy nie mogą interweniować bez obecności policji.

— Dobrze wiem, brygadierze — przyznał pokornie Louis Suttot. — Myśleliśmy, że znajdziemy was tutaj. Zawsze tak się dzieje. Jesteście od nas szybsi. Zwykle jesteście pierwsi na pozycjach. Zawsze się zastanawiano jak to robicie, by przybyć tak szybko.

Brygadier policji był wrażliwy na pochlebstwo. Ton jego głosu złagodniał:

— Dobrze. Mimo wszystko to nie wygląda zbyt groźnie. Trzeba porozumieć się z centralą, aby dowiedzieć się, czy było wezwanie z waszych koszar.

— Otóż to, wyjaśnijcie to — zgodził się Louis Suttot, swobodnym tonem, jak gdyby cała ta procedura wydawała mu się błaha i bez znaczenia.

— Besson, wezwij centralę — rozkazał brygadier odwracając się do samochodu.

— Ależ brygadierze, powiedzą że pod numerem 27, w tej budzie... — interweniował gliniarz, który trzymał w dłoni pistolet maszynowy.

— Co takiego?

Brygadier wykonał obrót dookoła własnej osi. Harry stojąc na drabinie, poczuł zimny pot, który łechtał mu niemile kręgosłup. Sprawy przybrały zły obrót. Przez chwilę uwierzył, że Louis Suttot, który grał perfekcyjnie swoją rolę, mógłby ich oszukać. Po co ten młodzieniaszek — glina się wtrąca? Chce się stać sławny? Jego prawa dłoń puściła żerdź drabiny i zanurkowała do kieszeni skórzanej marynarki, ściskając P 38. Zobaczył Dana O'Malley'a i Helmuta Dorffa wykonujących dyskretnie ten sam manewr. Na chodniku Michel Corvet założył wąż do wozu strażackiego. Louis Suttot zawahał się czy dotrzymać mu towarzystwa. Kątem oka dostrzegł, że Corvet oddala się.

W wozie policyjnym radio trzeszczało.

— Halo, centrala, halo, centrala... Tu wóz patrolowy. Tango Alfa... Tak... Co takiego? — Nie. Nic się nie działo na rue Gaillee. Fałszywy alarm. Bez wątplenia jakiś żartowniś. Jesteśmy na ulicy La Perouse. Brygadier Favet chce z wami mówić. Halo, centrala? Nie odkładajcie słuchawki, psiakrew!... Halo, centrala, słyszycie mnie? Brygadier chce z wami mówić.

— To naprawdę jest budynek 27! — wykrzyknął podoficer policji.

— Hej! brygadierze! — Jakiś ochrypły głos dochodził z samochodu.

— Centrala...

—Zapytajcie ich, czy ktoś wzywał strażaków z koszar.

Potem, odwracając się do Louisa Suttota powiedział:

—Ależ ta pańska historia jest dziwna. Ten budynek ma numer 27.

—I co z tego? — zareplikował Louis Suttot impertynencko.

—Hm... no cóż! Budynek 27 to ten, w którym dziś rano miał miejsce zamach!

—Cóż to nas obchodzi? Mamy robotę do wykonania i chwilowo przeszkadzacie nam w tym. — Jego ton był coraz bardziej impertynencki.

—Hej! brygadierze — krzyknął ochryply głos dochodzący z samochodu — Centrala mówi, że nie było wezwania z koszar strażaków.

Wszyscy trzej na drabinie znieruchomieli, gotowi otworzyć ogień. Nie pójdzie im łatwo z gliną, który ma pistolet maszynowy — zaniepokoił się Shulz.

Na dole, na chodniku, Suttot zdecydował niespodziewanie, że najlepszym sposobem na to, by z tego wyjść cało, było zwymyślać gliniarzy. Udał gwałtowne rozdrażnienie.

—Do cholery czy nie pozwolicie wykonać nam naszej roboty? Nie spędzimy chyba tutaj, mimo wszystko całej nocy, zastanawiając się czy to jest budynek nr 26, 24 czy też 22 lub czy było wezwanie z naszych koszar, czy nie...

—Niech się pan uspokoi! — rozkazał oschle brygadier policji, który nie wyglądał na zadowolonego, gdy się przeciwstawiano mu. — Najpierw, niech mi pan powie, co robicie w tej dzielnicy z tą drabiną?

—Powiedziałem już panu — odparł Louis Suttot przybierając znudzony wyraz twarzy. — Nie można przejść przez drzwi wejściowe, więc wchodzimy tyłem. To ta paniusia tutaj wskazała nam okno łazienki.

Brygadier uniósł ponownie głowę ku ciemnej bryle budynku. Zastanawiał się przez kilka sekund, potem odwrócił się do młodego gliniarza z pistoletem maszynowym.

—Renard, przypominasz sobie, na którym piętrze to się zdarzyło?

—To było na piątym, brygadierze — zapewnił go tamten rozstrzygającym tonem.

Harry odetchnął z ulgą. Ten glina wskazał mu częściowo położenie.

—Dobrze — rzucił z żalem brygadier — kontynuujcie robotę. Adiutancie, my pójdziemy przesłuchać panią, — Wskazał palcem Wandę Krazyk. — Proszę pani, pani pozwoli...

—Najwyższy czas — warknął Louis Suttot — abyście w końcu pozwolili nam działać. Jeśli w ogóle mąż tej pani jeszcze żył, kiedy tutaj przyjechaliśmy, stracił szansę życia obecnie...

—Och! Mój Boże!

Wanda Krazyk potknęła się i osunęła w ramiona brygadiera, który, zdziwiony, nie mógł jej utrzymać i ześlizgnęła się na ziemię.

—Dobry Boże! Zrobił pan piękną robotę, brygadierze — oburzył się Louis Suttot.

Brygadier wydawał się być w najwyższym stopniu zmartwiony. Dwaj agenci pochylili się i podnieśli Wandę Krazyk. Podczas gdy obaj ją podtrzymywali, Louis Suttot dotknął jej twarzy. Wyglądała, jak kobieta która straciła przytomność.

Niezła komediantka — pomyślał z podziwem. Udając wściekłość, odwrócił się do brygadiera: — Brawo! Udało się wam jako policji, ale nie jako pogotowiu ratunkowemu...

—Potrzebował pan potwierdzenia, że jej mąż mógł już nie żyć? — zareplikował tamten logicznie.

—Co robimy, brygadierze? — wmieszał się jeden z agentów.

—Przewieźcie ją szybko do szpitala — zasugerował Louis Suttot. — W stanie, w jakim się znajduje, niemożliwe jest, żeby zobaczyła swego męża, kiedy go odnajdziemy.

—To jasne — potwierdził brygadier.

Dwóch stróżów prawa natychmiast zabrało Wandę Krazyk do samochodu, podczas gdy dwóch ich kolegów gorączkowo rozłożyło nosze.

—Bichat czy Boucicaut, brygadierze? — zapytał kierowca, wychylając głowę przez drzwiczki.

—Bichat. To pójdzie znacznie szybciej. Ja zostaję tutaj z Renardem. Trzeba im pomóc — dodał pod adresem Louisa Suttot. Ten ostatni zadowolił się wzruszeniem ramion. Zrobiwszy półobrót, pomachał kciukiem do Harry'ego Shulza.

—Do roboty, chłopcy! — krzyknął.

Za plecami usłyszał, jak wóz policyjny ruszył z miejsca, włączając sygnalizację dźwiękową.

Na górze Shulz, O'Malley i Dorff podjęli swój marsz ku górze. Odwróciwszy się ujrzał młodego gliniarza obiema rękami ściskającego pistolet maszynowy i przyglądającego się podejrzliwie...

ROZDZIAŁ XVII

—Zaczekać jeszcze szesnaście minut — stwierdził po prostu kapitan Chaugat, spoglądając na zegarek.

Siedzący na przednim siedzeniu obok niego sierżant Cerier, zwany „Karate”, bębnił machinalnie palcami w tablicę rozdzielczą, cały czas pogwizdując. Cerier miał w życiu tylko dwie pasje: karate i muzykę pop. W każdą niedzielę, kiedy nie był na służbie, grał na perkusji w orkiestrach na zabawach ludowych, w miasteczkach sąsiadujących z jego bazą w Indre. Robił to nie dla pieniędzy, lecz jedynie dla przyjemności. Był fanatykiem rhythm and bluesa. Natomiast w karate mógł mu dorównać jedynie Buffalo. Obecnie Buffalo (adiutant szefa Sánchez) zajmował prawie całe tylne siedzenie, spychając swoimi stu dwudziestoma pięcioma kilogramami żywej wagi prawie na same drzwi biednego Kerveneca, który nie mógł nic na to poradzić. „Baraka” — tak nazywano Kerveneca. Mieć „barakę” to mieć szansę. Kervenec był dobry we wszystkim. W strzelaniu z broni palnej, w walce na pięści, w karate. Jego współczynnik inteligencji był dość niski. Jedynie odwaga fizyczna była jego atutem. Dziesiątki razy wydawał się być skończony w bazie, ale za każdym razem dowódca misji interweniował na jego korzyść, ponieważ Kervenec posiadał bezcenną zaletę. Jego uczestnictwo w operacji gwarantowało sukces. Gdziekolwiek by się nie pojawił, efekty były znakomite. Najbardziej gówniane uderzenia przynosiły skutek. Operacje, z góry skazane na niepowodzenie, cudownie zamieniały się w zwycięstwo. Należało przyznać, że nie próżnował. Kiedy mu gratulowano, uśmiechał się nieco bojaźliwie i zadowalał się akceptowaniem kolejek, które w kasynie stawiali mu wspaniałomyślnie podoficerowie.

Miał tak niesłychane szczęście, że byłoby nietaktem nie akceptować go. Była jednak dziedzina, w której Kervenecowi szczęście nie dopisało: małżeństwo. Powszechnie było

wiadomo, że Chantal Kervenec miała bardzo elastyczną zdolność pojmowania wierności małżeńskiej... Ale ponieważ jej wybryki nie wpływały na sukcesy Kerveneca w służbie, nikt się tym nie martwił. Dowódcy misji, którzy w większości byli głęboko przesądni, chcieli mieć Kerveneca w swoim oddziale. A jeśli tak się zdarzyło, że Kervenec był zajęty, grupa, która przygotowywała się do jakiejś operacji, wpadała w popłoch, a to z kolei powodowało, że wątpiono w pomyślny rezultat tejże operacji.

Chaugat poczuł, jak Buffalo przesunął się na tylnym siedzeniu. Citroen DS cały zadrżał.

—Uspokój się — jęknął Baraka. — Zgniataasz mnie.

—Całkiem zeszytywniały mi stawy — poskarżył się olbrzym.

—Następnym razem zabierzemy go w dwudziestotonowej ciężarówce — zażartował Karate.

—Jeśli kiedyś mnie udusisz, to co stanie się z operacją?... Na pewno się nie uda... — zasugerował Baraka sadyistycznie.

Trzech pozostałych pasażerów samochodu poczuło lodowate dreszcze słysząc o możliwej przecież katastrofie.

—Pozwól mi dotknąć twoich pleców! — wrzasnął Buffalo, odwracając się nagle do Kerveneca.

—Cóż! Nie jestem garbaty — zaprotestował tamten.

—A więc zamknij się albo przyniesiesz nam pecha.

Karate odszczeknął:

—Buffalo, nie wypowiadaj tego słowa, proszę cię... — Był równie przesądny jak gracz w pokera.

—Zamknijcie się! — uciał krótko kapitan Chaugat. — Ryzykujemy, że zostaniemy wykryci przed czasem.

Zapalił gauloise'a. Kiedy papieros wypali się całkowicie, będzie to w przybliżeniu godzina „H” — pomyślał.

Harry zbliżył się do oszklonej tablicy. Uniósł rękę i dotknął jej. Szkło było tłuste i pokryte sadzą. Służba nie myła zbyt często okien — pomyślał z odrazą.

Wdrapał się o dwa szczeble wyżej i znalazł się na wprost lufcika. Był bardzo szeroki i człowiek bez trudu mógł przejść przezeń. Zauważył to już rano. Zmusił się, by zupełnie nie zwracać uwagi na dwa manekiny w mundurach, stojące na chodniku w towarzystwie Louisa Suttota i Michela Corveta.

Poszperał w kieszeniach i wyjął diament, który położył na obrzeżu lufcika. Następnie oparł się wygodniej na drabinie, chwycił diament i wywierając nim silny nacisk na szkło przesunął narzędzie po kontuarze lufcika. Diament zgrzytał złowieszczo, a on miał wrażenie, że sprowokuje wewnątrz apartamentu piekielny harmider.

Gliny na chodniku musiały również to słyszeć i bez wątpienia zastanawiały się nad powodem, dla którego Harry nie zadowolił się, tak po prostu, wybiciem szyby. Ci strażacy mieli dosyć ortodoksyjne metody, które dziwnie przypominały te, jakimi posługują się włamywacze.

Sprawnie przykleił do szyby przyssawkę z kauczuku i pociągnął. Z trzaskiem, podobnym do detonacji, szkło pękło wzdłuż nacięcia. Nadzwyczaj ostrożnie, przytrzymując szybę ramionami, podał ją Helmutowi Dorffowi.

Rękawiczki chroniły dłonie przed ostrymi krawędziami szkła. Prześliznął się na brzuchu przez lufcik i wczołgał się do środka. Kask, marynarka i ciężkie buty mocno krępowały ruchy.

Harry zawisł w ciemnym pomieszczeniu i badał po omacku przestrzeń wokół siebie. Po chwili dotknął ręką pokrywy spłuczki. Wyczuł, że była solidnie przymocowana. Chwycił ją obiema rękami i przesunął się do wnętrza. Stopami oparł się o muszlę klozetową i zeskoczył na podłogę.

— Helmut! — zawołał cicho.

W lufciku ukazała się głowa Niemca. Harry odebrał od niego wyciętą szybę i postawił przy ścianie obok muszli. Z pomocą Harry'ego Helmut Dorff wśliznął się do toalety. Po chwili to samo zrobił Dan O'Malley. Potem, Harry przekreślił wyłącznik i w pomieszczeniu rozbłysło światło, oślepiając ich przez kilka sekund. Gdyby pozostali w ciemnościach, mogłoby to wydać się podejrzane glinom, którzy stali na chodniku. Jak na komendę, wszyscy trzej wyciągnęli broń ukrytą w skórzanych ubraniach. Helmut Dorff i Dan O'Malley ruszyli do drzwi.

Harry powstrzymał ich ruchem dłoni.

— Zaczekajmy dwie minuty — wyszeptał.

Zbyt niebezpieczne jest otwieranie drzwi i wychodzenie z oświetlonego pomieszczenia — pomyślał. Zaczekam dwie minuty i zgaszę światło. To także może się wydać podejrzane dla obu glin, ale trudno. Upewnił się, że Helmut Dorff i Dan O'Malley założyli tłumiki na lufy rewolwerów. Tym razem Niemiec nie mógł posłużyć się swoim cygarem ze sprężyną lub innym z gadżetów, których sekrety działania znał doskonale.

Jeśli będą mieli trochę szczęścia, mogą wykonać kontrakt, oszukać gliny i ulotnić się — pomyślał i sięgnął do przełącznika.

— Zgasili światło — zauważył ze zdziwieniem brygadier.

— To dla oszczędności — zachichotał młody gliniarz z pistoletem maszynowym.

— Bardzo dowcipne, Renard — mruknął pod nosem brygadier.

Louis Suttot utrzymywał bezpieczną odległość. Niedbale oddalił się od obu policjantów. Dyskretnie poradził Michelowi, aby zrobił to samo... Tamten zresztą był oparty plecami o pompę wozu strażackiego. Z rękami w kieszeniach i zadartym do góry nosem wyglądał bez troski. W rzeczywistości nie przestawał obserwować policjantów i był przygotowany na każdą ewentualność.

Louis Suttot uruchomił mechanizm obrotowy drabiny, aby uniknąć znalezienia się w zasięgu strzału pistoletu maszynowego. Nie wiadomo w jaki sposób to obrócić tam wyżej — pomyślał.

— Po co wycinali szybę? — zapytał brygadier podejrzliwie, odwracając się do Louisa Suttota.

— Rozkazy — mruknął tamten.

— To coś nowego, no nie?

— Tak... Cywile protestowali przeciwko temu. A więc strażacy otrzymali odpowiednie rozkazy.

— Dlaczego protestowali?

— Bo niszczone kafelki. Niektórzy nawet wystąpili o odszkodowanie.

— I mieli rację — skomentował młody gliniarz ze śmiechem.

Brygadier zachował powagę.

— Mimo wszystko nie opuszcza mnie myśl, że cała ta historia jest dziwna — mruknął zamyśloni. — Ano, sprawdzimy potem na posterunku...

Zrobił kilka kroków po chodniku, spojrzał na ciemny budynek i pokiwał głową, ciągle mało przekonany.

Michel Corvet obserwował tę scenę z zainteresowaniem. Oceniał ją okiem znawcy. Jak na paryskiego ulicznika, Louis Suttot poradził sobie perfekcyjnie. Był mocno przejęty swoją nową rolą.

Brygadier wałęsał się po chodniku mamrocząc niezrozumiałe słowa. Ominął samochód strażacki, lecz po chwili wrócił tą samą drogą i nagle przystanął.

— Ej! A cóż to takiego? — Wskazał na tył wozu.

Michel Corvet cały wyprężył się.

— O co chodzi? — spytał Suttot spokojnie.

— Tabliczka!

— Tabliczka? — powtórzył Suttot drwiącym tonem. — Co tabliczka? Czy nie podoba się panu nasza tabliczka?

— Kpicie sobie ze mnie? — wrzasnął brygadier. — Wasza tabliczka mówi, że należycie do remizy z ulicy Faidherbe, w XII Dzielnicy... Co robicie tutaj, w XVI Dzielnicy? Czyżby nie było tutaj remizy?

Posuwali się cicho korytarzem równie ciemnym jak jakiś tunel. Gruby dywan tłumiał ich kroki. W końcu korytarza przez szparę u dołu drzwi sączył się promień światła, a za drzwiami jakieś niewyraźne głosy wiodły ożywioną konwersację. W korytarzu unosił się nieokreślony zapach lekarstwa, drażniący nozdrza niczym dym z płonącego wilgotnego drewna.

Harry położył dłoń na klamce drzwi, wsparł się o nie i otworzył gwałtownie. Wszyscy trzej wpadli do pokoju.

W fotelach wokół niskiego stolika przeciążonego butelkami, szklankami i popielniczkami wypełnionymi po brzegi niedopałkami papierosów siedziało pół tuzina mężczyzn. Na wykładzinie dywanowej poniewierały się karty i plastikowe żetony. Ku żyrandolowi zwisającemu z sufitu wznosiła się spiralnie gęsta chmura dymu. Pomieszczenie było mocno zadymione.

— Niczego nie przeoczyć — rzucił Harry, błyskawicznie skierował swojego P38 w nieznajomych. Helmut Dorff i Dan O'Malley poszli za jego przykładem.

Trzech z mężczyzn, którzy zerwali się na ich widok, zostało wtłoczonych we własne fotele uderzeniami kul.

Ploff... Ploff... Ploff... — rzygnęły tłumiki.

Jeden z mężczyzn desperacko chwycił niski stół i podniósłszy go z ziemi, rzucił z całych sił w kierunku Dana O'Malley'a, który pośpiesznie wystrzelił. Stół połamał się na jego ramieniu. Uderzenie sprawiło, że kula chybiła i pod wpływem bólu O'Malley wypuścił broń. Niczym pocisk artyleryjski głowa mężczyzny uderzyła w podbrzusze O'Malleya i Kanadyjczyk opadł na ziemię.

Helmut Dorff podziurawił kulami fotel, w którym chwilę wcześniej siedział facet leżący teraz plackiem na ziemi.

To był nadzwyczajny wyczyn, który zaskoczył Dorffa. Trzeci z pozostałych przy życiu mężczyzn uskoczył w bok w chwili, gdy Harry go zobaczył. Gdy padał na podłogę, chwycił rewolwer Dana O'Malley'a i natychmiast wystrzelił. Pierwsza kula była przeznaczona dla Helmuta Dorffa. Druga również. Niemiec zachwiał się. Wydawało się, że zaraz zwymiotuje i jak podcięty potoczył się na wywrócony fotel. Harry wycelował w jego kierunku broń. Mężczyzna również mierzył w jego stronę. Harry był szybszy. Niczym marionetka, która rozpada się na kawałki, mężczyzna opadł ciężko na wykładzinę, brudząc ją krwią.

Dan O'Malley toczył zapaśniczy pojedynek z wrogiem, który wyglądał jak specjalista od wolnoamerykanki. Miał monstrualne ramiona i tors, nogi — przeciwnie — były dość wątłe. Dwa ciała były tak ze sobą splątane, że Harry nie mógł strzelać nie ryzykując trafienia Kanadyjczyka. Zdecydował się zająć drugim z pozostałych przy życiu. Dan O'Malley był na tyle dużym chłopcem, że mógł poradzić sobie sam.

Nagle, niczym rozrywająca się zasłona, trzasnęła seria strzałów.

Harry poczuł ukąszenie kul, najpierw na prawym udzie, a zaraz potem na lewym biodrze.

Facet strzela z dołu do góry! z lewej na prawą stronę! — pomyślał odruchowo.

Odkoczył do tyłu i oparł się plecami o futrynę drzwi. Pośpiesznie wycofał się na korytarz. Pistolet maszynowy umilkł. Pole widzenia strzelca ukrytego za fotelem było, siłą rzeczy, ograniczone. W ciszy, która nastąpiła, usłyszał straszliwy hałas. Zajrzał przez dziurkę od klucza.

Dan O'Malley leżał jak długi na wykładzinie dywanowej. Jego zwycięzca podnosił się z trudem. Widząc nienaturalnie skręconą głowę O'Malley'a, Harry wiedział, że Kanadyjczyk miał zdruzgotane kręgi szyjne. Specjalista od wolnoamerykanki podniósł rewolwer poniewierający się na podłodze. Harry skorzystał z tego, aby wysunąć przez drzwi lufę swojej broni, ale nie miał czasu nacisnąć spustu. Druga seria strzałów sypnęła mu w twarz kawałkami futryny drzwi. Wielka drzazga utkwiała w jego policzku. Wyrwał ją nie czując nawet krwi, płynącej z rany, jak i ciepłej wilgoci w spodniach. Kolejna seria strzałów wbiła się w ścianę korytarza, obsypując go kawałkami gipsu i rozbitego szkła.

Przylgnął do przeciwległej ściany.

Sytuacja stała się beznadziejna. Mógł jedynie zaczekać, aby wyszli na korytarz i zabić ich jednego po drugim. Ale po co? Massicaud-Vellard jest już w otoczeniu swoich ochraniarzy. A gliny, które są na posterunku na avenue Kleber, bez wątpienia znowu wrócą, nie licząc tych z ulicy La Perouse, którzy musieli usłyszeć wystrzały i dobiorą się do Corveta i Suttota. Wszystko stracone, pomyślał. Nie warto dać się zabić tutaj. Trąbimy na odwrót. Wyjął z kieszeni ubioru strażaka pełny magazynek, kilka razy wystrzelił, aby udowodnić, że wciąż tutaj jest, i natychmiast zastąpił pusty magazynek pełnym. Potem wycofał się tyłem nie tracąc z pola widzenia oświetlonych drzwi, z bronią wycelowaną przed siebie.

Dobrnął do toalety, kiedy na korytarzu ukazała się jakaś masywna sylwetka. Wystrzelił dwa razy. Sylwetka zniknęła.

W dwóch susach przemierzył toaletę, schował do kieszeni pistolet i znalazł się w ramie okna.

Ostrożnie przecisnął się na zewnątrz i kiedy jego stopy dotknęły szczebli drabiny, opuścił ramę okna.

To jest najtrudniejsza część drogi — pomyślał z obawą. — Jestem wzięty w dwa ognie. Wyżej są goryle Massicaud-Vellarda, którzy z minuty na minutę są coraz bliżej okna, na dole gliny.

Schodził w dół po drabinie tak szybko, jak mu na to pozwalała jej niestabilność. Wpatrywał się w lufcik toalety. W ręce ścisnął pistolet, gotowy strzelać jeśliby pojawiła się obstawa Massicaud-Vellarda. Utrudniało mu to ruchy i zwalniało tempo schodzenia na dół.

Plecy miał wilgotne od potu. Nie widział, co działo się na ulicy. Oczekiwał, że dostanie w każdej chwili serię z automatu w nerki. Nagle jego stopa ominęła jeden szczebel, stracił równowagę i jego dłoń, wilgotna od potu, ślizgała się na szczeblu nie mogąc odzyskać pewnego uchwytu. Aby nie spaść, musiał wypuścić pistolet i drugą ręką chwycić drabinę. Przez chwilę balansował w próżni, boleśnie naciągając sobie mięśnie ramion. Za cenę ogromnego wysiłku utrzymał się na drabinie i stanął obu nogami na jej szczeblach. Z trudem wyrównał oddech. Jego serce biło gwałtownie, jak serce górnika uwięzionego w zawalonej kopalni. Pot zalewał mu oczy. Rany w biodrze i udzie okropnie paliły. Pozostał w bezruchu kilka sekund, potem podniósł głowę.

Wtedy w górze zobaczył rewolwer, chociaż był on ledwie dostrzegalny w ciemnościach, które otaczały lufcik toalety.

Mały pomarańczowy płomyk i koniec — pomyślał ze znużeniem. Właściwie, może tak byłoby lepiej. Oni, ci od Stana Kovacsza albo gliny — jaka to różnica?

Padnij! — rozkazał mu inny głos wewnętrzny. — Spróbuj szczęścia. Co ryzykujesz? Śmierć za śmierć. Spojrzał na ulicę. Nagle powietrze rozdarła długa seria strzałów. Tak strzelają młodzi, niedoświadczeni rekruci.

Tym razem mamy go — powiedział do niego ironicznie pierwszy z kilku głosów wewnętrznych. — Strzelimy ci w plecy, po włosku... Muskły ramion skurczyły się boleśnie, oczekując uderzenia.

—Dobry Boże! Cóż to takiego? — wrzasnął brygadier, rozpinając kaburę rewolweru.

Michel Corvet nie pozwolił mu dokończyć tej czynności. Jego rewolwer strzelił nagle z kieszeni, plując śmiercią.

Młody wystraszony gliniarz, zarepetował pistolet maszynowy. Brygadier zawył z bólu pod wpływem uderzenia kul. Potknął się, wydawało się, że zmienił zdanie, i zwałił się na swego podwładnego, który obrócił się dokoła własnej osi i runął do przodu, w kierunku Louisa Suttota.

Ten ostatni nie spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Słyszając, że Corvet strzela, wyciągnął swój rewolwer i przygotował się, aby strzelić młodemu gliniarzowi w plecy, korzystając z tego, że tamten cofnął się. Nagle poczuł lufę pistoletu maszynowego

zagłębiającą się w jego brzuch i twarz Suttota omiółt urywany oddech młodego gliniarza, którego oczy wychodziły z orbit. I nagle trzasnęła seria strzałów, wyrwijąc mu wnętrzności. Odrzucony w tył, niczym przez gigantyczne uderzenie tarana, osunął się martwy na wilgotną jezdnię.

Młody gliniarz zakołysał się na nogach, jak ogłupiały, drżąc ze zdenerwowania, z pistoletem maszynowym nadal wymierzonym w ciało Suttota, który ociekał krwią.

Corvet skorzystał z tego, by w niego wycelować jak na ćwiczeniach, i wpakował mu kulę pomiędzy łopatki.

Nie można dłużej kręcić się tutaj — zdecydował szybko.

Szybko zdjął strażacki kask, wyrzucił go do rynsztoka i pozbył się ciężkiej skórzanej kurtki. Zachował jedynie spodnie i buty. Potem rozejrzał się. Noc wydawała się pełna niebezpieczeństw...

ROZDZIAŁ XVIII

Wanda Krazyk odmówiła przyjęcia zastrzyku. Zaledwie stróże prawa pozostawili ją samą na sali przyjęć, okazała się na tyle przebiegła, by symulować przebudzenie i otworzyć oczy. Z doświadczenia wiedziała, że lekarze sprawdzą jej źrenice, by stwierdzić, czy pacjent znajduje się w stanie omdlenia.

Wymamrotała kilka słów pozbawionych sensu i wybuchnęła szlochem, aby zyskać na czasie. Atak płaczu przedłużał się. Lekarz, który był tu na praktyce, trzymał już strzykawkę, kiedy Wanda podniosła się, odmawiając ruchem dłoni zastrzyku, który dla niej przygotowano. Nie ma mowy, żeby uśpili mnie na dwie godziny — pomyślała. Po przebudzeniu wokół łóżka byłby tłum gliniarzy, a z tego co słyszała, pobyt w więzieniach francuskich nie należał do przyjemności.

Lekarz był młody i sympatyczny. Trzeba było zaryzykować i przekonać go, że jest uczulona na zastrzyki. Ten manewr nie udał się. Zresztą, lekarz szczególnie nie spieszył się, by pozbyć się jedynej pacjentki, tak młodej i ładnej. Było to oczywiste. Gotów był grać rolę pocieszyciela. Ostatecznie, zaproponował jej środki nasenne. Odrzuciła ofertę i zapewniła go, że czuje się lepiej i jest w stanie dotrzeć do swego domu. Chciała wiedzieć, czy jej mąż był martwy, czy przeżył — wyjaśniła. Była zaniepokojona jego wypadkiem.

W końcu Wanda postawiła na swoim i opuściła szpital, odprowadzana długim, powłóczystym, pełnym żalu spojrzeniem młodego lekarza.

Na bulwarze Neya złapała taksówkę, akurat w chwili, gdy dwóch Afrykańczyków, korzystając z późnej pory i pustej alei, usiłowało ją zaczepić.

Teraz jechała niemal pustymi ulicami. Czy Harry i pozostali pozbyli się glin? Czy wykonali kontrakt?

Aby nie myśleć o swoich obawach, rozpoczęła rozmowę w języku rosyjskim z kierowcą, który dawno temu wyemigrował z Rosji. Jego nazwisko odczytała na tabliczce — Czerniczew. Pomyślała, że to jeden z ostatnich szczątków wielkiej epoki, w której połowa paryskich taksówkarzy składała się z książąt, wielkich książąt, rosyjskich generałów lub ludzi

za nich uchodzących. Oceniała, że prowadził nieco za wolno jak na jej gust i poprosiła go grzecznie, by zwiększył prędkość, ale odmówił.

Patrzyła na ramiona i bielusieńką głowę niemal opartą o kierownicę. Stare, kościste dłonie zaciskały się na niej, aby utrzymać pojazd w linii prostej. Biedny stary — pomyślała z rozczuleniem. Przybył z tak daleka, aby umrzeć za kierownicą taksówki. Gdzie ona umrze pewnego dnia? Bez wątpienia, powróci wówczas z bardzo daleka...

Kiedy dotarli do Placu Gwiazdy, poprosiła, by jechał na avenue d'Iena. Po minięciu Place des Etats Unis, dotarli do ulicy du Belloy. Poprosiła, aby zatrzymał się na rogu ulicy Dumont d'Urville. Dała mu duży napiwek. Dziękując skinął prawie zupełnie łysą głową i nie odezwał się nawet wówczas, kiedy po rosyjsku życzyła mu dobrej nocy. Jest naprawdę zwiędły — pomyślała wysiadając.

Czerwone światła taksówki zniknęły za rogiem avenue Kleber, kiedy usłyszała odgłosy wystrzałów. Natychmiast zaczęła biec w kierunku ulicy La Perouse. Renault był zaparkowany dokładnie na rogu, przodem ku ulicy du Belloy.

Zbliżyła się prawie do środka jezdni i spostrzegła krwistoczerwony wóz strażacki z ruchomą drabiną wznoszącą się ku niebu niczym szyja żyrafy. Chwilę później dostrzegła sylwetkę Michela Corveta, który usiłował wydostać się z uniformu strażaka.

Pogrzebała w torebce, wyjęła kluczyki od samochodu, otworzyła drzwi i wskoczyła za kierownicę. Silnik zawył i samochód ruszył naprzód. Wanda Krazyk nacisnęła na pedał hamulca, cofnęła samochód strasznie zgrzytając skrzynią biegów. Ciągłe spoglądając w lusterka wsteczne, cofnęła samochód w głąb ulicy La Perouse.

Silnik zawył przeraźliwie. Corvet zorientował się, co się dzieje i biegł w jej kierunku. Chcąc uniknąć wypadku Wanda o mało nie uderzyła w wóz strażacki. Gwałtownie nacisnęła pedał hamulca.

Kiedy Michel otworzył drzwi, spojrzała w górę i drgnęła. Zobaczyła Harry'ego, który z trudem schodził po szczeblach drabiny. Michel wpadł z impetem do wnętrza samochodu, ale ona wypchnęła go.

—Harry jest na górze! — krzyknęła.

Michel, niezdecydowany, podniósł głowę.

—Trzeba mu pomóc — dodała. — Oślaniać go. Nigdy nie wiadomo...

Michel potwierdził skinieniem głowy i uskoczył w tył. Odszukał pistolet maszynowy, który młody policjant wypuścił z rąk. Wycelował ku szczytowi drabiny i czekał.

Wanda odczuła lekki skurcz serca, kiedy zobaczyła, że Harry stracił grunt pod nogami i wisiał trzymając się jedną ręką drabiny. Po chwili uspokoiła się, ponieważ schwycił ją ponownie obiema rękami i odzyskał równowagę.

I nagle dostrzegła trupioblada twarz wychylającą się z lufcika i lufę rewolweru wymierzonego w Harry'ego. Chciała krzyknąć do Michela, aby uważał, ale zanim zdołała otworzyć usta, trzasnął pistolet maszynowy i twarz na górze zniknęła. Otwór lufcika znowu ogarnęła ciemność.

Harry wreszcie zszedł z drabiny i wpadł prawie w ramiona Michela. Obaj rzucili się w kierunku renaulta i wsiedli z impetem do środka. Nim dobrze zamknęli drzwi, Wanda ruszyła z miejsca niczym trąba powietrzna i pomknęła avenue d'Iena.

Dwóch policjantów w mundurach, pełniących służbę przed numerem 27 na avenue Kleber, wyglądało na straszliwie znudzonych.

Karate usłyszał jak jeden mówił do drugiego:

—Mimo wszystko nie wierzę, że ci faceci wrócą tam jeszcze raz.

Biorąc pod uwagę komitet powitalny tam na górze, trzeba byłoby być szaleńcem. Ale nie sądzę, żeby byli tak szaleni — pomyślał.

Karate dostrzegł Buffalo, który szedł ku niemu krokiem słonia, z rękami w kieszeniach, dyskretny niczym kula armatnia.

Po chwili, czekając na godzinę H, samochód policyjny zatrzymał się naprzeciwko numeru 27. Chaugat poczuł, że krew uderza mu do głowy. Samochód był pełen gliniarzy.

—Co kombinują te móżgi z bulwaru Mortier?! — wrzasnął. — Zamiast oczyścić teren, przysyłają opancerzone pojazdy z piechotą.

Na szczęście, samochód wyniósł się bardzo szybko.

Nadchodząc z różnych kierunków, Baraka i Chaugat skierowali się do domu numer 27. Karate spojrzął na zegarek. Zdążyli na czas. Buffalo nie był teraz zbyt daleko. Karate wślizgnął się między dwa samochody zaparkowane zderzak w zderzak, uważając, by nie rozerwać spodni.

W nocnej ciszy rozległ się przytłumiony odgłos strzałów. Karate znieruchomiał natychmiast. Buffalo poszedł w jego ślady i zmieniając kierunek skierował się teraz ku Chaugatowi, do którego dołączył wkrótce Baraka. Karate zdecydował się postąpić tak samo. Prawdopodobnie wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Policjanci spoglądali na siebie niezdecydowani. Nerwowo ściskali w dłoniach pistolety maszynowe.

—Słyszaleś? — spytał jeden z nich.

—To dochodzi z góry — odpowiedział drugi.

—Sądysz, że trzeba tam pójść?

—Nie ma rozkazów. Powiedziano nam, żeby się stąd nie ruszać.

Drugi odetchnął z ulgą.

—Masz rację, Devale. Jeżeli opuścimy posterunek, kto wie co może się nam przydarzyć? W każdym razie, mielibyśmy kłopoty.

Spoglądali wokół zaniepokojeni. Z pewnością Chaugat śledził tych trzech mężczyzn, bo szybkim krokiem ruszył w ich kierunku.

—Co to ma znaczyć! — krzyknął Devale, wycelowując swój pistolet maszynowy i postąpił krok naprzód. — Proszę zostać tam, gdzie pan jest i nie zbliżać się! To zabronione!

Chaugat pokazał mu trójkolorowy kartonik.

—Popatrzcie, co jest napisane na tej karcie — rzucił rozkazującym tonem.

—Mieszka pan w tym domu? — zapytał drugi gliniarz.

—Oczywiście, że nie — zniecierpliwził się Chaugat. — Przeczytajcie! Pospieszcie się, na Boga, nie traćcie naszego czasu.

Gliniarz przeczytał i usunął się z drogi, stając na baczność.

—Proszę wybaczyć, proszę pana. Mieliśmy rozkazy, aby...

—Dobrze, wystarczy — przerwał mu brutalnie Chaugat, a potem odwracając się do swych ludzi rzucił: — Chodźcie za mną. Szybko!

Schował legitymację do kieszeni i wszedł do mieszkania. Winda w hallu była tak mikroskopijna, że jasne było, iż nie zmieszczą się w niej wszyscy czterej. Tym bardziej, że Buffalo wystarczył za trzech.

— Schodami! — rzucił krótko.

Przeskakiwali po cztery stopnie naraz i przystanęli na podeście trzeciego piętra. Buffalo, Karate i Baraka zajęli pozycje na wprost drzwi. Niecierpliwym gestem Chaugat nacisnął dzwonek, ale nikt nie otworzył drzwi. Odczekał kilka sekund i znowu dotknął dzwonka. Tym razem przytrzymał go dłużej. Usłyszał przeraźliwe brzęczenie wewnątrz apartamentu. Wystrzały umilkły. W mieszkaniu zaległa cisza. Nie do uwierzenia, że ci ludzie nie przeszkadzali sąsiadom, którzy pewnie umierali ze strachu.

— Czy oni wszyscy tam pomarli? — spytał Buffalo cicho. — Wyważmy drzwi.

Karate wzruszył tylko ramionami.

W końcu Judasz poruszył się, ale nie ukazała się w nim niczyja twarz. Usłyszeli jedynie jakiś chrapliwy głos: — Czego chcecie?

Chaugat wyciągnął z kieszeni trójkolorowy kartonik i umieścił go w okienku Judasza.

— Czy jest tutaj pan Massicaud-Vellard? — zapytał oschłym tonem.

— Czego chcecie? — powtórzył głos.

Człowiek, który stał za drzwiami, nie był wcale poruszony widokiem urzędowej legitymacji.

— Pan Massicaud-Vellard otrzymał przez telefon wiadomość o naszym przybyciu — wyjaśnił spokojnie Chaugat. — Oczekuje nas. To bardzo ważne. Niech pan niezwłocznie go o tym powiadomi. Nie będzie zadowolony, kiedy dowie się, że wyczekujemy na podeście schodów, gdy oczekuje nas. Zaanonsujcie kapitana Chaugat. To wystarczy.

Judasz ponownie został zamknięty. Wszyscy czterej czekali na klatce schodowej w milczeniu.

W końcu drzwi otworzyły się. Chaugat wszedł pierwszy.

Człowiek, który opierał się o futrynę drzwi, wyglądał jak specjalista od wolnoamerykanki. Długa, krwawa szrama przecinała jego lewy policzek. Na Chaugata z niedowierzaniem spoglądały świńskie oczka. Kapitan wkroczył do apartamentu, a w ślad za nim Baraka i Karate. Buffalo wszedł ostatni, krokiem na tyle swobodnym, na ile pozwalała mu otyłość.

Karate ominął zapaśnika. Odwrócił się gwałtownie, a w tym czasie Buffalo niezręcznie uniósł pięść. Zapaśnik odparował cios lewym ramieniem, trzymając w zaciśniętych palcach klucz. Korzystając z nieuwagi nieprzyjaciela, Karate zmiażdżył mu kantem dłoni tętnicę szyjną. Mężczyzna padł na kolana, niczym rażony piorunem. Zaciśniętymi pięściami Buffalo złamał mu kark. Potem obydwaj wciągnęli ciało do wnętrza apartamentu i zamknęli drzwi. Chaugat nawet się nie odwrócił. Wiedział, że robota została wykonana dobrze. Jakiś człowiek, zataczając się, wolno wyszedł z sąsiedniego pokoju. Trzymał w dłoni pistolet maszynowy. Zdziwiony spojrział na rozciągnięte na podłodze ciało zapaśnika.

Chaugat widział, że tamten zeszywniał. Nie dał mu czasu na to, by zareagować. Runął na niego i obiema rękami zablokował ramię, które ścisnęło pistolet maszynowy, podczas gdy Baraka zanurzył sztylet w sercu goryla z obstawy. Tamten drgnął, otworzył usta, grymas wykrzywił mu twarz i osunął się na plecy Chaugata.

Ułożyli ciała obok siebie i zaczęli sprawdzać apartament. Nawet nie mrugnęli spoglądając na zmasakrowane ciała.

W sypialni na skraju łóżka siedziała kobieta. Trzymała rękę Massicaud-Vellarda, który, odziany w marynarkę różowej piżamy, leżał wsparty na dwóch poduszkach. Pokój oświetlała jedynie lampka na nocnym stoliku. Sypialnia oddychała spokojem, ciszą. Łagodna mieszczańska intymność udzieliła się także im czterem — istna przystań odpoczynku po rzezi, której byli świadkami w salonie.

Massicaud-Vellard patrzył na nich z zaufaniem. Kobieta przyglądała się mu z zainteresowaniem. On spoglądał na nią przez chwilę. A więc to była kobieta, która tego ranka pokonała zabójcę. Nicole.

—Kapitan Chaugat? — zapytał Massicaud-Vellard. Jego ton był nieco wyniosły. Czuło się dawnego pułkownika artylerii.

Chaugat skłonił głowę z uznaniem.

—Oznajmiono mi o pańskim przybyciu. Muszę jednakże przyznać, że się pan spóźnił. Dokonano następnej próby zgładzenia mnie i gdyby nie poświęcenie moich goryli, ta próba powiodłaby się... — W jego głosie brzmiała wymówka.

Kobieta odwróciła głowę i ścisnęła mocniej jego dłoń.

—Nie martw się tym. To już skończone — szepnęła.

—Co zamierzacie zrobić? — podjął Massicaud-Vellard niespokojnie.

Po cóż dawać im złudzenie, że są cali i zdrowi — pomyślał Chaugat. Było to okrutne i niepotrzebne. Mimo wszystko należało wykonać to nieprzyjemne zadanie. Wykręcanie się nie prowadziło do niczego. Nie odpowiadając na pytanie, strzelił palcami.

Buffalo stanął za jego plecami. Zrobił krok do przodu, podczas gdy Karate i Baraka odsunęli się. Jego wielka pięść wymachiwała uzbrojonym rewolwerem, który zabrał trupowi jednego z goryli w salonie. Magazynek zawierał jedynie dwie kule, ale to wystarczyło, Buffalo był doświadczonym strzelcem... Na widok broni kobieta skoczyła na równe nogi. Kula ugodziła ją w skroń i odrzuciła na szafę. Chaugat zobaczył przerażenie w oczach Massicaud-Vellarda i odwrócił wzrok.

Massicaud-Vellard na wpół powstał z pozycji leżącej, a kula trafiła go w sam środek czoła. Opadł na poduszki.

Po kolei opuścili sypialnię. Chaugat natychmiast wydał im rozkazy, aby upozorowali wszystko tak, jak było ustalone. Cztery nowe trupy zostaną zapisane na konto zabójców. Następnie wezwie się policję. Courcelles powinien być zadowolony.

Chaugat wrócił do łazienki i kiedy stanął na muszli klozetowej przyjrzał się w zamyśleniu wielkiej drabinie strażackiej. Pomyśl, by posłużyć się wozem strażacki i przebrać się za strażaków, był chytry. Niestety, nie udało się im. Na szczęście on, Chaugat, i jego ludzie przybyli by pomóc przeznaczeniu w decydującym momencie.

Wychylił się nieco przez okno. Na ulicy przystały dwa samochody policyjne. Wokół poruszały się ciemne sylwetki. Gliny czy zabójcy?

Nagle przypomniał sobie, że nie uściśnął dłoni Baraki. To stawało się rytuałem po każdej udanej operacji, rytuałem, którego należało przestrzegać, jeśli chciano uniknąć pecha następnym razem. A poza tym był najwyższy czas, by zadzwonić do Courcellesa.

ROZDZIAŁ XIX

Wanda skończyła obmywać rany dziewięćdziesięcioprocentowym spirytusem. Harry nawet nie drgnął.

— To już koniec? — zapytał słabym głosem.

— Nie. Jeszcze posypię ranę sulfamidami. Następnie założę ci bandaż. Bądź spokojny. Boli?

— Mowa! — mruknął pod nosem.

Michel Corvet obserwował tę scenę w milczeniu. Trzymał papierosa w palcach i nawet nie pomyślał o tym, by włożyć go do ust.

— Czy to poważna sprawa? — zapytał.

— W ciągu trzech tygodni rany się zabliznią — odparła Wanda. — Ale trzeba uważać. Znasz jakiegoś dobrego lekarza, Harry?

— Taaak, nie martw się o to. Ale zamiast gadać, skończ, na miły Bóg, robotę! Mam tego dość...

Wanda wzruszyła obojętnie ramionami.

— Chcesz się czegoś napić? — zapytał Michel.

— Taaak, to dobra myśl...

Francuz wyszedł z pokoju. Pięć minut później powrócił ze szklanką burbona. Harry od razu opróżnił ją do połowy.

— To pomoże ci przetrwać tortury Wandy — powiedział Michel, aby dodać mu otuchy. Ale jego żarcik trafił w próżnię. Harry i Wanda nie mieli ochoty do śmiechu.

— Skończone — oznajmiła wpinając grubą szpilkę na bandażu Velpeau. — Twoje męki skończyły się Harry...

— Czy są tu gdzieś środki nasenne? — zapytał zbolalym głosem.

— Tak, proszę.

Wręczyła mu tabletki, które połknął i popił resztką burbona, potem z westchnieniem zamknął oczy.

— Dobrze. Zostawiamy cię, Harry. Dobranoc. Jak będziesz czegoś potrzebował, wezwij mnie.

— Dziękuję. Dobrej nocy.

Zgasiła światło i razem z Michelelem opuścili pokój.

Odkąd pograżył się w ciemności, próbował zasnąć. Ale jego umysł nieustannie powracał do wydarzeń minionej nocy. Jego największym kłopotem był Syndykat. A bardziej precyzyjnie — „Frenchie” Terret, który musiał się męczyć w swym luksusowym pokoju hotelowym, czekając na informacje. Harry nie zadzwonił do niego, aby zakomunikować mu o częściowym sukcesie misji i jedynymi informacjami, jakie „Frenchie” Terret mógł otrzymać, były te podawane przez środki masowego przekazu — dzienniki, radio, telewizję. Harry wyobrażał go sobie, jak przemierza pokój hotelowy z narastającą wściekłością. Obecnie musiał odkryć karty i wybrać atu. Kontrakt nie został wykonany w punkcie dotyczącym Massicaud-Vellarda. To, że stracił podczas operacji czterech ludzi, zupełnie nie interesowało „Frenchie” Terreta. Jutro mógł wynająć następnych. Ale to, czego Terret nie wybaczy, to niepowodzenie zanotowane przez Harry'ego. Niepowodzenie — jakby całą rzecz nie ujmować — nie do naprawienia. Nie ulegało to kwestii po drugiej, bezowocnej próbie wyeliminowania Massicaud-Vellarda. Był to jakby bieg po śmierć. Zapewne

przetransportowano go w jakieś niedostępne miejsce, do prawdziwej fortecy, której nie zdobyłby nawet szturmem.

Podobna katastrofa, dotąd nigdy w jego zawodowej karierze się nie zdarzyła. Starzał się? Czy nie nadawał się już do niczego? Czy należało zrezygnować? Doprawdy smutne było, że nie miał komu przekazać swojego doświadczenia. Syndykat był jakby cichym współnikiem. Nie żartowano z ludzi stamtąd. Należało bezbłędnie wykonać robotę. Jedno niepowodzenie to śmierć.

Jaka będzie reakcja „Frenchie” Terreta? Wezwie zbirów Stana Kovacsa, aby spróbowali dokończyć robotę i przy okazji wykończyli jego, Harry'ego Shulza? Jeśli nie istniała żadna szansa, by uciec przed zemstą Syndykatu, po cóż cierpliwie czekać na śmierć, niczym baran na nóż rzeźnika? Czyż nie byłoby korzystniej utrzymać jak największy dystans między nim a zabójcami, którzy szli jego śladem? Wyciągnięty na łóżku zastanawiał się intensywnie, nie przestając palić papierosa za papierosem. Zmęczenie minęło. Niepokój, który go drażył, i piekący ból odniesionych ran nie pozwoliły mu zasnąć mimo środków nasennych, które zażył.

Świtało, a on nie podjął jeszcze decyzji. Ogarniała go rozpacz, przepełniała niepewność. Uciekać? Tak, ale czy miał realną szansę umknąć przed Stanem Kovacsem? Mimo wszystko, ucieczka oznaczała, że musiałyby zaniedbać swych zwyczajowych działań. Dlaczego nie spróbować zobaczyć „Frenchie” Terreta i zmierzyć temperaturę otoczenia? To wydawało się najlepszym rozwiązaniem.

Była siódma rano, kiedy wreszcie zasnął ciężkim, niespokojnym snem. Męczyły go koszmary.

Obudził się około jedenastej złany potem. Ledwie się poruszył, przeszył go okrutny, stępiący ból. Skrzywił się i zmusił do pójścia do łazienki, aby się umyć. Potem wezwał Wandę, by zmieniła opatrunki.

Przyszła po kilku minutach i zajęła się ranami.

—Co teraz zrobimy, Harry? — W jej głosie wyczuwało się niepokój.

—Mówiąc szczerze, nie wiem — odpowiedział ze znużeniem. Wychodzę. Wrócę za dwie — trzy godziny. Nie ruszajcie się stąd z Michele. Kiedy wrócę, przyniosę nowiny. Gdzie jest Michel?

—Na dole, je śniadanie. Chyba przegraliśmy, co?

—Też tak uważam. Ale zaczekaj do południa. Powiem wam obojgu dokładnie jak jest. Moim zdaniem, nie ma sensu, byście pozostali tu dłużej...

—Okay, Harry, ty decydujesz — stwierdziła fatalistycznie.

Kiedy opuściła pokój, włożył lekkie ubranie, potem wyjął z walizki grubą kopertę, która zawierała udziały każdego z nich, rozdzielone trzy dni wcześniej. Położył na nocnym stoliku najmniejszą kopertę, złożył wpół plik dolarów, który stanowił udział Louisa Suttota i włożył do koperty. Położył na łóżku udziały Kurta Hopkena, Dana O'Malley'a i Helmuta Dorffa i rozdzielił je między siebie, Michela Corveta i Wandę Krazyk. Ci, którzy zginęli już nie potrzebowali pieniędzy, a nie zostawili żadnej instrukcji co do ich przeznaczenia w wypadku śmierci. Lepiej było je podzielić. Udział Louisa Suttota przekaze wdowie po nim.

Kiedy skończył, włożył kopertę przeznaczoną dla niej do wewnętrznej kieszeni marynarki. Trzymając w ręku dwie koperty wypchane dolarami zszedł na parter.

Wanda i Michel popijali właśnie dzin z rumem. Podnieśli głowy, kiedy wszedł do salonu. Michel ożywił się na widok plików banknotów.

—Doskonale! — wykrzyknął. — To jest dzień „Matki Boskiej Pieniężnej”...

—Podzieliłem na nas udziały Kurta, Dana i Helmuta — powiedział Harry. — Każde z nas ma dwa udziały, czyli 10 000 dolarów. Mimo wszystko zasłużyliście na nie.

—To dobra wiadomość — stwierdził Michel. — Szkoda, że będziemy jeszcze jakiś czas zablokowani w tej budzie — dorzucił nadąsany.

—Wando, powiedziałaś mu? — spytał Harry.

Michel odpowiedział zamiast niej:

—Taaak, powiedziała mi. Zaczekamy na ciebie, Harry. Wypijesz filiżankę kawy przed wyjściem?

Zgodził się skinieniem głowy, położył pieniądze na stole i przyciągnął krzesło. Wanda wstała i poszła do kuchni po kawę. Napelniła filiżankę i postawiła ją przed Harrym. Małymi łykami wypił napój. Michel poczęstował go papierosem i podał ogień.

—Lepiej się czujesz? — zapytał troskliwie.

—Taaak — mruknął Harry — ale to jest naprawdę małe piwo, w porównaniu z innymi kłopotami...

Wstał. Michel poszedł za jego przykładem.

—Okay. Do zobaczenia wkrótce. Będę z powrotem za dwie — trzy godziny.

Kiedy opuścił pokój, Michel włączył radio.

—Popatrz no — szepnął do samego siebie — nawet nie wysłuchaliśmy wiadomości. Powinni mówić tylko o tym...

Właśnie rozpoczynał się dziennik południowy... Głos spikera był pełen podniecenia. Wanda podeszła do baru i położyła dłonie na ramieniu Michela.

—Jaka to gratka dla dziennikarzy, radia i telewizji — skomentowała z ironicznym uśmiechem. — Zapomniano o zwyczajowym bla-bla-bla na temat Wietnamu, Palestyńczyków czy Irlandii Północnej. Dziś mają nowiny bardziej krwiste, w rodzaju tych, które interesują naprawdę o- pinię publiczną... — Zaśmiała się szyderczo.

—Zamknij się — uciał Michel Corvet. — Słyszałaś, co mówią? Mój Boże, a Harry nawet o tym nie wie...

Oswobodził się z jej objęć i podbiegł do okna. Przez szybę ujrzał renaulta, który przejeżdżał przez bramę. Odwrócił się do Wandy.

—Muszę go złapać.

—Wiesz dobrze, że polecił nam nie ruszać się stąd. Harry bardzo nie lubi, jak się go nie słucha. Co oni powiedzieli?

Hall hotelu oddychał świeżością. Było to przyjemne uczucie po upale panującym na ulicy. Harry skierował się do kabin telefonicznych i wykręcił numer „Frenchie” Terreta. Tamten odezwał się natychmiast.

—Hallo, Harry. Jak miło pana słyszeć. Proszę wejść na górę.

Głos był radosny, nawet życzliwy. Harry był zaniepokojony. Czyżby „Frenchie” Terret kombinował, jak zadać mu zdradziecki cios? Sądził, że Terret będzie mówił pogardliwym głosem, że będzie wściekły, a oto boss przyjmował go tak, jakby przybył w towarzystwie całej trupy strip-tizerek z Crazy Horse Saloon. To podejrzane. Czy wezwał już zbirów Stana Kovacsa?

Ale myśl o tym, że trudno byłoby zlikwidować go w tym hotelu pokrzepiła nieco Harry'ego. W każdym razie miał zatknętego za pasek wiernego P.38. Poprzedniej nocy, po tym, gdy musiał wyrzucić go, aby utrzymać się na drabinie, znalazł go od razu, gdy stanął na ziemi. Była to szczególnie broń, wykonana według jego wskazówek. Był do niej niezwykle przywiązany. Wyszedł z kabiny i stanął za tłumem amerykańskich turystów obładowanych aparatami fotograficznymi i oczekujących na windę.

Kiedy drzwi rozsunęły się, wszedł do kabiny za nimi. Był w ten sposób pierwszy do wyjścia. Korytarz prowadzący do pokoju „Frenchiego” Terreta był pusty. Gruby dywan tłumiał odgłos jego kroków. Zastukał do drzwi, cofając się nieco. „Frenchie” Terret otworzył.

— Proszę wejść, Harry.

Przyjacielski uśmiech rozjaśnił mu twarz, a to tylko powiększyło podejrzliwość Shulza. Wszedł i zamknął za sobą drzwi, po czym oparł się o nie plecami. Rozejrzał się szybko wokół. Wąski korytarz prowadził do sitting-roomu. Łazienka natomiast mieściła się po prawej stronie.

Terret natychmiast uścisnął mu dłoń i wprowadził do salonu.

— Napije się pan, Harry?

— Sekundkę, panie Terret. Chciałbym umyć ręce.

— Oczywiście. Łazienka jest tam.

Ruchem dłoni wskazał drzwi, które Harry dostrzegł wcześniej. Przekręcił włącznik i zapalił światło. Jedno spojrzenie wystarczyło, by przekonał się, że pokój był pusty. Obmył dłonie, wytarł je ręcznikiem i ruszył na spotkanie z gangsterem.

Drzwi od sypialni były w pół otwarte. Podszedł tam niepostrzeżenie, podczas gdy Terret przetrząsał kieszenie marynarki wiszącej na oparciu jednego z foteli. Przez szparę w drzwiach obejrzał pokój. Także był pusty. To podejrzane — pomyślał zaniepokojony.

— Gratuluję udanej operacji, Harry. Nie zmarnowaliśmy naszych pieniędzy na pana. Ten drugi cios był ciężki, co?

Harry miał się na baczności. Zadowolił się wymamrotaniem jakiejś niezrozumiałej odpowiedzi.

— Proszę siadać, Harry. Niechże pan nie stoi. Wie pan, po wiadomościach dziennika połączyłem się mimo różnicy czasu z Nowym Jorkiem, aby uprzedzić pozostałych. Nie muszę panu mówić, że świętowali.

Harry opadł na fotel, podczas gdy „Frenchie” Terret postawił przed nim szklanekę z drinkiem i także usiadł. Boss Syndykatu wskazał na mały odbiornik telewizyjny przy oknie w kącie pokoju.

— Niedawno w telewizji, w dzienniku południowym pokazali zdjęcia. Zna pan całą historię? — Nie czekając na odpowiedź, kontynuował:

— Jakiś przebiegły dziennikarz przechodził tamtędy z przyjaciółką. Wspiął się do mieszkania Massicaud-Vellarda, oszukał dwóch gliniarzy, którzy byli tam na posterunku i zrobił wszystkie zdjęcia jakie chciał, nie będąc zauważonym! Policja przyjechała w kwadrans później. Jak już powiedziałem, pokazali to w telewizji. Dziesięć trupów... — Wybuchnął śmiechem. — Nie do uwierzenia! Pięćdziesiąt lat temu miała miejsce słynna masakra w dniu Świętego Walentego w Chicago, za czasów starego Ala, pamięta pan, Harry? Ale tym razem była jeszcze jakaś babka. Wtedy byłem za młody, ale pamiętam jakby to było wczoraj...

Harry milczał. Usiłował coś z tego zrozumieć.

—Nie oglądał pan telewizji? — zdziwił się Francuz.

—Nie — przyznał Shulz.

—Szkoda. Zobaczyłby pan pańską listę trupów.

—Dziesięć trupów, powiedział pan?

„Frenchie” Terret zaśmiał się szyderczo.

—W punkcie, do którego pan dotarł, nawet ich pan nie policzył.

Harry Shulz udał, że znalazł zabawną wymówkę.

—Sądziłem, że było ich trochę mniej. Jest pan pewien?

„Frenchie” Terret dał się nabrać.

—Zobaczmy. Nie sądzę, żebym się mylił. Pańskich dwóch facetów ubranych w stroje strażaków, sześciu goryli z obstawy. Następnie Massicaud-Vellard i w końcu jego przyjaciółeczka, Nicole coś tam, jak ją nazywali... Ach! tak, de Sussieux, otóż to. To była siostra któregoś z nich...

Harry poczuł jak dreszcze przebiegają mu po plecach. Czyżby to było możliwe?

—Tak to właśnie wygląda. Dziesięciu — ciągnął stary gangster. — Chytry numer z tą drabiną i mundurami strażaków. Zapłacił pan za to wysoką cenę, ale ten cios był tego wart. Czterech ludzi nie żyje, to podłe, ale to jest ryzyko zawodu. Ach! Harry, jest jeszcze coś, co ja doceniłem. Kiedy chybił pan Massicaud-Vellarda za pierwszym razem, nie przyszedł pan szlochać na moim ramieniu. Wykonał pan robotę tego samego wieczora! Brawo! Nie wypił pan?

Shulz podniósł szklanekę i wychylił ją jednym haustem. To było nie do uwierzenia! Co się stało?

ROZDZIAŁ XX

Instrukcje, które dał mu „Frenchie” Terret, były jasne i precyzyjne. Ricky Valenti, główny oprawca Stana Kovacsa, od razu dostrzegł Harry’ego Shulza po jego wejściu do hotelowego hallu. Widział go wchodzącego do kabiny telefonicznej, uzyskującego połączenie, wychodzącego stamtąd i wchodzącego do windy. Złożył „New York Timesa”, zmiął gazetę w grubych dłoniach w dużą kulę i wstał z fotela. Nonszalancko poszedł do metalowego kosza znajdującego się tuż obok recepcji, by wyrzucić gazetę.

Przechodząc obok Steve’a d’Angelo, puścił do niego oko. Tamten zacisnął usta z grubym cygarem, które namiętnie przeżuwał. Jego oczy kuny domowej, niezwykle ruchliwe, śledziły tłum w hallu hotelu.

Zawsze nonszalancki Ricky Valenti skierował się ku kabinom telefonicznym, wybrał jedną z nich, skąd miał wspaniały widok na wyjście z wind, i zamknął się w niej. Podniósł słuchawkę i udawał głęboko pochłoniętego rozmową. Jednakże spod krzaczastych brwi jego czarne oczy wciąż wypatrywały ofiary. Minał dobry kwadrans, nim znowu ukazał się Harry Shulz. Już od pięciu minut wysoki facet o czerwonej twarzy, otoczony dwoma wrzaskliwymi smarkaczami, kołysał się przed kabiną czekając zapewne, by Ricky wyszedł. Valenti zignorował to. Facet zdecydował się w końcu zabębnić palcami w drzwi. Ricky rzucił mu tak lodowate spojrzenie, że tamten odskoczył w tył, pociągając za sobą dwie latorośle, i stanął

nieruchomo, znacznie dalej, przed inną kabiną. Ricky wzruszył ramionami i przeniósł wzrok na wyjście z wind.

Nagle zobaczył Harry'ego wychodzącego z jednej z kabin i torującego sobie drogę w kierunku baru. Odwiesił telefon i wyszedł. Przechodząc potrącił umyślnie faceta z dziećmi, który pośpiesznie podbiegł, aby zająć wolną kabinę. Mężczyzna mruknął coś pod nosem, ale nie ośmielił się zaprotestować.

Steve d'Angelo obserwował Harry'ego w tłumie. Po chwili dotarł do niego Ricky Valenti.

— Nie spiesz się. Tu jest zbyt dużo ludzi — szepnął.

Steve skinął głową na znak zgody. Harry wszedł do baru. Pod pachą ścisnął „France Soir”, który kupił w kiosku z gazetami. Bar był w połowie zapełniony gośćmi hotelowymi. Harry usiadł przy wolnym stoliku. Ricky Valenti i Steve d'Angelo poszli za jego przykładem. Cztery stoliki dzieliły ich od człowieka, którego tropili. Harry złożył gazetę i nie wydawał się zwracać na nich uwagi. Prawdą było, że nie strzelą do niego w barze, w którym większość klienteli stanowili prawdopodobnie obywatele amerykańscy.

Ricky Valenti i Steve d'Angelo nie rozmawiali ze sobą, ponieważ tak często ze sobą pracowali, że nie potrzebowali wcale porozumiewać się głosem, aby się rozumieć.

Siedzący niedaleko Harry sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego lekturą gazety...

Corvet rzucił karty na stół i wstał. Wanda ziewnęła.

— Nie bawi cię ta gra? — spytała.

— A co innego możemy robić czekając na Harry'ego?

— Chcesz kawy?

— Podaj mi raczej Wiliama Lawsonsa z wieloma kostkami lodu. — W radiu znalazł w końcu koncert muzyki pop i delikatnie ściszył odbiornik. — To jest mimo wszystko lepsze niż głupoty, których zaraz wysłuchamy.

Podawała mu szklankę.

— Co zamierzasz zrobić, kiedy Harry wróci? — spytała obojętnie.

— Uciekać stąd jak najszybciej. Duszę się w tym domu. Lubię przestrzeń, morze, góry, wieś...

Uśmiechnęła się niewyraźnie. — Gdyby Harry cię usłyszał...

— Cóż on mógłby mi nowego powiedzieć?

— Nic. Żartowałam. On, który kocha tylko Nowy Jork... wielkie miasta... To jego prawo, nie?

— Pewnie. Tak jak moim jest kochać przestrzeń.

Podeszła do barku i nalała sobie piwa. Podnosząc szklankę do ust, obserwowała go kątem oka. Wypiła i odstawiła szklankę.

— Czy byłoby to niedyskretne, gdybym zapytała cię, dokąd pojedziesz?

— Nie. Pewnie do Hiszpanii...

Skinęła głową. Wewnętrzny głos mówił jej, powinna trzymać się tego, co jest tutaj. Ogarnęły ją nieprzyjemne wspomnienia, ale jej brzuch znów był napięty. Pragnęła czuć w sobie Michela. Czy musiała spędzić samotnie następną noc, jak często bywało w przeszłości? Mimo całego swego opanowania, czuła, że traci siły. Odczuwała przemożną potrzebę

posiadania tego blond anioła o oszalamiającym ciele. Ale co on o tym myślał? Czyż poza wszystkim, nie było to szaleństwo? Oboje byli zepsuci. Jakim byłoby małżeństwem?

— Mam pewien pomysł — dodał niedbale.

Milczała.

— A ty dokąd pojedziesz?

— Prawdopodobnie do Anglii.

— Tam jest zimno i ciągle pada deszcz...

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— Wiesz — podjął Michel Corvet — znam dobry sposób na spędzenie czasu w oczekiwaniu na Harry'ego. Znacznie lepszy, niż dżin z rumem czy nawet muzyka pop.

Zamrugnęła oczami przyzwalająco. Czyżby miał dla niej choć trochę litości i chciałby w ten sposób powiedzieć: do widzenia?

Weszli do pokoju Wandy. Wbrew jego oczekiwaniom, nie czuła żadnej przyjemności, kiedy odbył z nią stosunek. Czuła się nieskończenie nieszczęśliwa. Czuła się głupio.

To on przemówił pierwszy, zadyszany głosem, odzyskując rytm oddechu.

— Gdybym ci powiedział od razu, jaki pomysł chodzi mi po głowie... Masz papierosa. To najlepsze, po tym wszystkim...

Mówiąc to wetknął jej w usta zapalony papierosa. Nic nie odpowiedziała. Palcem dotknął jej czoła.

— Pewnie lubisz westerny i masz małe kino w swojej główce, co?

Odwróciła wzrok.

— A ja wiem, o czym myślisz. Chciałabyś wyjechać ze mną.

— I co z tego?

— Uwierzyłaś, że może nam się udać, mimo zawodu, jaki wykonujemy? — pytał cierpliwie.

— Jesteś innego zdania?

— Nie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Powiedzmy, że gramy w zadawanie pytań.

— Odpowiedz. — Jej głos brzmiał władczo.

— Jeżeli nie jestem przeciw, chcesz powiedzieć, że zabiorę cię ze sobą, czyż nie?

— Dokąd?

— Zobaczymy.

Popęniała szaleństwo. Wiedziała o tym, ale już się nie przejmowała problemami.

— Zgoda. Pod jednym warunkiem. W dniu, w którym przestaniesz cię to bawić, powiesz mi o tym natychmiast. Rozstaniemy się, to wszystko.

— Przyrzekam.

Miała nagle wrażenie, że jej życie było bezużyteczne do wzniosłej chwili w tym pokoju, w którym spędziła kilka dni i który opuści na zawsze, kiedy tylko Harry Shulz powróci.

— Spakowałaś bagaże? — spytał Michel.

— Oczywiście.

— A więc wstań i przygotuj się. Harry powinien powrócić lada moment.

Podziwiła wspaniałe ciało Michela, który leżał obok nagi. Potem usiadła z przeciągłym westchnieniem, które wydobyło się z jej piersi. Michel roześmiał się.

—Będziesz miała czas zażywać tego, kiedy będziemy daleko stąd.

—Masz pomysł, gdzie moglibyśmy pojechać po opuszczeniu Paryża? — spytała idąc do łazienki.

—Nie warto postępować niczym Tomcio Paluch i rozrzucać kamyki na swej drodze. Trzeba podzielić ją na etapy. Aby zbić z tropu ludzi, którzy zechcą nas śledzić. Czy kiedykolwiek będziemy mieć pewność? Co byś powiedziała na Rzym jako pierwszy etap podróży?

—Widziałeś te dwie małpy? — spytał Karate.

—Taaak — odparł lakonicznie Buffalo.

—Nie podobają mi się.

—Mnie również.

—Mają zamiar śledzić naszego klienta.

—Mają brudne gęby.

—To ty powiedziałaś.

—Sądysz, że chcą mu zrobić coś złego?

—Chyba tak.

—Karate, odszukaj kapitana. Ja ich przypilnuję.

—Powiedz mi, Buffalo...

—Widziałeś Ojca Chrzestnego?

—Co znaczy — czy widziałem? Tak, widziałem ten film w messie naszej bazy.

—Czy nie uważasz, że oni mają takie same gęby jak faceci z tego filmu?

—Masz rację, prawdziwe kreatury...

Natychmiast zmieszał się z tłumem, który wypełniał hall. Zszedł z szacunkiem z drogi przed tą narastającą ludzką masą. Stanął obok kiosku z gazetami, skąd miał widok z góry na bar. Udawał, że jest zafascynowany erotycznymi pismami skandynawskimi, lecz w rzeczywistości obserwował wnętrze baru. Z tego miejsca mógł czuwać nad swym klientem i jego dwoma obserwatorami. Miał wrażenie, że ktoś stoi za jego plecami. Gwałtownie odwrócił się. Chaugat, Karate i Baraka udawali przypadkowych gapiów. Chaugat podbiegł do niego i nie przerywając oglądania skandynawskich pism, szepnął:

—Nie ruszaj się stąd. Idę złożyć meldunek. Jeśli wyjdą, idź za nimi z Karate i Baraką. Gdy coś się będzie działo, stosuj metodę Kastora i Polluksa. Odszukasz mnie na naszym kanale.

Buffalo zaczął ostentacyjnie ziewać. Chaugat oddalił się. Baraka wszedł do baru i zamówił u barmana, który przypatrywał mu się przepełnionymi zgrozą oczami, kieliszek anyżówki. Bez wątplenia dla niego nie był to wystarczająco wyrafinowany napój. Karate ukrył się w tłumie. Pieszcząc machinalnie blond główkę jakiejś małej dziewczynki, która oparła się czołem o jego wielkie kolano i ssła namiętnie cukierka, Buffalo czuwał nad barem z bliska. Trzej klienci nie poruszyli się. Jeden z nich czytał gazetę. Dwaj pozostali sprawiali wrażenie obojętnych na wszystko. Buffalo domyślał się jednak, że byli spięci. Matka dziewczynki podeszła, by zabrać ją pomimo jej protestów. Buffalo mrugnął do niej, jakby byli współnikami.

Wszyscy trzej siedzieli za stołem sali konferencyjnej. Dyrektor, pułkownik Saint-Ambroise, podpułkownik Courcelles. Tylko ten ostatni palił cygaro o mdłym i obrzydliwym zapachu. Wydawało się jednak, że pozostałym to nie przeszkadzało.

— Wszystkie dowody, jakie zgromadziliśmy, są niewiele warte — stwierdził dyrektor. — Po takiej rzezi będzie nam trudno przekonać Amerykanów, że sami wykonaliśmy operację, lub jeśli ją wykonaliśmy, będzie to przemawiało na naszą niekorzyść, ponieważ ta masakra nie świadczy dobrze o naszych służbach, które przecież nie potrzebowały takiej antyreklamy...

Saint-Ambroise i Courcelles potwierdzili skinieniem głów.

— Nikt oczywiście się nie zblamował — mówił dalej dyrektor. — Wy dwaj wspaniale opracowaliście i zrealizowaliście scenariusz. Pańska ekipa, Courcelles, wykonała gładko swoją robotę. Nie mógł pan naturalnie przewidzieć, że ci zabójcy będą interweniowali dokładnie tego samego wieczoru, który wybraliśmy...

Courcelles uspokoił się. Dotąd nieco obawiał się roli kozła ofiarnego. Dyrektor spędził cały ranek na konferencji na wysokim szczeblu, a potem kazał wezwać ich obu — Saint-Ambroise'a i jego.

Było już południe, lecz zapowiadało się, że popołudnie będzie dopiero długie i pracowite.

— Niech pan opowie o tych zabójcach, Courcelles — poprosił dyrektor opierając łokcie na stole i pochylając się do przodu.

— No, cóż — odparł Courcelles niskim i donośnym głosem — muszę przyznać, że sprzyjały nam okoliczności. Miałem dwie ekipy na miejscu. Jedna wykonywała misję. Wybraliśmy dyrektywę 4. Takie było zdanie pułkownika Saint-Ambroise'a na temat najlepszego sposobu przeprowadzenia operacji.

Saint-Ambroise zgodził się z szefem.

— Druga ekipa — kontynuował Courcelles — miała za zadanie obserwować okolicę i ułatwić ewakuację pierwszej ekipy, gdyby wystąpiły nieprzewidziane trudności. Właśnie druga ekipa dostrzegła trzech morderców, jak uciekali. Pozostali, jak pan wie, zginęli na miejscu.

— Ta ekipa śledziła zabójców?

— Tak. Na szczęście, jej dowódca okazał się fachowcem, człowiekiem pełnym inicjatywy. Śledził ich aż do willi w Louveciennes. Zdał mi raport i natychmiast obstawiliśmy ich kryjówkę. Tego ranka sfotografowaliśmy, używając teleobiektywu, tych troje morderców. Posłużyliśmy się urządzeniem TWS i otrzymaliśmy bardzo dobre zdjęcia. Niech pan sam osądzi. — Pchnął w kierunku dyrektora mały stos fotografii leżących przed nim.

Dyrektor uważnie obejrzał zdjęcia, a potem zwrócił je Courcellesowi.

— Czy znamy tych ludzi?

— Nie są notowani. Upewniłem się co do tego w sekcji 9. Niemniej jednak kobieta...

— Tak?

— Prawdę mówiąc, nie jestem pewien... Jej twarz coś mi przypomina... Ale mogę się mylić...

Dyrektor przerwał mu:

— To jest chyba mało istotne. Co dalej?

—Z ostatnich meldunków wiem, że jeden z nich pojechał samochodem do Paryża, a moi ludzie za nim, oczywiście... Dwoje pozostałych, w tym także kobieta, pozostało w willi. Oczywiście, są pod obserwacją.

—Oczywiście — potwierdził Saint-Ambroise, aby zmanifestować swoją obecność.

—Oczywiście — podjął nieco uszczypliwie dyrektor — jesteście w- kontakcie radiowym z waszymi ekipami.

—Oczywiście, panie dyrektorze.

Dyrektor posiadał niższy od nich stopień wojskowy, ale zwyczajowo zwracano się do niego oficjalnie, tytułując go stosownie do pełnionej funkcji.

—Ten nowy element — podjął dyrektor — może okazać się wartościowy. Mam na myśli fakt, że zlokalizowaliśmy tych troje. Powinniśmy to wykorzystać. W rzeczywistości, panowie, naszym głównym zmartwieniem jest to, byśmy byli ponad tym wszystkim. Musimy wyperswadować Amerykanom, że od teraz współdziałamy z nimi jak za dawnych dobrych czasów i zrywamy z błędami przeszłości... Ta podstawowa zasada zakładała, że należy przede wszystkim dostarczyć im konkretne dowody naszej dobrej woli. Otóż w sprawie, która nas interesuje, musimy bezwzględnie wykorzystać nieco atutów, które posiadamy. W naszym interesie jest bowiem doprowadzić sprawę do końca...

Przerwał na chwilę. Courcelles skorzystał z tego, aby zapalić kolejne śmierdzące cygaro.

—Mamy królewską trójkę w ręku — podjął dyrektor. — Nasi przeciwnicy nie mają zapewne żadnych atutów. Jak rozegrać tę akcję?

—Można zabić tę trójkę morderców... — zasugerował Courcelles.

Dyrektor uśmiechnął się pobłaźliwie.

—Jakbym słyszał dowódcę Service Action. Zawsze gotowy do walki...

Courcelles zasepił się.

Dyrektor podsunął okulary aż na czoło. Jego wylupiaste oczy wydawały się zamyślane.

—Mam pomysł, panowie. Moglibyśmy powiedzieć... Amerykanom, że rozważamy, czy przystąpić do..., jakby to określić, do pewnej czystki, ponieważ wiemy, że nagle pojawiła się ta ekipa zabójców. Dlaczego mamy sami wykonać tę robotę, skoro i tak ktoś był tutaj, aby zrobić to za nas? Odegraliśmy więc rolę obserwatorów, nie spuszczać oczywiście z oczu tych ofiarowanych nam przypadkowo zabójców. Kiedy asystowaliśmy masakrze, żalowaliśmy, że to nie my działaliśmy. Niestety, było już za późno! Aby dowieść Amerykanom naszej prawdomówności, musimy wysłać im dane personalne morderców. Krótko mówiąc, przekazać ich w ręce Amerykanów. Teraz ich kolej, by grać: pozwolić im uciec, przesłuchać, wykończyć albo...

—...włączyć ich do naszych Służb Specjalnych — przerwał Courcelles. — Mimo wszystko, to są dobrzy profesjonaliści.

Tym razem dyrektor roześmiał się szczerze.

—Doskonale, Courcelles, masz jeszcze refleks.

—Panie dyrektorze, zaproponowałem to dlatego, że przyjąłbym ich natychmiast — zaprotestował Courcelles.

—Jestem o tym przekonany... Dobrze, kontynuujmy. Jest więc istotne, by ci ludzie opuścili kraj cali i zdrowi. A propos, jaki będzie, pańskim zdaniem, ich kolejny ruch? — Odwrócił się do Saint-Ambroise'a.

—Opuszczą Francję — rzucił ten pewnym głosem.

— Też tak sądzę. Pozwólmy więc uczynić im to i uprzedzimy Amerykanów we wszystkich krajach Europy a zwłaszcza w USA, Kanadzie i na Bliskim Wschodzie. Uzupełniające informacje wyślemy wówczas, gdy będziemy znać kierunek, w którym się udadzą.

— Wspaniałe rozwiązanie — zgodził się Saint Ambroise.

Aparat telefoniczny, który znajdował się przed Courcellesem, nagle rozdzwonił się. Pułkownik podniósł słuchawkę.

— Halo, tak?... Tak, to ja... Mówcie. Słucham...

Przygryzł wargi słuchając uważnie. Dyrektor i Saint-Ambroise nie spuszczaali z niego wzroku.

— Dobrze. Dziękuję — stwierdził krótko. — Za pięć minut połączę się z wami, aby przekazać moje instrukcje.

Odwrócił głowę ku dyrektorowi i Saint-Ambroise'owi.

— Ekipa, która dziś rano śledziła człowieka wychodzącego z willi, złożyła mi raport, że jest on śledzony przez dwóch ludzi, wyglądających na włosko-amerykańskich gangsterów... Tak bardzo karykaturalnych, że zastanawiają się, czy naprawdę są tymi, na jakich wyglądają.

— Spojrzenie dyrektora przybrało marzycielski wygląd. — Wspaniale — wyszeptał. — Zobaczmy, co możemy z tego wyciągnąć. Być może mamy jakiś inny atut w rękawie.

— To nieprawdopodobne móc wyobrazić sobie, że tamci dwaj mają za zadanie zabić tego człowieka. To jest reakcja łańcuchowa — stwierdził śmiejąc się Saint-Ambroise.

— To logiczne — podjął dyrektor słodkim głosem. — Jeśli hipoteza, którą sformułowaliśmy, jest prawdziwa... — odwrócił się do Courcellesa — należałoby ją zweryfikować, mielibyśmy pięć osób do podsunięcia Amerykanom na potwierdzenie naszej tezy. Pod warunkiem, że ci dwaj osobnicy nie doprowadzą do końca swoich zamiarów.

— Mam nadzieję, że zabiorą się zbyt szybko do roboty — stwierdził Saint-Ambroise.

— Istotnie — podjął dyrektor. — Byłem zbyt długo partyzantem, by ich nie przechwycić i zobaczyć z kim mamy do czynienia, a następnie pouczyć ich o tym, by dobrze się prowadzili.

— Drogą przesłuchania... trochę dalej posuniętego... poznalibyśmy kilka niezbędnych szczegółów — zasugerował Saint-Ambroise.

— Dobry pomysł — zgodził się dyrektor. — Dobrze. Saint-Ambroise i Courcelles, zajmijcie się wszystkim. Zdacie mi raport.

Wstawał już zza stołu. Courcelles podniósł słuchawkę.

— Halo, tu pułkownik Courcelles. Połączcie mnie z Kastorem i Polluksem.

ROZDZIAŁ XXI

Kiedy Harry Shulz wyszedł z windy, wykonał długi slalom pośród grup turystów, które wypełniały hall. W przelocie chwycił urywki rozmów amerykańskich turystów, którzy skarżyli się na drogie życie w Paryżu, trudności ze znalezieniem taksówki przed wejściem do hotelu lub oszustwa, których ofiarą padli w wielu restauracjach. Były to wieczne tematy rozmów turystów na całym świecie.

Dotarł do kiosku z gazetami, rzucił kilka drobnych monet na ladę i wziął egzemplarz „France Soir”. Zainteresował go bar, który był w pobliżu. Schronił się tam. Zamówił

podwójny burbon z wodą sodową. Potem rozpostarł gazetę. Wielki tytuł zajmował jedną czwartą pierwszej strony, resztę zajmowały zdjęcia z nieco zatartymi detalami. „Frenchie” Terret powiedział prawdę. To, co od niego usłyszał, było zrelacjonowane w identyczny sposób w dzienniku i było bardzo bliskie prawdy. Redaktor naczelny nie przegapił takiej okazji. Złożył materiał i rozwlókł go wzdłuż i wszerz. Tekst zajmował cztery strony; a zdjęcia — dwie. Kim byli ci czterej ludzie, którzy wykonali robotę zamiast niego? Na pewno nie byli to ludzie Stana Kovacsa. „Frenchie” Terret wiedziałby o tym i z pewnością nie powiedziałby mu żadnego komplementu. A więc kto to był? Outsiderzy?

Pociągnął łyk bourbona i pomyślał, że nie ma sensu zawracać sobie głowy takimi detalami. Kontrakt został wykonany ku zadowoleniu „Frenchie” Terreta, a co za tym idzie, również Syndykatu.

Pozostawał jeszcze Johnny Settimano i pomimo zapewnień Francuza, należało wystrzegać się tego gangstera.

Najlepszym rozwiązaniem było spalenie za sobą mostów. Zmieni kontakty i życie popłynie tak jak przedtem.

Kontrakt przyniósł mu w sumie trzydzieści tysięcy dolarów. Świat był pełen miejsc, w których mógłby wypocząć przez długie miesiące. Złożył gazetę i położył ją na pustym krześle naprzeciw stołu, wodząc dookoła wzrokiem.

W tym momencie jego wprawne oko dostrzegło dwóch facetów siedzących kilka stolików dalej. Uderzył go zbyt obojętny wyraz ich twarzy. Jak w dobrze zgranym zespole, ich głowy odwróciły się w jednej sekundzie, kiedy jego spojrzenie spoczęło na nich. Jedna sekunda, ale wystarczająca, aby miał czas zauważyć ich dziwne zachowanie. Jako dobry Nowojorczyk był gotowy postawić sto dolarów przeciwko garści solonych orzeszków ziemnych, że ci dwaj faceci przybyli prosto z Bronxu, Brooklynu lub Lower East Side. Rozpoznał w tym małą Italię swego dzieciństwa i tych facetów o ogorzalej twarzy, posługujących się nożem albo ściętym ostrzem sierpa, zbierających cotygodniowe opłaty od kupców z dzielnicy za zapewnienie ochrony i spokoju. Natrafiano na nich czasem wieczorem, kiedy czyhali na rogu jakiejś brudnej uliczki na opornego płatnika, aby dać mu pierwsze ostrzeżenie, co kończyło się w Beekman Downtown Hospital, gdzie mógł wyleczyć swe liczne rany.

Spojrzał na nich po raz drugi. Nie potrzebował być wielkim ekspertem, by odkryć na podstawie ich garniturów, że nie byli stałymi klientami Abercrombiego i Fitcha. Przyciągająca wzrok elegancja, ale w złym guście. Intuicja nigdy nie zawiodła Harry'ego. Nie wątpił ani przez chwilę, że tamci byli zbirami Stana Kovacsa. Był wściekły na „Frenchiego” Terreta. Francuz uspił jego podejrzliwość swoją pocziwością i pochwałami. Wydał go mafijnym zbirom, ale oni jeszcze nie wygrali. Harry miał przy sobie P38 i wiedział, jak się nim posługiwać w razie potrzeby.

Należało się zastanowić. Prawdopodobnie nie działaliby nic w tym barze, ani w żadnym innym miejscu pełnym ludzi. Zadowoliliby się śledzeniem go, oczekując na ten jeden przychylny moment. Mógł albo odciągnąć ich w jakieś dyskretne miejsce, nie pozwalając im się zorientować, że ich dostrzegł, i zlikwidować ich, albo usiłować ich zgubić.

Wybór nie był łatwy. W istocie zależał od okoliczności. Na dodatek Wanda Krazyk i Michel Corvet czekali na niego w willi, na pewno mocno się niecierpliwiąc. Rany w udzie i w biodrze bez uprzedzenia przypominały o sobie. Skrzywił się z bólu. Chwila była rzeczywiście nieodpowiednia. Mimo wszystko, powinien wrócić do willi i poprosić Wandę, aby założyła

mu nowy opatrunek. A kiedy nie będzie już miał pod ręką Wandy, powinien zwrócić się o poradę do Doca Hollandera, żydowskiego doktora z Brooklynu, skutecznego i niezbyt ciekawskiego.

Aby to uczynić, musi pozbyć się towarzystwa tych dwóch facetów. Jego rachunek za konsumpcję był już uregulowany. Bardzo szybko oderwał się od stolika i wielkimi krokami, pomimo bólu w udzie i w biodrze, pośpieszył ku drzwiom baru. Minał je i skierował się natychmiast na prawo do kiosku z gazetami.

Mała dziewczynka o blond włosach wrzeszczała i tupiała zahaczając o nogawkę spodni jednego z wysokich facetów, pewnie amerykańskiego turystę. Prawdopodobnie był to jej ojciec. Młoda brunetka, gadatliwa Włoszka, usiłowała przekonać dziewczynkę, aby poszła za nią. Harry obszedł grupę ludzi i stanął na czatach przy stoisku, na którym wyłożone były karty pocztowe. Wziął kilka z nich i zaczął oglądać, jakby były dziełami sztuki. Cały czas jednak spoglądał kątem oka na drzwi baru. Kiedy zobaczył, że po chwili wyszli, nie miał już wątpliwości. Odłożył karty do metalowych ramek, obrócił się dookoła jakby niezdecydowany, unikając patrzenia w ich kierunku, podrapał się w kark, a potem pod lewą pachą. Wyglądał trochę niezdarnie, ale dzięki temu skrycie wyciągnął pistolet. Na razie nic mu nie groziło, ale jeśli wyjdzie z hotelu, może być różnie. Odtąd należało być przygotowanym na wszystko.

Ruszył w kierunku drzwi, ale zatrzymał się nagle przed kabinami telefonicznymi i sprawiał wrażenie, że zastanawia się, czy zadzwonić. Dwaj faceci, jeden od drugiego o trzy metry, torowali sobie drogę przez tłum jego śladem.

Chciał wejść do pustej kabiny. Mógłby zadzwonić do willi i uspokoić Wandę i Michela lub raczej powiedzieć im, by jak najszybciej wynieśli się stamtąd.

Jednak nie zdecydował się na to. Kabina telefoniczna mogła przekształcić się w śmiertelną pułapkę. Widziano już takie przykłady. Odkąd w latach trzydziestych Vince „Mad Dog” Coli dał się zabić w chwili, gdy telefonował, ten sposób likwidacji przyjął się u killerów. W kabine telefonicznej trudno zrobić jakikolwiek ruch, na przykład wyciągnąć zza paska rewolwer. To tak jakby podjąć próbę uwolnienia związanych nóg i rąk przy słupie egzekucyjnym.

Udając, że zmienił zdanie, zawrócił i pogwizdując ruszył do drzwi wyjściowych. Po odrzuceniu oferty kamerdynera gotowego wezwać mu taksówkę, poszedł wielkimi krokami do miejsca, gdzie zaparkował swój samochód. Stał on w niedozwolonym miejscu na ulicy de Castiglione. Za wycieraczki były zatknięte dwie czy trzy ulotki reklamowe i mandaty. Wsiadł szybko do wozu. W lusterku wstecznym dostrzegł dwóch facetów, którzy biegli do szarego peugeot. Jeden z nich chwycił już klamkę przednich drzwi. Harry nie czekał dłużej. Przekręcił kluczyk w stacyjce, aż silnik zawył i wciskając pedał gazu do oporu gwałtownie ruszył z miejsca.,

Mała dziewczynka uczepliła się jego spodni wrzeszcząc i wznosząc do niego nieskazitelne niebieskie oczy, mokre od łez. Tupiała o podłogę nóżkami obutymi w maleńkie czerwone buciki.

— Andiamo, Graziella — błagała matka.

Potem wygłosiła długie nie kończące się zdanie po włosku. Buffalo uśmiechnął się niewyraźnie. Matka w końcu pociągnęła córkę za sobą rzuciwszy Buffalo gniewne spojrzenie, ciężkie od niemych wymówek.

Ale Buffalo nie przejął się tym. Już zapomniał o matce i córce. Harry Shulz wyłonił się właśnie z baru, aby przejść obok niego. Baraka, z rękami w kieszeni, wyszedł także z baru. Rozpychając tłum zbliżał się Karate. Obserwował z daleka kapitana Chaugata, lawirującego w jego kierunku. Niepostrzeżenie zbliżył się do Shulza, który wybierał właśnie karty pocztowe. Chaugat złapał Buffalo za rękaw marynarki.

—Temu tam — szepnął — pozwólcie wyjść. Draga ekipa będzie go śledzić. My musimy zatrzymać dwóch pozostałych i aresztować ich.

Skinieniem głowy Buffalo dał znak, że zrozumiał.

Chaugat oddalił się.

„Małpy”, jak nazwał ich Buffalo w głębi duszy, wyszły z baru.

Klient odłożył karty pocztowe, które właśnie oglądał i zniknął w tłumie. On nie był przedmiotem zainteresowania Buffalo. Skoncentrował całą uwagę na „małpach”. Rozdzielili się i zmieszali z tłumem. Uczynił to samo.

Obserwowany przystanął przed kabiną telefoniczną i kilka sekund jakby zastanawiał się. Po chwili wyszedł na ulicę.

Buffalo widział, że Karate i Baraka także szli ku „małpom”. Uśmiechnął się do siebie. Wydawało się, że dobrze się bawią. Przyspieszył kroku.

„Małpy” oszołomione tym, że były tak blisko swojej ofiary nie spostrzegły, kiedy same stały się zwierzyną łowną. Patrzyły na Shulza, który oddalał się w kierunku rue de Castiglione. Przy koncercie szalonych dźwięków klaksonów rzucili się w stronę jezdni.

Buffalo, Karate i Baraka zobaczyli, że po drugiej stronie ulicy jakiś szary peugeot próbował ominąć szereg samochodów. Nie troszcząc się o przejeżdżające pojazdy również przebiegli ulicę.

Steve d'Angelo położył rękę na klamce tylnych drzwi kiedy jakaś wielka masa mięsa stanęła przed nim i schwyciła go za ramię. Ricky Valenti został unieruchomiony przy boku peugeota przez Karate i Barakę. Kierowca samochodu ani pisnął.

Chaugat ustawił swój samochód przy peugeocie. Tego, co działo się na ulicy, chyba nikt nie zauważył. Na chodniku ludzie przechodzili myśląc wyłącznie o swoich sprawach. Na jezdni samochody poruszały się w tym samym rytmie.

Pozbawieni broni Ricky Valenti i Steve d'Angelo zostali wepchnięci do samochodu. Baraka rozsiadł się w peugeocie u boku kierowcy, który spoglądał niespokojnie na wycelowany w niego pistolet kaliber 9 mm. Na tylnym siedzeniu usadowił swoje 125 kilo wagi Buffalo czuwający wciąż nad Stevem d'Angelo. On nie musiał trzymać gangstera na muszce. Jego ręce mu wystarczały.

Chaugat ruszył.

—Gdzie jest Mercier? — zdziwił się Baraka.

—Pewnie śledzi naszego pierwszego klienta — domyślił się Buffalo.

Kierowca peugeota łagodnie włączył się w ruch uliczny za samochodem pilotowanym przez Chaugata. Służba posiadała dyskretną willę w Brysur-Marne. Z odizolowanymi od dźwięku piwnicami... Pewnie tam jechał Chaugat.

Na bulwarach ekskluzywne kino zapraszało na film przedstawiający historię sławnego porwania.

—Na szczęście nie porwaliśmy ich z Brasserie Lipp — zażartował Baraka. — Mielibyśmy kłopoty...

—Tak, ale tym razem te niedojdy nic nie wyczuły... — zareplikował Buffalo. — Ochrzcijmy to porwanie sprawą Baraki...

Siedzący obok Buffalo Steve d'Angelo zaklął przez zęby:

—Sons of a hitch... sons of a bitch...

Harry Shulz zmarszczył brwi. Spoglądał na drogę przed sobą, zerkając do wstecznego lusterka. Miał obolałe skronie. Nic nie rozumiał. Kiedy spostrzegł swoich prześladowców po raz ostatni, biegli do peugeot. Za jego kierownicą siedział trzeci gangster, który natychmiast włączył silnik i po chwili już ich nie widział. Pośród gęstego ruchu ulicznego Paryża był pewien, że jego prześladowcy ukryli się za innymi samochodami. Być może to właśnie zrobili? W każdym razie nie widział ich już. Trzykrotnie przejeżdżał w ostatniej chwili przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Jednakże ci faceci byli takimi samymi zawodowcami jak prawdopodobnie kierowca peugeot. Bez wątpienia, był on paryżaninem. I nie byli to ludzie, którzy pozwoliliby się tak łatwo zgubić. Po przejechaniu tunelu Saint-Cloud wjechał na Zachodnią Autostradę trzymając się jej prawego pasa. Zwolnił, próbując zorientować się, czy jakiś inny samochód nie zmienił Peugeot. Nichts — jak mawiał jego ojciec, który, sam pochodzący z Hamburga, przybył do Nowego Jorku w wieku dwudziestu lat i nie mógł już do końca życia oswoić się z językiem angielskim, co nie przeszkodziło w zamerykanizowaniu jego nazwiska z Schultza na Shulz.

Na skrzyżowaniu wiodącym w kierunku Rambouillet skręcił w prawo i zjechał z autostrady przy wyjeździe w kierunku Bois Arcy. Skierował się ku Saint-Cyr-l'Ecole, którą minął, przejechał uliczką Fontenay le-Fleury i skierował się po raz drugi do Plaisir. W międzyczasie zawrócił do Saint-Cyr-l'Ecole, ciągle próbując zgubić ewentualnego tropiciela. Musiał upewnić się, że go nie ma. Jeśli ktoś taki istniał, musiałby mieć nadzwyczajny dar śledzenia kogoś.

Wytłumaczył sobie, że prawdopodobnie zgubił ich. Nie byli chyba tak doświadczeni jak się wydawało. Wywodzili się z Manhattanu, Bronxu lub Brooklynu i musieli w obcym mieście być równie zagubieni jak niedźwiedz polarny na pustyni w Arizonie. Obecnie należało dotrzeć do willi w Louveciennes w jak najkrótszym czasie. Wanda i Michel musieli się niepokoić jego przedłużającą się nieobecnością. Należało przesłać wdowie po Louise Suttot udział jej zmarłego męża.

Nie zdecydował się jeszcze — co dalej. Stany Zjednoczone w obecnych czasach wydawały się nieco niezdrowe. Dlaczego nie spędzić kilku miesięcy w domku, który kupił trzy lata temu, w małym porcie rybackim w Nikaragui? Połów barrakudy był popłatnym zajęciem w tym sezonie, a mieszkańcy Puerto Cabezas byli prości, mili i sympatyczni. Sandiango Mendoza, brodaty kapitan Chica Hermosa o rysach korsarza z wyspy Tortue, przyjąłby go z ochotą na pokład swego kutra. A stary doktor Gimenez przywróciłby sprawność jego organizmowi.

Aby dotrzeć do Puerto Cabezas, musiał być ostrożny. Należało dojechać samochodem aż w Pireneje, pozostawić auto w Hendaye, wsiąść do pociągu do Madrytu, stamtąd ruszyć do Lizbony. Potem kilka dni na plaży w Estoril, aby upewnić się, że nie jest śledzony. Potem samolot do Rio de Janeiro. Dotrzeć aż do Caracas. Ominąć strefę Kanału Panamskiego kontrolowaną przez Amerykanów. W tym celu skorzystałby jeszcze z samolotu aż do Kingston na Jamajce, skąd mógł drogą morską dotrzeć do Puerto Cabezas. Statek towarowo-pasażerski zapewniał połączenie między obu tymi portami raz w tygodniu. Cztery paszporty na różne nazwiska, ukryte na dnie walizki, jeszcze raz będą bardzo użyteczne.

Przejechał przez Plaisir. Ostatnie spojrzenie w lusterko wsteczne upewniło go, że droga za nim była pusta. Przyspieszył i roześmiał się. Stan Kovacs, „Frenchie” Terret i inni nie byli dla niego dość mocni. Wyrolował ich.

Panie i panowie, wylądujemy na lotnisku Rzym-Fiumicino. Prosimy państwa uprzejmie, aby nie rozpinąć pasów przed pełnym zatrzymaniem maszyny. Prosimy pasażerów wysiadających w Rzymie, aby sprawdzili, czy nie zapomnieli zabrać z pokładu rzeczy osobistych. Informujemy pasażerów kontynuujących lot, że postój w Rzymie potrwa około 45 minut. Proszę zapamiętać, że jest teraz 19.27 czasu lokalnego. Temperatura powietrza wynosi 21 stopni Celsjusza. Kapitan samolotu i wszyscy członkowie załogi mają nadzieję, że spędzicie państwo lot przyjemnie, a tych, którzy opuszczają nas w Rzymie, zapraszamy ponownie na pokład samolotów Air France. Dziękuję za uwagę.

Dobrze modulowany głos stewardesy powtórzył komunikat po włosku i po angielsku, potem zgiął w szmerze mikrofonu. Ludzie kręcili się już na wszystkie strony, odpinając pasy mimo zakazu stewardesy. Z okiem przy iluminatorze Wanda Krazyk spoglądała na migające światła nawigacyjne, ssąc cukierka tradycyjnie ofiarowanego podczas lądowania. Po ostatnim wstrząsie samolot wreszcie stanął nieruchomo. Odwróciła głowę i trzy rzędy dalej dostrzegła czuprynę Michela Corveta. Pasażerowie wstawali już z miejsc i gorączkowo zajmowali się swoim bagażem. Poszła za ich przykładem. Michel i ona zdecydowali, że podróżują oddzielnie. Kto wiedział, czy nie byli poszukiwani?

Ich paryskie „występy” narobiły we Francji wiele hałasu i kontrole policyjne na granicach zostały z pewnością zaostrzone, ale bez trudu przeszli przez tę na Orly. Wanda zabrała swoją torbę podrózną i poczekała cierpliwie, aż jej sąsiadki, stara kobieta i bardzo młoda dziewczyna, które tak jak ona leciały z Paryża, przejdą do przodu. Wślizgnęła się w sznur pasażerów, który płynął wolno w gwarze rozmów ku głównemu wyjściu.

Dokąd teraz? Nie wiedziała, Michel także prawdopodobnie nie wiedział. Zdali się na doświadczenie. Dla niej było to coś więcej niż tylko doświadczenie. Zobaczą, co zrobią. Życie było już tak urządzone. Wiecznie rozpoczyna się je od początku.

W końcu zdołała wmieszać się w tłum pasażerów. Kiedy schodziła z ruchomych schodów, podniosła głowę i przez krótką chwilę podziwiała słońce, które swą czerwienią ubarwiło ponure o zmierzchu niebo.

Odpowiedziała niewyraźnym skinieniem głowy na pozdrowienie hostessy i wpadła gwałtownie do autobusu z torbą podrózną na ramieniu, mocno ściśnięta między dwiema tłustymi pakistańskimi turystkami, spod pach których ulatniała się obrzydliwa woń

zjętą potu. Michel stał w drugim krańcu autobusu przed starą Amerykanką, która pożerała go oczami.

Po kilku minutach autobus stanął przed wejściem do stanowisk kontroli paszportowej i celnej. Przez chwilę delectowała się ciepłym powietrzem kończącego się dnia. Z jednej strony po to, by oczyścić nozdrza od odoru płynącego od pakistańskich turystek. Z drugiej strony po to, by pozwolić Michelowi przejść jako jednemu z pierwszych pasażerów przez kontrolę paszportową. Nie chciała, aby byli zbyt blisko siebie.

Podróżowała w dżinsach i koszuli w kolorze oliwkowym, takim jak w mundurach US Army. Całość była wystarczająco mdła. Włosy jej brunatnej peruki były potargane, a sznurkowe podeszwy jej espadryli postrzępione. Bez jakiegokolwiek makijażu, w okularach w metalowej oprawce, z torbą podróżną TWA na ramieniu, poplamionej tłuszczem, wyglądała niedwuznacznie na osobę, która właśnie została „sfabrykowana”: młoda kobieta, trochę jakby hippiska, która podróżuje, by odkryć świat.

Spojrzała za siebie. Samolot DC-9 izraelskich linii El-Al był strzeżony przez kordon włoskich policjantów, zapewne w obawie przed zamachem terrorystycznym.

Przeszła bez trudności kontrolę paszportów. Jej walizka wśliznęła się na transporterze, kiedy poszła do kontroli celnej. Włoski celnik kończył już dzień pracy. Był nonszalancki i zmęczony. Zadowolony się postawieniem krzyża białą kredą na jej obu bagażach. Uśmiechnęła się do niego miło i obciążona walizką i torbą podróżną poszła odszukać Michela.

Pewnie czeka na zewnątrz budynku lotniska — pomyślała — przy postoju taksówek.

Karazow przybrał na wadze, odkąd był prymusem w szkole szpiegostwa w Gorki. Był chyba również bardziej zamknięty w sobie. Wasiliew był nadal szczupły i niezgrabny. Miał ten sam przykry i okrutny błysk w oczach. Szabo, z łysiejącymi skroniami, pucułową twarzą, świńskimi oczkami, okropnie wystającą dolną wargą, był jeszcze bardziej ohydny niż niegdyś. Karazow wytwornie odebrał od niej walizkę i torbę podróżną, którą podał Szabo. Uśmiechnęła się na pokaz promiennie, niczym ten ze starszych braci, który odnajduje ukochaną młodszą siostrzyczkę po wielu latach rozłąki.

—Karla, jakże jestem szczęśliwy, że znów cię widzę...

Mówił do niej po niemiecku z dźwięcznym rosyjskim akcentem. Jakby ona nie rozumiała po rosyjsku...

Chwycił ją poufale za ramię, Wasiliew poszedł za jego przykładem. Obaj pociągnęli ją do wyjścia. Szabo szedł za nimi, niosąc bagaże.

—Karla, oczekiwaliśmy cię z niecierpliwością...

Wszyscy trzej ustępują sobie miejsca — pomyślała. Prawdziwy komitet powitalny.

—Karla, co się dzieje? Nie wydaje mi się, abyś była zadowolona widząc nas — syknął jej ironicznie do ucha Wasiliew.

Ruszyli do wyjścia.

Michel Corvet zatrzymał taksówkę i umieścił walizkę w bagażniku. Szofer zamknął bagażnik z suchym trzaskiem. Tylne drzwi były otwarte. Michel przytrzymał klamkę. Niewyraźny uśmiech igrał mu na ustach, jakby zapraszając do wnętrza taksówki. Wytrzeszczył oczy, kiedy zobaczył, jak wychodziła, otoczona przez Karazowa i Wasiliewa. Zamknął drzwi i zrobił dwa kroki do przodu. Jego marynarka była rozpięta, a dłoń wśliznęła się za pasek...

Karazow i Wasiliew przystanęli jak wryci. Puścili jej ramię i stanęli nieruchomo, z opuszczonymi rękami. Usłyszała za sobą odgłos stawiania bagaży na chodniku... Szabo także był gotów na każdą ewentualność.

Michel patrzył na nią. Zmarszczyła brwi i gwałtownie pokręciła głową. Jakie miał szanse przeciwko im trzem? Być może był doświadczonym strzelcem, ale niestety, miał do czynienia z silnym przeciwnikiem. Wydawał się nie rozumieć. Powtórzyła swój gest, kręcąc energicznie głową w lewo i w prawo.

—Kim jest ten facet, Karla? — szepnął Karazow.

—Podrywaczem — wyjaśniła po francusku.

—Kim?

—Chłopakiem, którego poznałam w samolocie — rzuciła pośpiesznie, tym razem po niemiecku. — Zaprosił mnie dziś wieczór na kolację w Rzymie. Przyjęłam zaproszenie. I teraz jest zaskoczony. To naturalne... Jedźmy, Piotr. Chyba nie chciałbyś, abym przeprosiła go za to, że uczynił fałszywy krok.

—Odszukaj samochód, Szabo — rozkazał Wasiliew sucho.

Szabo wykonał polecenie. To był tylko Węgier, mimo wszystko... Satelita... W oczach Rosjanina nie znaczył nic.

Michel nie poruszył się. Stał nieruchomo w tym samym miejscu z ręką spoczywającą na sprzączce paska, mając tę nadąsaną minę, którą dobrze znała.

Szofer taksówki pochylił się ku drzwiom i zaczął wrzeszczeć tak, jak tylko to potrafią robić kierowcy rzymskich taksówek. Potok słów był przerywany, a towarzyszyły temu wymowne gesty. Michel spojrział na niego, a potem znowu na nią. Wydawał się czegoś szukać. Odwróciła się. W głębi serca miała słabą nadzieję, że nastąpi jakiś cudowny zbieg okoliczności i wyzwoli ją z tej opresji. Jakieś bezsensowne, szalone wydarzenie...

Nie widziała, jak wrzucił ramionami i wsiadł do taksówki... Trzasnęły drzwi. Taksówka prześliznęła się obok niej. Spoglądała gdzie indziej... Mimo letniego wietrzyku drżała i poczuła skurcz serca.

Cadillac zastąpił taksówkę. Za kierownicą siedział Szabo.

Oto znak odprężenia między Wschodem a Zachodem. Obecnie posługują się amerykańskimi samochodami, pomyślała mgliście.

—Wsiadaj, Karla — polecił Karazow.

—Wolałabyś towarzystwo tego blondynka niż nasze? — zaśmiał się drwiąco Wasiliew, popychając ją na przednie siedzenie.

Szabo ruszył z miejsca. Karazow i Wasiliew siedzieli z tyłu. Odwróciła się do nich: — Jak mnie znaleźliście?

Karazow wybuchnął krótkim, pełnym wesołości śmiechem.

—Powiniem ci powiedzieć, że przez te wszystkie lata stosowałaś takie środki ostrożności, że sami nie bylibyśmy w stanie dojść do tego, ale dzięki zbiegowi raczej szczęśliwych okoliczności... — zamilkł.

Czekała na dalszy ciąg.

—Możemy ci o tym teraz powiedzieć... To już nie ma żadnego znaczenia, czyż nie?

Zadowolili się, jak fatalistka, wzruszeniem ramion.

—Byłaś bardzo dobra, ale jak widzisz, w końcu my jesteśmy jednak silniejsi. Zawsze wygrywamy ostatnią rundę. A tak naprawdę, dlaczego nas opuściłaś, Karla?

— To nie jest istotne, Piotrze. Uczyni mi ostatnią grzeczność. Wy tłumacz mi...

Wasiliew pospieszył jej z pomocą:

— Wy tłumacz jej, ona to doceni. Zawsze lubiła ciosy odbiegające od normy.

Karazow znowu się roześmiał.

— Zgoda, jeśli i ty nalegasz... No cóż, Karla... Od jakiegoś czasu Francuzi prześladowali nas, abyśmy wyświadczyli im pewną małą przysługę. Wzajemne usługi. Jak wiesz, Karla, to jest praktykowane w służbach specjalnych. Oczywiście pod warunkiem, że to nie przynosi żadnej szkody. Och! To nie była duża przysługa, ale wahaliśmy się trochę. Dzisiaj skontaktowali się z nami i rozmawialiśmy o tobie. Zaakceptowano ich ofertę. Oni podali nam numer twojego lotu Air France i czekaliśmy na ciebie. Piękne, czyż nie? Nie pytaj mnie, w jaki sposób dowiedzieli się, że szukaliśmy ciebie. W każdym razie, mamy u nich swoich ludzi... A poza tym, ci Francuzi nie są tacy głupi...

— Dowodem na to — dorzucił Wasiliew — jest fakt, że to oni cię wyśledzili, Karla.

— Ta wasza historia jest nieco naciągana — zarzuciła im.

Roześmieli się znowu.

— Zapewniam cię, Karla, że jest to najprawdziwsza prawda — stwierdził Karazow. Jego ton sprawiał wrażenie szczerego.

W końcu, jak powiedział Karazow, wszystko to nie miało żadnego znaczenia — pomyślała. Przez chwilę usiłowała zaprotestować przeciwko złemu losowi, ale po co? Przyjęła znowu poprzednią pozycję. Robiło się ciemno. Szabo włączył światła. Jechali na otwarte pole...

Zauważyła, że Szabo kierował się w przeciwnym kierunku niż do Rzymu. Nagle wybuchnęła śmiechem. Śmiała się frenetycznie, bardzo głośno. Karazow potrząsnął jej ramieniem.

— Co ci się stało, Karla? Dlaczego się śmiejesz? — spytał zaniepokojony.

— Bez wątplenia, z radości, że nas znów widzi — wtrącił cynicznie Wasiliew.

— Psiakrew — nalegał Wasiliew — dlaczego się śmiejesz?

— Kiedyś jakiś idiota... — zdołała wykrztusić w przerwie między wybuchami śmiechu. — Był kiedyś jakiś idiota, który powiedział, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu... Ha, ha, ha! Hi, hi, hi!

Równie spontanicznie jak wybuchł, ten śmiech zamarł... I wielkie łzy spłynęły jej po policzkach.